

Opowieść pełna tajemnic, rodzinnych sekretów i skrywanych emocji. Laura łącz

KRYSTYNA
WASILKOWSKA-FRELICHOWSKA

OSTATNI POKÓJ

Historia tajemniczego pamiętnika



KRYSTYNA
WASILKOWSKA-FRELICHOWSKA



*Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń
jest niezamierzone i przypadkowe.*



*Dedykuję mojej córce Kindze,
dziękując za twórcze inspiracje oraz bezinteresowną pomoc w dopieszczeniu
tekstu*

Budzą mnie odgłosy dochodzące z kuchni. Woda na herbatę wesoło bulgocze na ogniu. Mleko jest pewnie coraz bardziej wydęte, jakby chciało za chwilę wykipieć. Mleko może i chciałoby, ale od czego jest czujna ręka taty zaopatrzona w ściereczkę? Do kuchni przychodzi druga. Po drodze zaglądam do pokoju mamy i rzucam siedzącej na brzegu tapczanu: „dzień dobry najstarsza starowinko”, Kamie paradującej jeszcze w piżamie – „jak spałaś maleńka?”, wreszcie witam się ze spowitą w papierosowym dymie głową rodziny i szepczę: „proszę cię, nie pal!”.

Za chwilę wszyscy spotykamy się w kuchni. Każdy z nas bierze z szafki ulubiony kubek, żeby nalać sobie gorący napój. Zapachniało przypalonym mlekiem, bo kilka jego kropelek spadło na blat rozgrzanej węglowej kuchni. Słysząc ostentacyjnie głośne dmuchanie – to Kama studzi swoje kakao. Mama rozpoczyna rytuał przygotowania herbaty od wyparzenia imbryczka. Moja kawa, chociaż niezbyt mocna, ma odświeżyć umysł.

Zimy już nie ma, ale wiosny nie widać. Bez beretu i szalika nie ruszam się z domu. Dla rozruszania kości wybieram się na szybki spacer wzdłuż brzegu Wisły, aby za chwilę leniwie przejść przez miasteczko, kupić prasę, zrobić drobne sprawunki na targowisku. I zaraz wracać do domu. Te dni są takie jednakowe, przewidywalne i w swej prostocie banalne, że czasem chce się stąd cichcem uciec.

* * *

Od zawsze w naszym domu nadawano poszczególnym pomieszczeniom umowny szyld. Na przykład aktualnie pokoje noszą nazwy: „zielony”, „pod aniołem”, „wąski”, „sypialnia”, „herbaciarnia” i „ostatni”. Przyjęło się mówić „ostatni” nie z uwagi na plan rozkładu domu, choć pokój ten rzeczywiście usytuowany jest najdalej od frontowego wejścia, ale dlatego, że określenie to zgrabniej brzmi od... „sodoma i gomora”. Kiedy zaplanowaliśmy rozbudowę budynku gospodarczego – wyjątkowej graciarni – należało opróżnić go z nagromadzonych tam przez lata przedmiotów. Selekcja była bardzo trudna, gdyż do stojących tam szafy, komody, skrzyń, paczek i paczuszek nie zaglądano przez wiele lat, a jedynie dokładano, dokładano i dokładano. Ostatecznie więcej niż połowa tych wątpliwych skarbów została przeniesiona do „ostatniego”. Stało się tak pod moją nieobecność. To najęci do tej pracy trzej młodzi ludzie dokonali ekspresowej przeprowadzki. Przenosiny miały ten plus, że przedmioty, które w budynku gospodarczym stały lub leżały bliżej drzwi, teraz znalazły się w najdalszej części pokoju „ostatniego”, a te, do których nigdy nie dotarłam,

ulożono bliżej jego wejścia. Domownicy deklarowali, że ten nowy magazyn będzie chwilowy, wszystko zostanie sprawdzone i mało ważne rzeczy wkrótce znajdą się na śmietniku. Oczywiście niepiśmianą kierowniczką tego pomieszczenia została mama, która klucz od „ostatniego” trzymała w miejscu tylko sobie znanym i ani jej w głowie było coś z niego wyrzucać. Naszą klucznicę złapaliśmy na tym, że z przemytu tych ostatecznie odrzuconych, które zostały wyniesione na śmietnik, targła jakieś paczki i znów chowała do „ostatniego”. Przyłapana na tym procederze, usprawiedliwiała się, że musi to jeszcze raz dokładnie sprawdzić. Dla niepoznaki właśnie w „ostatnim” często myła okno i wymieniała franki, ale tylko wtedy, gdy nikogo nie było w domu. W jaki sposób pokonywała ten labirynt i przedostawała się między licznymi kufkami, skrzyniami, paczkami i stertami gazet? Strach pomyśleć! I tak zeszło następnych kilka miesięcy.

* * *

Byłam wyjątkowo zaintrygowana tym tajemniczym pokojem, bardzo chciałam dostać się do środka i pobuszować w nim spokojnie. Opatrzność czuwała nad moimi pomysłami. Któregoś dnia, ścierając kurz z segmentu w „wąskim”, sąsiadującym z tym „ostatnim”, trafiłam na ukryty między książkami klucz. To tak, jakbym zrobiła pierwszy krok, ale żeby tam wejść, przyjdzie mi czekać na odpowiednią chwilę. Szczególnie ciekawiły mnie dwie skrzynie. Jedna obita blachą, z zardzewiałą kłódką, zawiera ponoć pamiątki po prababci Florentynie. Druga bardziej ozdobna, zwana posagową, w której mogło być wszystko, ale nie wiano. Zgłębić zawartość tej pierwszej to marzenie ściętej głowy, bo właśnie ta z kłódką stała ni mniej, ni więcej, tylko pod posagową, a tej sama nie zdejmę! Żeby ją ściągnąć i odstawić, musiałabym odsunąć szafę i dwie mniejsze szafki. Ostatecznie moim pierwszym celem była zawartość białej szafy. Kiedy samozwańcza szefowa od klucza wybrała się do pani Marii z imieninowo-śniadaniową wizytą, wparowałam tam cichcem. Kota nie ma w domu, to myszy harcują.

* * *

W dwudrzwiowej szafie, na lewym skrzydle błyszczą przykurzone kryształowe lustro, na którym panowie od przeprowadzki sprawdzali swoją umiejętność pisania po łacinie. Mebel zdobią piękne rzeźbione gałki z bursztynu. Do tego meblowego kompletu należą rozłożone na części łóżko, szafka nocna z jantarowymi upiększeniami i stoliczek. W chwili, gdy już wszyscy sąsiedzi mieli nowe modne segmenty ze sklejki, wystane w nocnych kolejkach, ten uroczy biały komplecik został wysiedlony z pokoju „wąskiego”. Nasz dom też chciał być modny i za własne pieniądze ukaraliśmy się tandetą.

Wolniutko otwieram prawe skrzydło, bo boję się, że zacznie skrzypieć. Nie

jestem jednak na tyle cicho, żeby nikt mnie nie usłyszał. Buchnęło też stęchłym zapaszkiem. Tak jak przewidywałam, usłyszał to skrzyknięcie tato. Zaintrygowany, przyszedł i pochwalił, że robię porządki. Po czym odwrócił się na pięcie i, korzystając z tego, że mamy nie ma w domu, poszedł w spokoju zapalić mocnego. Nie mam dużo czasu, muszę się uwinąć, nim przyjdzie moja latorośl Kama, bo wówczas niuchanie będzie już na cztery ręce. Zawartość szafy jest mi właściwie znana, ale za każdym razem coś innego mnie frapuje. W lewej części szafy, tej z półkami, stoją pudełka. Pierwsze, które otwieram, wypełnione jest ponadstuletnimi koronkami, gipiurowymi kołnierzykami, wymyślnymi welurowymi bindami zakładanymi na więdnącą szyję, jedwabnymi żabotami dopinanymi do bluzek lub sukienek i kruszejącym ze starości koronkowym angażantem. Intrygują mnie nawet wypłowiałe jedwabne wstążki. Kostiumolog teatralny byłby zachwycony tym znaleziskiem. W następnym pudle bielizna osobista: niezmiennie podziwiam niewymowne z klapą, mają dłuższą nogawkę i są misternie wykończone haftem angielskim. Do kompletu pożółkłe haftowane staniczki, gorset z fiszbinami, na którym rdzewiejące haftki upstrzyły materiał. Dotykam tego z najprawdziwszym rozrzewnieniem – w tym chodziła moja babcia! Na samym spodzie leży zdezelowana torebka z ruchomą metalową rączką, a w środku muślinowa chusteczka, książeczka do nabożeństwa z zaznaczoną litanią „Do serca Jezusowego”, śmieszne druciane okulary oraz maleńki pojemnik z wykręcanym sztyftem na perfumy. Na dnie jakaś zapisana, ale już nie do odczytania, karteczka z dobrze zachowanym tytułem „Intencje”. Mogła to być kartka, z której babcia dyktowała księdzu imiona zmarłych, zamawiając mszę za ich dusze. Jestem przekonana, że to była torebka niedzielna i tak mogła być wyekwipowana na ostatnie nabożeństwo w swoim życiu.

W popłochu odrzucam torebkę, bo zza firanki dostrzegłam przechodzącą za oknem jakąś jasną czuprynę. Zamieram na sekundę i zaraz cieszę się, że to nie siwiutka fryzura z koczkim mamy. Dzwonek u bramy ostatecznie wypłoszył mnie z „ostatniego”. Wychodzę. O, pan Andrzej! I już z radością witam organizatora widowni toruńskiego teatru. Zapraszam go do środka i bez pytania, czy coś wypije, nastawiam czajnik. Przedstawiciele teatrów nie respektują moich godzin pracy, tylko utarło się, że robią nalot dywanowy na dom bez względu na porę. Uzgadniamy termin spektaklu, odbieram afisze, wejściówki dla władz miasta i jeszcze zastanawiamy się nad liczbą występów. Proponuję dwa, ale pod warunkiem, że co do drugiego przedstawienia, to jutro upewnię się w miejscowym liceum, czy będziemy mieli chętną młodzieżową widownię, i dopiero wtedy odpowiem. Podpisujemy umowę wstępną. Podejmuję pana Andrzeja słodzoną miodem herbatą i kruchymi ciastkami. Myślę jednak, że ludzie pracujący w terenie ucieszyliby się bardziej z pajdy chleba ze skwarkowym smalczykiem. Ściskamy sobie ręce, mówiąc: „Do zobaczenia w dniu spektaklu!”.

Wracam do „ostatniego”, na dalszy przegląd rupieci mogę poświęcić około czterdziestu minut. Na środkowej półce natrafiam na okrągłe pudełko na kapelusze zamykane pokrywą ze skórzaną rączką, które od zawsze mi się podobało. Teraz wieko z cienkiej dykty, z której zesła politura, nie domyka się, ale zawartość na tym nie cierpi. Wypełnione jest małymi poobtlukiwanymi porcelanowymi figurkami, pustymi flakonikami, szczotkami do włosów z metalowymi rączkami, spinkami, klamerkami. Sentymentalna wartość tego jest ogromna, materialna żadna. Samo pudło jest fajne i może zyskać drugie życie.

Schyłam się po duże tekturowe pudełko lekkie jak puch. Znam je z wypraw do budynku gospodarczego, w którym wcześniej rezydowało. Pociągam za sznureczek zawiązany w niechlujną kokardkę i zanurzam rękę w piórach wysłużonego boa. Kolory są świetnie zachowane, ale sypią się pojedyncze części strusich piórek. Wymyślne i wypracowane egrety, które przypinało się do kapelusza bądź do fryzury. Najbardziej podoba mi się ten z czarnym ptakiem już z tylko jednym okiem i z wyskubanym ogonem. Chociaż nie wiem, czy palmy pierwszeństwa nie przyznam pastelowemu ogródkowi. Na pewno tego dziwadła nie nosiło się na co dzień. Już widzę moją babcię w takim rajskim ogrodzie na głowie, robiącą zakupy na miejscowym targu! Korzystam z okazji i przymierzam sama.

Odruchowo wycieram rękawem bluzy zakurzoną taflę lustra i z zaciekawieniem przyglądam się własnemu odbiciu. Trzeba przyznać, że przy buro-szarym domowym dresie ta wymyślna ozdoba wygląda po prostu idiotycznie. Zdejmuję ją jednym ruchem ręki, nie przestając przypatrywać się sobie. Ale ta kobieta, która ukazała się moim oczom spod grubej warstwy kurzu, wcale mi się nie podoba. Zajadanie smutków zaprocentowało kilkoma dodatkowymi kilogramami. Zaniedbana fryzura i pierwsze siwe włosy, szara cera, zmęczone, beznamienne spojrzenie. Byle jakie ubranie, w którym nawet po domu nie wypada chodzić. Naprawdę ja tak wyglądam? Energiczna, apetyczna Ewa Wojciechowska zamieniła się w apatyczną, czterdziestopięcioletnią babę, a do tego wdowę. Kręcę z niedowierzaniem głową. I ta w lustrze – niby ja, ale nie ja – też pokręciła z dezaprobatą. Już chciałam schować pudło na półkę, zamknąć szafę i uciec z tego pokoju, trzaskając za sobą drzwiami, ale... Nagle dostrzegam coś bielącego się w głębi szafy.

Sięgam po dziwny pakunek. To nieduża poduszeczka. Odpinam trzy rozpadające się guziki z materiału naciągniętego na miniaturowe metalowe obręcze i zaglądam do środka. Nigdy nie widziałam tej poszewki i zawartości: czarna, welurowa i obszyta futerkiem mufka. Coś takiego widywałam na rycinach starego żurnala, który mocno zdezelowany wylądował w końcu na stercie śmieci. Już miałam kończyć to szperanie, już domykałam drzwi szafy, kiedy na dużym pudle ze starymi czasopismami dostrzegłam ślady papieru misternie pociętego przez... mysz! Więc mamy w domu myszy! Cholera, co teraz mam zrobić? Patrząc pod

nogi, jakbym spodziewała się ewentualności nadeptnięcia na horde tych potworów, wycofuję się z „ostatniego”.

Kombinuję, jak razem z tatą zewrzeć siły w walce z gryzoniami. Trzeba to zrobić w tajemnicy przed Kamą, bo na przekór logice będzie je dokarmiać przez dziurkę od klucza. Zajmę się jednak sama domową eliminacją potworów. Wskoczę na chwilę z domu i kupię kilka łapek – na początek trzy. Zarzucam kurtkę, wskakuję w kamaszki i pędzę do ogrodniczego, do którego mam kilka kroków.

Bez trudu nabyłam te śmierniczośne urządzenia i już jestem z powrotem. Zaglądam do lodówki: jest tylko krakowska podsuszana. Nie jestem pewna, czy one ten rodzaj wędlin lubią, ale co tam, zaryzykuję! Zakładam przynętę, naciągam zawleczkę. Moje ręce pachną apetycznie wędzonką, więc mali mieszkańcy „ostatniego” za moment również czują tę woń. Z tymi mysimi szafotami raz jeszcze zakradam się do „ostatniego” i urządzam swoistą jadłodajnię. Pośpiesznie zamykam drzwi i klucz odkładam na segment. Przez chwilę nasłuchuję, czy droga wolna, i ruszam.

Gdybym była przekonana o inteligencji tych zwierząt, to najchętniej otworzyłabym drzwi od kolejnych trzech pomieszczeń i wreszcie te na podwórko, tworząc drogę wolną do wyjścia. Ale z drugiej strony, stworzyłabym warunki do wejścia tym gryzoniom, które były gdzieś w rozbieranym budynku, a teraz tułają się po zakamarkach podwórka i chcą połączyć się ze swoją mysią rodziną. I tak źle, i tak niedobrze. Martwmy się tymi domowymi – ostatecznie, na pocieszenie mają podaną luksusową wędlinę, aż szkoda, że zdołają ją tylko powąchać.

Ręce myję wyjątkowo dokładnie. Ledwo zdążyłam odwiesić ręcznik, kiedy wchodzi uśmiechnięta mama z ćwiartką tortu czekoladowego pod celofanowym daszkiem. Zaczyna mi opowiadać, że przyszło pięć pań, że było bardzo sympatycznie i wesoło do chwili pojawienia się pijanego syna solenizantki – Stacha.

– Domagał się alkoholu, szarpał matkę za rękaw, nie szczędził nam ordynarnych słów, aż wreszcie położył się i zasnął. Marysia posmutniała, była zawstydzona i rozmowa już się nie kleiła. Panie pośpiesznie żegnały się i wychodziły, ja wyszłam ostatnia, bo pomogłam uprzątnąć stół. Marychna stanęła przy zlewie, myła i płukała naczynia, a ja wycierałam je i ustawiałam na kredensie. Pośpiesznie zbierała co cenniejsze rzeczy i chowała do różnych wypróbowanych zakamarków. Srebrne sztuce, cukiernica, patera, świeczniki trafiły do piekarnika, grubsze pieniądze z portfela chciała położyć na szafie, ale wcisnęła w moją rękę. „Przechowaj proszę”, powiedziała. Bez słów objęła mnie za szyję i się rozpląkała. Czterdziestopięcioletni synekzek wyprawił mamusi imieniny! – podsumowuje ze złością starowinka. Wreszcie wzdycha ciężko, chwilę milczy, siada na krześle i mówi ze smutkiem: – Współczuję jej serdecznie, robi wszystko, żeby ukryć swoją

rozpacz. Wstydzi się za syna i winę zawsze bierze na siebie: „kochałam go, pozwalałam mu na wszystko i teraz nie mam syna, ale bezwzględne zwierzę”. Wieczorem zajrzę z tatą do Marysi, zobaczymy, czy już się wyniósł i czy wszystko jest dobrze.

A po tych skrupulatnych relacjach zaniepokojona staruszka rozgląda się po kuchni i pyta: – Co to, córka, obiad w polu?

Tu wstawiam bajko-opowieść i, kłamiąc jak z nut, mówię o bardzo długiej wizycie pana z Torunia, o parzeniu mu herbaty i jeszcze kolejnej, że tak długo to wszystko zeszło.

Na szczęście mamy w zanadrzu na przygotowanie obiadu całą godzinę. Rozdzielamy zadania: ja zajmuję się *nadzieniem do kurczaka*, a ziemniaczki i mizerię robi mama. Drób *prima sort* od Wesołych z Przepustu miałam już wcześniej przygotowany. Wątróbka oraz namoczona w mleku i odcisnięta bułka są już zmielone, dokładam tylko posiekaną natkę, wbijam jajko, sól oraz pieprz do smaku i napełniam tuskę. Zaszywam ptaka, okrywam folią i wkładam do rozgrzanego piekarnika. Na dziesięć minut przed końcem pieczenia rozchylę folię, żebyśmy wszyscy mieli chrupiącą skórkę. Ale już z góry wiem, że swoją chrupkość oddam Kamie i to samo zrobią dziadkowie pod pozorem, że nie lubią takiej... brązowej skórki. A ona nas wyśmiej, że nie wiemy, co dobre. To przekomarżanie to już taki nasz świecki obyczaj. Teraz ugotowane ziemniaczki są poddane prasce, chluśnięta śmietanka czyni je kremowymi, drugą porcją śmietany zostają polane ogóreczki i – jak na zawołanie – otwierają się drzwi wejściowe. Z szalikiem i czapką w ręce wchodzi Kama, a z pokoju wygląda do nas głowa taty. Padają komendy wydawane przez mamę: „Myjcie ręce!”, „Kama, szybciutko sztućce”, „Henryczku, dostaw krzesło”. Ja jestem nietykalna, porcuję kurczaka – zadanie trudne, bo nożyce niezbyt ostre. Siadamy, ale z mojej strony nie będzie większej koncebry, gdyż o czternastej muszę być w pracy. Żałuję, że nie będę świadkiem bojów Kamy o zrumienioną skórkę, wypijania śmietanki z dna salaterki po mizerii i pomocy córki przy zmywaniu naczyń. To i tak lepiej, bo ja w dzieciństwie jak tylko wyczułam, że będzie przygotowywana *zasmażka*, to nie odstępowałam płyty kuchennej nawet na krok. Uzbrojona w małą łyżeczkę czekałam na patelnię z resztkami tego specjału. Z narażeniem ręki na oparzenie chwyciłam ją i sadowiłam się na stołeczku w kąciu kuchni. Wystarczy tych wspomnień!

Ubrana w kurtkę dopijam kompot, łapię za torbę, porywam rolkę z plakatami teatralnymi na *Trzy siostry* i pędzę. Kawalek ulicą 3 Maja, zakręt w prawo w Browarną, po pięćdziesięciu krokach w lewo Piwną i pod górę Klasztorną. Lekko zasapana, ale nie spóźniona, wchodzi w Kościuszki i już docieram do celu: robota. Przede mną poczciwy gmach Domu Kultury. Mimo że nikt stojący na schodach nie widzi mojej twarzy, uśmiecham się do nich serdecznie. Kocham ludzi, czy to tych najmłodszych z sekcji plastycznej, czy staruchów z LO od maski

Melpomeny, co pięć minut zmieniające się składy grup muzycznych, recytatorów.

Maryla, Basia, Bożenka, Zosia, Małgosia, Ewa – to dziewczęta z tanecznej Szóstki. Siedzą na schodach zagadane, na wieszakach trzymają spódnice do tańca. Natychmiast zgłaszają, że będą tylko godzinkę i uciekają pisać ściągę na gegrę. Nim włączyłam magnetofon, tancerki stanęły przebrane na scenie. Marylka prowadzi króciutką rozgrzewkę i zaczynamy próbę. Już od pierwszych taktów *Lambady* są pomyłki w układzie, widać, że każda jest zajęta swoimi myślami, a nie tańcem. Wyjątkowo nie strofuję ich, kładę nacisk tylko na krok podstawowy. Dla dobra wszystkich jeszcze raz powtarzamy i się rozstajemy. I tu niespodzianka – część osób chce zostać jeszcze trochę, a część już zdjęła kostiumy. Staję się rozjemcą i ustalamy, że za tydzień umówimy się godzinę wcześniej i popracujemy podwójnie. Już pogodzone ze sobą dziewczyny wychodzą, ale w holu któraś jeszcze krzyczy: – Pani dyrektor, ma pani gościa!

Odłączam magnetofon, gaszę rampę nad sceną i wówczas dostrzegam stojącą w drzwiach szefową Klubu Seniora. Charakterystyczna przetykana złotą nitką chustka w róże i laseczko-ciupaga to jej znaki rozpoznawcze. Tego nalotu się nie spodziewałam, nie chcę wysłuchiwać żadnych skarg i nie chciałabym uczestniczyć w żadnych personalnych rozgrywkach. Szanuję tych ludzi, ale zbyt dużo złego dzieje się w klubie: plotki, obmowy, pretensje. To było moje ulubione dziecko – drugi w Polsce klub i zaczynałam od zera. Panie przychodziły ubrane jak na niedzielną mszę, panowie im dorównywali białymi koszulami i krawatami. Przemyślane zajęcia, spotkania z ciekawymi ludźmi, herbatka, ciasteczka i pokazy kulinarne sponsorowane przez GS. Jubileusze, imieniny członków klubu, harcerze odprowadzający najstarsze osoby do domu i składkowe wycieczki. Czy mogło być jeszcze lepiej?

– Dzień dobry, co panią sprowadza? – pytam zaniepokojona i zapraszam do biura. Ale patrząc na minę przewodniczącej, właściwie już mogę sama sobie odpowiedzieć: kwas w klubie. Niedawno największą kością niezgody były dary rozprawiane przez Caritas: sery, makarony, mąka, zupki w proszku itp. Bronię się przed tymi waśniami. Może, kiedy będę w ich wieku, też będę taka kłótniwa. Z jednej strony cieszę się, że podarowane nam produkty nie wylądowały w placówce, ale zawieziono je do prywatnego mieszkania. Z drugiej martwię, że wiktuały nie zostały rozdzielone przez trójkę klubową i jest pewne grono bardzo z tego niezadowolone. Wejdz tu, człowieku, w to gniazdo os... O nie! nie zrobię kroku, bo wiem, jak to się skończy. Gdzieś odeszła życzliwość, serdeczność i uczciwość, ale ja nie zamierzam już tego naprawiać. Z mało sympatycznej rozmowy wybawiają mnie recytatorzy. Właścicielka zacnej pieczętki klubu wychodzi bardzo niechętnie, wściekła za moją rezerwę do jej wersji zdarzeń i plotek, które przyniosła. Już się pożegnałyśmy, wchodzę na schody, ale z oddali słyszę jeszcze jej głos. – Jak im się nie podobam, to mogę to wszystko rzucić! –

mówi.

Och, ile razy już to słyszałam?

* * *

Młodziaki nawet nie widzą, jak wchodzę do sali, są wsłuchani w opowiadanie Maryli o ubiegłorocznym konkursie recytatorskim w Łącku. Odbył się piętnastego maja! Wybuchają salwą śmiechu w chwili, kiedy wspomina, jak mówiła tekst Młodożeńca: „zabielilo się, rozszerzyło się...”[1], a tam za oknem wirują... najprawdziwsze płatki śniegu. Kiedy doszła do słów „hej, mistrzu Adamie, hej, w białym turbanie – skacz”[2], jury i cała sala, nadal patrząc w okno, buchnęli gromkim śmiechem i rozwalili jej prezentację. Wtedy naprawdę się wściekła, nie chciała powtarzać recytacji i wybiegła z sali. Takiego psikusa potrafi zrobić nieokiełznana pogoda! Marylka dziś umie się z tego śmiać, ale wtedy nie mogłam jej uspokoić.

Włączyłam czajnik, bo przy herbacie, tym razem „Jubileuszowej”, jakoś miło jest prowadzić dysputy o tekście do interpretacji. Miejsce akcji *Calej jaskrawości* Stachura osadził między innymi w naszym mieście. Zrobiłam skrót tekstu i ograniczyłam czasowe ramy. Andrzej zgłasza się na narratora, a Marki chcą prowadzić dialog i śmieją się, że obaj pasują do roli Witka. Po raz pierwszy czytają tę powieść, trochę ich bawi pokręcona przez Stachurę topografia miasta. Kiedy, śledząc tekst, „dowędrowali” do Przypustu, tam oczyma wyobraźni zobaczyli całą jaskrawość i już byli tekstem zachwyceni. Jestem przekonana, że teraz sięgną po *Siekierzadę* i po następne pozycje z pięcioksięgu. Chętnie słuchają moich wspomnień o kultowym Edzie, kawach pitych z nim w moim biurze, o nieodłącznej gitarze noszonej przez niego na plecach, startych dżinsach, kapeluszach, spotkaniach autorskich i jego rozśpiewanych wieczorach. Opowiadam o jego umiejętności wyłączenia się z towarzystwa, plumkaniu na gitarze i cichutkim podśpiewywaniu. Razem słuchamy odtwarzanych z magnetofonu piosenek, które nagrałam na jednym z jego wieczorów autorskich. Podziwiamy jego niepowtarzalny tembr głosu, dramatyzm wykonania i teksty, które sprawiają, że przez dłuższą chwilę nie widzimy potrzeby odzywania się do siebie.

Mówić o Stachurze w czasie przeszłym to wciąż duży ból i żadne modne „Stachuriady” nie rekompensują tej straty. To tylko erzac, ale jednak kawałek Edwarda. Nigdy nie zapomnę, jak niemal dekadę temu, kilka miesięcy po jego śmierci przygotowałam wieczór jego poezji. Dekoracją były duże białe praktykable, na których recytatorzy po wygłoszeniu swoich kwestii ustawiali zapalone świece. Na ostatnim pustym prostopadłościanie zaplanowaliśmy położenie kwiatów. I nagle to pudło, przez nikogo nie tknięte, przewróciło się z hukiem. Recytatorzy jak na komendę odwrócili się i zdziwieni patrzyli na leżącą bryłę. Marcyś Kostecki nie stracił zimnej krwi, rozpoczął swój wiersz i na jego

zakończenie, jak było umówione, położył na tym pudle wiązanekę. Tego, co wydarzyło się później, nie było w scenariuszu, a cała szóstka zabrała swoje ogarki i przeniosła je na pudło z kwiatami. Cisza trwała i trwała, chwilę później rozległy się ogromne brawa. Nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć tego zjawiska z pudłem i spontanicznej reakcji recytujących.

* * *

Na parterze głośno, rozgadani kinomani zwartą grupą czekają w holu, by wejść na salę. Powtórkowy seans *Wejścia smoka* wciąż przyciąga widzów. Choć film miał premierę kilka lat temu, ta stuprocentowa frekwencja na sali kinowej to dowód, że moda na walki Wschodu nadal trwa. Przerywamy zajęcia, bo gwar bardzo przeszkadza, a ten czas przeznaczamy na wypicie następnej herbaty. Wiem, że ta przerwa zniszczy atmosferę zadumy i dobrą energię, która zdążyła się nabudować – trudno, pogadamy i się rozejdziemy.

Miałam w planie dużo zrobić: opracować plan zajęć na dwa miesiące wakacji, zająć się naprawą kurtyny, odpisać na pismo komisji kultury. Źle też się stało, że nic nie zrobiłam w sprawie organizacji spektaklu, ale tym się zajmę jutro od rana. Muszę zapomnieć, że w domu cokolwiek zrobię. Planowałam upranie pościeli i dużych ręczników frotté, ale trudno, trzeba to przełożyć. Żyję w tyglu pracy od wtorku do niedzieli, a nawet mój szewski poniedziałek nie zawsze jest tylko mój. Muszę też pamiętać o zapewne już zmumifikowanych szczątkach myszek. Wciąż brakuje czasu, ale jutro muszę uprzątnąć ich zwłoki. Trzeba też dobrać się do skrzyń...

* * *

Dobrze, że wczoraj, wracając z pracy, podeszłam do „tablicy ogłoszeń”, która zadomowiła się na bramie znajdującej się blisko magistratu. Obok klepsydry znajomego z Przypustu dostrzegłam karteluszek z informacją o jutrzejszej przerwie w dostawie prądu na kilku ulicach, w tym niestety na ulicy Zjazd. Najpierw zdenerwowałam się, a potem... ucieszyłam, bo pomyślałam, że wreszcie usiądę i opracuję plan pracy oraz scenariusz zaplanowanego widowiska regionalnego. To nie jest proste zajęcie, zważywszy, że wszystko już było i trudno wykoncypować coś nowego i oryginalnego. Najtrudniejsze do zaplanowania są zajęcia oświatowe i spotkania w klubie seniora. Zespoły i kółka zainteresowań to raczej samograje, młodzież i dzieciaki lubią działać, ćwiczyć, uczyć się ról i pokazywać na scenie.

Jak postanowiłam, że pójdę do pracy zaraz po śniadaniu, tak zrobiłam. Po drodze kupiłam środki czystościowe, wstąpiłam na pocztę po korespondencję i przekazałam do magistratu L4 instruktorki tańca. Obładowana koszykiem, dwiema torbami z papierem toaletowym, rulonem zdobycznego brystolu na plakaty ruszyłam w kierunku „kultury”. Mówiłam sobie w myśli: „ten dzień wolny od

gwaru dochodzącego z sal prób trafił mi się jak ślepej kurze ziarno”. Rozmarzyłam się, że dzięki zasilaniu prądu, a właściwie jego braku, uzyskam mnóstwo godzin i wreszcie w terminie się wyrobię z tą pisaniną. Zaskoczę WOK i nie będą musieli mi wysyłać ponaglącego monitu. Uśmiechnęłam się do własnych myśli, bo tej pisaniny wyjątkowo nie lubię.

Po drodze wstąpiłam jeszcze po kruche ciastka i kawę, bo wczoraj łyżeczka stuknęła już o dno puszek. Pani sprzedawczyni porozumiewawczo wskazała palcem na leżący na ladzie, już nakrojony, blok piernikowy i zrobiła minę, która mówiła, że się dziwi brakiem mojego zainteresowania. Nie mogłam jej więc zawieść!

– Pani Krysiu, ćwierć kilograma piernikowego poproszę i pudełeczko galaretek – wskazałam ręką na słodkie delikatesy.

Sklepową uśmiechnęła się uradowana, że jej dobre podpowiedzi poskutkowały. Wszystko zapakowała w torebkę papierową i, widząc, że rękę mam zajęta, paczuszkę położyła na wierzchu koszyka. Wypytała mnie przy okazji o repertuar filmowy na najbliższy tydzień, spytała o mamę – bo rzadko ją ostatnio widuje w sklepie – i takie tam różne inne sprawy. Dziwne, że tym razem nie pytała o Mariusza, w którym durzyła się wiele lat temu. I jeszcze dopowiedziała na koniec: – Pani Ewo, proszę nie zapominać o moim sklepie.

Zrobiło mi się trochę głupio, bo faktycznie zachodzę coraz częściej do tego nowego w rynku. No tak, w takiej mieścinie to kilkudniowa absencja w sklepie X coś znaczy.

Po wyjściu ze sklepu natychmiast skierowałam się w stronę pracy i nawet przyspieszyłam kroku. Uszłam kilka metrów i z tyłu usłyszałam swoje imię: „pani Ewo!”. Nie zareagowałam, ale kiedy ten głos się wzmościł przy powtórnie wypowiedzianym imieniu, zatrzymałam się i odwróciłam. Podbiegła, jeżeli jej szybszy krok można nazwać biegiem, pani Katarzyna Cieślak. Zarumienione policzki i przyspieszony oddech świadczyły o emocjach i zdenerwowaniu. Przewidując, że ta rozmowa może potrwać dłużej, koszyk postawiłam na ziemi, a torby oparłam o nogę.

– Pani Ewuniu, czy już naprawdę nie ma miejsc w klubie seniora? Rozmawiałam z Ziemińską i ona mi powiedziała, że lista jest już zamknięta – nie kryła wzburzenia. I już bardzo rozgniewana kontynuowała: – Ja już dawno miałam pójść do pani i dowiedzieć się prawdy. Chętnie bym chodziła na spotkania, a i na wycieczkę człowiek by pojechał. Ona chyba przez złość na mojego Józefa mnie nie chce w klubie. Bo mój jest w komisji porządkowej, nakazał Ziemińskim uporządkowanie terenu wokół domu i postraszył karą. Teraz ta baba odgrywa się na mnie.

– Pani Katarzyno, powiem krótko: seniorzy spotkają się w przyszły wtorek, zapraszam panią na godzinę szesnastą i ja przedstawię panią jako zapisaną do klubu. Tyle mogę pani zagwarantować. Może tak być? – zapytałam.

– Dziękuję! – wykrzyknęła z radością i ucałowała mnie siarczyście. – Będę punktualnie o szesnastej – odkrzyknęła, będąc już kilka kroków ode mnie.

Schyliłam się po moje bagaże i ruszyłam przed siebie. Tym razem wyjątkowo nie skręciłam w Browarną, tylko poszłam ulicą 1 Maja. Lubię rozglądać się po mieście, wpatrywać się w okna mijanych domów i wspominać: tu mieszkali Głowaccy, a tu pracował dziadek Stanisław, a tam wchodziło się do mojej koleżanki Zdzisi. Tu chodziłam z mamą do pani Ewy, a tam w głębi był dom pani Strych – handlarki włoszczyzny i szczawiu. Jak znalazłam się w połowie drogi, to akurat mijałam liceum i dostrzegłam przed bramą grupkę młodzieży. Nie patrzyłam w ich stronę, aby nikomu z nich nie przyszły do głowy jakieś pogaduszki ze mną. Odpowiedziałam tylko na ich „dzień dobry” i tak skwitowałam nasze przelotne spotkanie.

Teraz zwolniłam troszkę, bo ulica Narutowicza zaczyna piąć się pod górkę. Łapię przez chwilę oddech, patrząc na malowniczy kościół usytuowany na niewielkim wzniesieniu i już moje myśli biegną do ojca Kolbego przebywającego tu w 1921 roku i do ojca Andrzeja Klimuszki, który spędził w naszym miasteczku prawie sześć lat. Bryły kościoła i budynku poklasztornego niezmiernie mnie zachwycają – to architektoniczna perełka. Teraz już zaczynam człapać noga za nogą, droga pod górkę robi swoje. Nie ma ludzi na ulicy, ale słychać gwar dochodzący z boiska szkolnego, a to znaczy, że właśnie trwa przerwa. Jakieś dziecko przelazło przez dziurę w ogrodzeniu szkoły podstawowej i biegnie alejką w dół. Poznałam Darka Mańkowskiego i zapytałam go głośno: – Dareczku, dokąd tak pędzisz?

Odpowiedział, że do domu po zeszyt z wypracowaniem z polaka, a potem zwolnił i krzyknął: – Szkoda, że przez ten prąd dziś nie będzie w domu kultury naszej próby!

O proszę, jak wieść się rozniosła! Darek mieszka za sklepem spożywczym, więc zdąży obrócić przed dzwonkiem – pomyślałam.

Jeszcze zakręć i już widzę budynek domu kultury, parę głębszych oddechów, kilkadziesiąt kroków, przechodzę na drugą stronę ulicy i wchodzę prosto na Henrykę Król, która już z daleka krzyczy: – O, jak dobrze, że panią widzę!

Moja krawcowa wyraźnie się ucieszyła na mój widok. Mówię „moja”, bo faktycznie obszywa mnie od lat. Oczami wyobraźni cofam się o niemal cztery dekady i widzę siebie w zielonym kostiumie kąpielowym w kwiatki, szytym na kolonijny wyjazd do Mielna. Bardziej nieforemnej kreacji nie miało chyba żadne dziecko. Wiem, co mówię, bo mam fotkę, na której zostałam uwieczniona w tym dziwacznym kostiumie. Przed laty to zdjęcie głęboko ukryłam pod oprawką pamiętnika. Pani Henryka dokończywszy myśl, poleca mi przekazać mamie, że trzy poszewki z szydełkowymi wstawkami są już uszyte, fartuszek bez rękawów też, tylko brakuje jej zamka do brązowych spodni pana Henryka – i prosi

niezwłocznie donieść.

– Najlepiej niech Kama przyniesie, bo chcę jej pokazać malutkie Rusałki.

Muszę mieć zdziwioną minę, bo rozwija myśl i dopowiada, że kotce Rusałce urodziły się cztery małe, i pyta, czy nie wzięlibyśmy jednego. Ostatnie wyrazy wypowiada tak jakoś ciszej i niepewnie, bo, jak mówi, „nie wiadomo przecież, czy babcia Zosia pozwoli”.

– Ewuniu, a dla pani nic nie szyjemy? – pyta trochę zaczepnie i dodaje: – Niech się pani tylko nie gniewa, ale ja to już dawno miałam powiedzieć, że nie lubię patrzeć na te pani czarno-szare kreacje, proszę skończyć z tą kolorystyką. Żalobę to się w sercu nosi, pani jest jeszcze młoda, a takim strojem człowiek tylko się postarza.

Już miała odejść, ale jeszcze wzięło ją na sentymenty. Zaczyna wspominać, jak poznała swojego męża Artura na festiwalu w Kazimierzu, jak jej się podobała jego szarmanckość i już na odchodne konstatuje: – Pani Ewo, ale jak on panią kochał, jak na panią patrzył! Cały zespół nie mógł się nachwalić, że pani tak dobrze wybrała.

No i jeszcze tylko ta rozmowa i te wspomnienia były mi potrzebne! Tak usilnie unikam takich tematów, bo ta strata nadal tak bardzo boli. Patrzę chwilę za panią Henią i z jednej strony jestem trochę zła, ale z drugiej lubię, jak ludzie z życzliwością wspominają mego męża. Z tymi kolorami to chyba też ma rację...

* * *

Zaraz po wejściu do biura posegregowałam środki czystości i poukładałam na półkach w schowku, przestawiłam biurko pod okno, bo zapowiada się huk pracy, a jak zacznie zmierzchać, to przy szybie będzie widniej i zdołam jeszcze trochę popracować mimo braku sztucznego światła.

Nowość – *blok czekoladowy o smaku piernikowym* wygląda do mnie z papierowego opakowania i to jest bezsporny, rozkazujący argument dla moich kubków smakowych: degustuj! Przeniosłam ze stoliczka maszynę do pisania Erika i ustawiłam ją na blacie biurka, wyciągnęłam z opakowania plik papieru do maszyny, kalkę, zeszyt na brudnopis, długopisy. Wiedząc, że dziś nie będzie szansy na zaparzenie sobie herbaty, przezornie wzięłam sobie z domu termos z esencjonalnym naparem. Nie lubię jednak pić z metalowej nakrętki, więc z szafeczki sięgnęłam po ulubiony biały kubek ze złotym szlaczkiem. Nie traciłam czasu na talerzyki, tylko pokroiłam blok na małe kawałki i jadłam wprost z papieru.

Z tak przygotowanym frontem robót mogę przystąpić do pracy. Usiadłam na krześle z dodatkową poduszką i wreszcie mogłam oddać się pracy twórczej. Tak mi się przynajmniej wydawało. Po chwili zerwałam się z siedziska, bo przypomniałam sobie, że nie zrobiłam wywieszki na drzwi wejściowe: „placówka nieczynna z powodu braku prądu”. To jedna sprawa, a druga – z torebki nie wyciągnęłam

terminarza. Najważniejszego narzędzia, by coś sensownego zaplanować. Wróciłam na miejsce z jeszcze jedną dodatkową poduszką i już miałam zrobić pierwszy zamach ręką w brudnopisie, gdy usłyszałam dźwięk brzęczka telefonu.

– Słucham? Słucham? – zapytałam.

Głuchy telefon, nikt się nie odezwał, więc może to była pomyłka. Jeszcze jedna taka akcja i będę miała popsuty humor. Bo to człowiek nie wie, czy ktoś nie może się dodzwonić czy robi głupi psikus?

Z nerwów w pierwszej kolejności sięgam więc po słodkości. Herbata na brzegu biurka paruje i ma piękny bursztynowy kolor. Kombinacja madrasu z yunnanem to moja ulubiona herbaciana mieszanka. Blok rozpływa się w ustach, na zęby trafiają kawałeczki pierniczków, rozgryzane mięknią i potęgują smak. Zapach unosi się i zachęca do rozkoszowania następnym kawałkiem i następnym... Z trudem mobilizuję się do pracy.

W dziale oświatowym zaplanuję lekcje języka angielskiego, również dla dorosłych. Najpierw uzgodnię z panią Joanną, czy może być u nas w czwartki dwie godziny dłużej. Dzieci kończą o siedemnastej, zaproponuję pół godziny przerwy na herbatę i wówczas o siedemnastej trzydzieści wejdzie do sali druga grupa. Mam zapisane osiemnaście osób, sama też się dopiszę, więc będzie komplet.

Zgłoszone przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej prelekcje pozostają bez zmian, tylko godziny trzeba zmienić na wcześniejsze. Największy szkopuł będzie przy planowaniu wystaw, bo jakie zorganizować? Wewnętrzne: plastyczne i fotograficzne to wiadomo, można prezentować w holu. Dzieci same je przygotowują, wybierając najlepsze prace. Ale jest zapotrzebowanie na jakąś fajną wystawę, którą można będzie zorganizować w sali u strażaków. Piękne, duże pomieszczenie było idealnym miejscem wielu ciekawych ekspozycji.

Pamiętam pierwszą epokową wystawę „Wielkie pranie kiczu”, która zrobiła furorę. Ile pracy przy niej było, to tylko ja wiem. Zebrałam najprzedniejsze „okazy” kiczu ze wszystkich miejscowych domów: gipsowe postumenciki Kościuszki, figurki baletnic stojących na czubkach palców, ceramiczne psy, koty mniejsze i większe. Jakieś inne, trudne do identyfikacji lalki z krwistoczerwonymi usteczkami. Z tych przedmiotów ustawiłam piramidę, wzorując się na konstrukcji typowej loterii odpustowej. Przez salę przeciągnęłam sznury, do których przypinałam lanszafty, makatki ręcznie malowane i kolorowe poszewki na poduszeczki. Takie najprawdziwsze szkaradztwa. W ostatniej części znalazły się obrazy, ale nie chciałam obrażać miejscowych mistrzów, więc z uwagi na mierną urodę tych dzieł na wystawie znalazły się prace... uczniów tych mistrzów. Otwarcu wystawy towarzyszył wykład historyka sztuki. Nie, nie było żadnego kwasu – widzowie obejrzeliby wystawę, wysłuchali wykładu i mimo moich próśb o odbiór eksponatów, nikt nie zgłosił się po te paskudztwa. To wspomnienie uzmysłowiło mi, że tym razem najlepiej będzie zgłosić się do wrocławskiego

towarzystwa kulturalnego i poprosić o wypożyczenie obrazów uczestników pleneru malarskiego, który odbył się kilka miesięcy temu w naszym mieście. Bingo! To będzie bardzo interesująca wystawa.

Dobry początek już mam, teraz poleci jak z płatka. Przygotowania do przeglądu trwają, na konkurs recytatorski zgłoszenia wysłane, nasz miejscowy zespół Luxomat systematycznie ćwiczy, trzymają poziom, więc można ich występ zaplanować w czasie czerwcowej imprezy sobótkowej. Jeszcze muszę napisać prośbę do toruńskiej wypożyczalni kostiumów i... ostatni raz przegryzam kolejną kostkę o piernikowym smaku, wypijam jeszcze łyk gorzkiej i już niestety zimnej herbaty.

* * *

Listonosz szedł środkiem alejki i wyraźnie przyśpieszał kroku, unosząc w ręce jakiś papierek wielkości wizytówki. Podrzucał głowę, jakby chciał powiedzieć: „hej ty, to dla ciebie, nie skręcaj”. Ale gdzie on ma swoją wielgachną torbę? Faktycznie, z torbą wychodzi dopiero o dziesiątej... No więc, co on mi pokazuje?

Lekko dysząc, zatrzymał się tuż przede mną. Wcisnął w moją rękę misternie złożony telegram z czarną obwódką. Kwituję odbiór depeszy i czuję, jak krew odpływa mi z mózgu. Kto, komu i dlaczego zmarł? Nie rozkładam wymyślnie złożonego druku, najpierw kątem oka patrzę, gdzie był nadany i natychmiast odczytuję ręczne pismo pani Jadzi z pocztowego okienka, która bardzo starannie napisała „Warszawa”. I tego przeleżałam się najbardziej. Najbliżsi z naszej mikroskopijnej rodziny mieszkają na obrzeżach stolicy, w Komorowie.

Telegram adresowany jest do mamy: *WP Zofia Zamojska*. Boże, kto to nam zrobił? – zastanawiam się. Trzymam go mocno, prawie mnę z napięcia i wilgoć spoconą dłonią papier najniższej klasy. Kieruję się w stronę Wisły, świeży powiew wiatru pomaga mi w odzyskaniu równego oddechu. Jednym ruchem rozkładam to telegraficzne origami i natychmiast widzę, że zaszła pomyłka. Ja nie znam żadnej zmarłej Inki, a tym bardziej zrozpaczonego Benka. Pośpiesznie doczytuję: „Pogrzeb w piątek, koniecznie przyjeźdź”.

Napięcie opadło w okamgnieniu, nawet ucieszyłam się, że to zmarła jakaś tam nie nasza Inka, a nie ktoś bliski. Telegram wrzuciłam na dno pustego koszyka. Uśmiechając się do siebie, skierowałam się do domu, by opowiedzieć to wszystko mamie. Zamaszyście skręciłam w naszą ulicę, otarłam się o słupek przy furtce, zrobiłam kilka kroków, stanęłam na pierwszym stopniu schodków i zamarłam... Inka – Michalinka, to pani Michalina umarła! Koleżanka mamy z dzieciństwa. Ostatnio pisały do siebie co dwa miesiące, plus kartki świąteczne. Ona przysyłała eleganckie składane, mama lubiła sama malować pocztówki akwarelką. Widziały się w ubiegłym roku, kiedy pani Michalina wraz z mężem kurowała się

w Ciechocinku. Słyszałam ich rozmowy, faktycznie, on tak do niej mówił! Inka, Ineczka. To odkrycie zmroziło mnie. Cofnęłam się, wróciłam na rynek, by jednak zrobić sprawunki i odwlec w czasie zakomunikowanie nieprzyjemnej wiadomości. Będzie to chwilę trwało – listę mam długą. Jajka kupię od Majdeckiej na targu, chleb żytni dla rodziców i razowy dla mnie. Torebkę ostrej papryki do wędzonej słoninki – zamówienie taty – i sól, żeby był zapas, bo poprzedni poszedł do posypywania oblodzonych chodników. Zerkam na kartkę i widzę, że zostały mi do kupienia jeszcze tylko płatki mydlane do kolorowych sweterków Kamy i kilka puszek węgierskiej papryki faszerowanej, którą ponoć, jak mówi pani Gienia z warzywniaka, tylko ja kupuję. Jest taka pyszna, że niedługo wykupię całą dostawę. Już spoza listy nie mogę zapomnieć o zbożowej kawie, bo dzięki niej przemycam mleko na śniadania Kamy. Jak to u nas w miasteczku, trzeba obejść trzy sklepy, by z notatek odhaczyć wszystkie produkty. Wracałam do domu nieśpiesznie.

Mama siedziała zaczytana na swoim krześle w kuchni, bliżej węglowej płyty i, nie podnosząc głowy, powiedziała: – Co tak długo?

I nie czekając na odpowiedź, dodała: – Czajniczek wyparzony, weź yunnan z madrasem, tylko nie zagotuj esencji.

Ach, ta nasza dyrygentka! Tak mówi od dziesiątków lat. Tym razem dobrze, że przypomina, bo płyta czerwona, a ja jestem w trakcie układania w głowie, jak zacząć. Postawiłam czajniczek z parzącą się mieszanką na brzegu poczciwej kuchni grudziądzkiej. Rozkładałam serwetkę w kratkę, szykuję szklanki, podstawki, cukiernicę i w tym momencie mama czujnie spogląda mi w oczy.

– Co to za przyjęcie? Czyżbyś kupiła coś słodkiego?

Nie odpowiadam, uśmiecham się krzywo, wolniutko nalewając wrzątek, odraczam ukłucie w samo jej serce. Nie siadam jeszcze do stołu, jeszcze mam głowę wysoko, gdzie jest więcej chłodnego powietrza i nie widać oczu mamy. Wypalam najdelikatniej, jak potrafię: – Twoja kumpela z Warszawy umarła.

Mama bardzo starannie składa gazetę i odkłada na skraj stołu. Bierze ją do ręki raz jeszcze i pedantycznie kładzie tak, żeby tytuł „Życie Warszawy” był dobrze widoczny. Łyzeczka cukru ląduje w jej szklance i nie pada żadne słowo. Dopiero za chwilę się odzywa.

– Michasia mieszkała na tym samym piętrze co moja babcia Florentyna, ja z rodzicami piętro wyżej. Ona była starsza ode mnie, pamiętam, jak razem chodziłyśmy do kościoła, na sanki i zjeżdżałyśmy alejkami w dół parku. Babcia nas karmiła wymyślnymi zupkami, jej budyń, kisiel, słodka *kaszka manna z masełkiem* były takie dobre – szepcze.

Mamina szufladka z pamięcią wysunęła się, jakby chodziła na najsprawniejszych przewodnicach. Starowinka mówiła o ich dzieciństwie, młodości, braku kontaktu w czasie wojny, cudownym wprost odnalezieniu, radości, rzadkich

spotkaniach. Opowiadanie mieszało się raz ze śmiechem, a raz z płaczem. Umilkła. W pewnym momencie nienaturalnie wyprostowała się, jakby ktoś ścisnął ją sznurówkami gorsetu, uniosła siwiuteńką głowę, a twarz przecinały dwie mokre strużki, podłużne ślady smutku. Powiedziała po cichu, patrząc przed siebie prosząco: – Pojedź na pogrzeb Michaliny. Kiedy on będzie? – zapytała, jednocześnie gwałtownie odsuwając moją wyciągniętą w jej kierunku rękę ze złożonym na pół pocztowym blankietem z napisem „TELEGRAM”, który teraz upadł z impetem na blat stołu. Zrozumiałam ten gest obrony przed kolejnym ciosem.

– W piątek o jedenastej, na Starych Powązkach – odpowiedziałam, zastanawiając się, jak ten cały wyjazd zorganizować.

Wszedł tata z węglarką i przesuwając pudełko z drobno porąbanym drewnem postawił ją na węglarkowe miejsce, wyszorował pod bieżącą wodą ręce i zerknął podejrzliwie na nasze milczące posiedzenie. Aromat herbacianej mieszanki zachęcił go do sięgnięcia po szklankę. Odmierzył odpowiednią ilość esencji, załat wrzątkiem, usiadł i jego wzrok zatrzymał się na telegramie. Nie zadawał pytań, nie patrzył na nasze twarze, w to miejsce usłyszał mamę:

– Michalina odeszła.

To mamusine „odeszła” zabrzmiało trochę groteskowo. Pani Michalina przez ostatni czas była przykuta do szpitalnego łóżka i o chodzeniu nie było mowy, ale o odejściu... Teraz oni zaczęli wspominać, opowiadać sobie, jak i gdzie spotykali się ze Skorupskimi. Bez słowa wstałam od stołu, bo do ewentualnego wyjazdu było niewiele czasu. Poszłam na drugą stronę domu, usiadłam w fotelu i sama z sobą uzgodniłam, że pojedę wcześniej i zabiorę również Kamę. Muszę załatwić urlop przynajmniej na trzy dni, wypiszę podanie, połowicznie nakłamię, że chodzi o wizytę lekarską dla Kamy. Ten wyjazd pozwoli mi odwiedzić wujostwo w Komorowie, małej pokazać kawałek stolicy i oczywiście wziąć udział w ceremonii pogrzebowej. Żeby zrealizować te zamierzenia, jutro raniutko musimy wyjechać. Spojrzałam na wiszący na ścianie plan lekcji i wyliczyłam, że jej klasa kończy o trzynastej, więc młoda będzie za pół godziny w domu. Zajrzałam do swojej szafy i na półki Kamy, wyjęłam bieliznę, rajstopy – ubrania dla niej i dla siebie. Trzeba jeszcze zapakować po sweterku, bo marcowa aura jest zdradliwa.

* * *

Wbiegła w rozpiętym paltku, uśmiechnięta, szczęśliwa i głośno domagała się „dużo jeść”. Pokazałam na migi, by była cicho, wskazując zamknięte drzwi do dziadków. Zamilkła i przestraszona patrzyła pytająco. Może zbyt dokładnie opowiedziałam jej o porannych wydarzeniach, bo bardzo posmutniała, podeszła do półki i wzięła do ręki pozytywkę, którą w ubiegłym roku przywiozła jej pani Michalina. Dwoma ruchami nakręciła ją i za moment słuchałyśmy melodii „Dla

Elizy”. Powiedziałam, podobnie jak to mama odezwała się do mnie, tylko użyłam formy liczby mnogiej: „Pojedziemy na pogrzeb pani Michaliny”.

Było widać, że się ucieszyła, ale reflektując się w powadze okoliczności, poprawiła szeroki uśmiech na sztucznie smutną minę. Nieoczekiwanie jednak rozpląkała się i przytuliła mocno. Nie musiała nic mówić. Bez zbędnych słów wiedziałam, że przypomniła sobie pogrzeb taty. Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że od śmierci Artura minęły już dwa lata. Jak ten czas szybko leci. Widzę to, patrząc na Kamę, która tak bardzo ostatnio wysmukłała i straciła dziecięce, zaokrąglone rysy twarzy. Moja córka dojrzeła. Coraz częściej zastanawiam się, jak ta nagła strata ojca wpłynie na jej dorosłe życie. I czasem myślę, że może za mało pielęgnuję pamięć po Arturze, ale wspomnienia wciąż tak bardzo boją. Wydawało mi się, że właśnie ze względu na Kamę trzeba jak najszybciej przejść do porządku dziennego. Kilka tygodni po pogrzebie wyprowadziłam się z Bydgoszczy – tam wszystko przypominało mi męża. Zresztą, jak bym sobie poradziła w dużym mieście z małym dzieckiem, bez rodziny i przyjaciół? Z zamyślenia wyrwała mnie córka. Wytarła oczy wierzchem dłoni i powiedziała, że jest trochę głodna. Zjadła obiad, ale jak nigdy dotąd nie chciała dokładki jej smakołyku – wołowego gulaszu – i nawet nie tknęła kompotu mirabelkowego.

* * *

Pobiegłam na pocztę do rozmównicy. Kiedy wróciłam, atmosfera w obu częściach domu była co najmniej minorowa. Weszłam do pokoju mamy, siedziała nad pudełkiem z fotografiami i pakiecikiem listów. Czytała ten ostatni, poznałam po kolorze długopisu. Nieprawda, nie czytała, bo okulary leżały obok, tylko trzymała go rękach. Bez żadnych wstępów zakomunikowałam: – Jedziemy jutro, wiązanek kupię przed pogrzebem, Kamie uzgodniłam wizytę u Rozenka i zawiadomiłam wujostwo.

Żeby nie dopuścić do zbędnej dyskusji i argumentów w stylu: „pogrzeb nie jest uroczystością, w której powinno brać udział dziecko”, szczegółowo opowiedziałam o telefonie do Komorowa, radości z naszego przyjazdu obojga wujostwa i o wszystkich ustaleniach z Andrzejem. Aby ją w pełni uspokoić, dodałam, że będzie czekał na Dworcu Centralnym i zawiezie nas na miejsce. Siedziała na brzegu krzesła, nie przytulałam jej, nie całowałam w równiutki przedziałek, zostawiłam ją samą z myślami. Każdy mój gest rozkleiłby starowinę – wiem to po sobie, że ja w takiej sytuacji rozryczałabym się na dobre. Dla niej śmierć pani Michaliny to zerwana nić z ukochaną Warszawą, dzieciństwem, grobami dziadków. Ile ja się o tym nasłuchałam: jak pożyczwały sobie sandaalki, jak buszowały po pokoju jej babci, a mojej pra, o jakiejś zgubie i jej bezowocnych poszukiwaniach, o gwałtownym wyjeździe Michaliny z rodziną. Mama ostatnio ponaglała ją do pójścia do lekarza: „Co to znaczy, że drętwieje ci ręka? Nosisz ją

na temblaku? Masz bóle i torsje? Nie bądź śmieszna, natychmiast idź do lekarza. Natychmiast!”.

* * *

W pracy najważniejsze zadania na najbliższe trzy dni przekazałam instruktorowi muzyki. Z góry wiedziałam, że nie będzie tak, jak trzeba, ale pomyślałam: „przecież mam to w...” – wymknęło mi się soczyste słowo, po usłyszeniu którego mama zawsze mówiła: „Na Boga, czy ty nie znasz innych słów? Przy dziecku też tak mówisz?”. Diabelnie mnie wkurzał wykład o wyższości słowa jednego nad drugim. Chciałam odpalić: „Mamusiuluniu, bez słowa «kurwa» nie ma przekonujących argumentów!”. Urwała się z herbu Ślepowron i wciąż myśli, że ze słowami „przepraszam”, „dziękuję” i „proszę” na ustach oraz z czapką w ręku można przejść przez świat. Ten świat? Gówno prawda! Już na swoje podobieństwo wychowałaś pierworodnego Mariusza... I co? Jest mu łatwo?

* * *

Dokończyłam sprawozdanie, ledwo mieszcząc się w terminie, poproszę tatę, żeby je jutro wysłał poleconym. Dochodzi dwudziesta druga, schowałam pieczętki, kalendarz „1990” z ważnymi prywatnymi i służbowymi notatkami, kwitariusz i jestem wolna.

Wchodzę do sypialni, starając się zachowywać najciszej, jak potrafię. Kama, jak zawsze po kąpieli, śpi z zaróżowionymi policzkami. Obudzę ją o szóstej, będziemy miały godzinę na ubranie się, śniadanie i w podróż. Padam zmęczona intensywnym dniem i wiem, że dopiero jutro budzik postawi mnie na równe nogi. No, nie było to prawdą, sen oddalił się i nadal układałam w głowie precyzyjny plan. No dobrze, Andrzej nas zawiezie, ale czy wypada go prosić, żeby dodatkowo w piątek przyjechał i zawiózł nas do kwiaciarni, a później na Powązki? Głównkowałam, aż sen, nie wiadomo kiedy, sam upomniał się o mnie.

Mama wstała grubo przed budzikiem i przygotowała nam na drogę bułki z serem i termos z herbatą. Ja wrzuciłam do torby paczkę petit beurre, dwa małe opakowania bloku czekoladowego i jabłka.

* * *

Na Dworcu Centralnym w Warszawie czekał już na nas Andrzej, zobaczyłam jego zadartą głowę wyławiającą nas z tłumu podróżnych. Trzy całusy dostają ja i jak przez kalkę głośne całusy plaskają o policzki Kamy. Odbiera mój neseser, bierze chętną rękę juniorki i kierujemy się na parking. Po pytaniach o podróż, dodatkowym całusie dla Kamy sam recytuje program naszego pobytu w stolicy: – Wiozę was do moich, tam nocujecie, rano przyjadę i zabieram was do doktora Rozenka. Zagospodarujesz sobie ten dzień aż do siedemnastej, umówimy

się tylko, skąd cię zgarnąć. Pojedziemy do Komorowa i wreszcie sobie pogadamy. Pasuje? – pyta. Pokiwałam głową mile zaskoczona precyzją planu ułożonego w jego głowie.

Zajechałyśmy pod samą furtkę, wygramoliłyśmy się z auta, on nie wysiadał, pomachał ręką swoim starszkom stojącym w szeroko otwartych drzwiach i z impetem odjechał. Ciężko było patrzeć na ciocię zgiętą w znak zapytania i z trudem oddychającego wujka. Zobaczyłam, że radość z naszego przyjazdu z minuty na minutę prostowała Steniulkę, a Józeczek nabierał równego oddechu. Kama zrobiła furorę.

– Jaka ona już wysoka! I jak włosy jej urosły! – zachwycała się ciocia. Dziadko-wujek, jak przystało na absolwenta seminarium nauczycielskiego, przepytywał ją, jaką ma średnią ocen, jaką lekturę teraz przerabia w szkole. Zagadywali nas na zmianę – robili tak jak dwa lata temu, kiedy znalazłyśmy się u nich z przepisu psychologa. Podczas naszej wizyty w jego gabinecie w kilka dni po pogrzebie Artura zalecił nam zmianę otoczenia. To w Komorowie koiliśmy nasz ból, jeżeli można pigułkę z pobytu w zoo, krople z oglądania spektaklu czy miksturę z pałaszowania rożków orzechowych w Horteksie uznać za uzdrawiające. Jak już byłam przekonana, że terapia Kamy działa, to i tak meldowała mi rano, że śnił jej się tato, jak wspólnie budowali tamę na strumieniu w Limanowej, i wybuchała płaczem. Cudowna Limanowa – wówczas byliśmy w komplecie, szczęśliwi, spokojni. Spotykaliśmy się z mieszkającą tam ulubioną „ciocią” Ewunią, siostrzenicą naszego proboszcza, spacerowaliśmy, śmialiśmy się i dobrze bawiliśmy.

Wujek zajmował się Kamą, chyba próbował przekazać jej zasady jakiejś skomplikowanej gry planszowej, bo z jego pokoju dochodziły jedynie szepty. Ja poszłam z ciocią do mikroskopijnej kuchni, a moja rola polegała na staniu obok starowinki i odpowiadaniu na pytania o nasz dom, moich rodziców i Mariusza. Ziemniaki dogotowywały się, zasmażka do *parzybrody* skwierczała na gazowej kuchence i kolorowała się na beżowo. Na dużej patelni topił się tłuszcz do smażenia wielgachnych *panierowanych kotletów*.

– Ciociu, czy dobrze myślę: mięso od szynki? – zapytałam.

Uradowana, że robi mi wielką frajdę i sprawi radość moim kubkom smakowym, przytakuje. Wie, że lubię tę część wieprzowego ciała, a u nas trudno zrobić udane mięsne sprawunki. Gadam jak na mękach! Jaka trudność! Potrzebna jest siła, przebojowość i elokwencja niewyparzonej gęby. Nie wystarczy mieć przyswojony słownik wyrazów obcych, mówić „ę” i „ą”, trzeba mieć też umiejętność przeobrażenia się w hienę. Nie ma to, tamto... Popychają – ty dla śmiechu powinnaś też popchnąć. Najlepiej mocniej! Tak, żeby ktoś się przewrócił. Gdybym tak się zachowywała, byłabym fajną babą, równiachą, a nie jakąś wdową z herbem schowanym w szufladzie. Nie trzeba kreować się na wielką „kulturystkę”

i przestrzegać bon tonu. Fakt, czuję się zażenowana tłokiem kolejki, sprośnymi dowcipami i rzuconym jakimś ochłapem na ladę przez sprzedawcę. Nic dziwnego, że wracam ze sklepu z badziewiem.

– Józeczku, siadaj do stołu! Kamuś, rozłóż jeszcze małe łyżeczki. – Słowa cioci wyrywają mnie z zamyślenia.

To odpowiedzialne zadanie ucieszyło Kamę, a może bardziej pobudził ją zapach wydobywający się z kuchni, bo wybiegła z pokoju wujka i uzupełniła zestaw sztuców. Śnieżnobiały obrus podkreślał wyjątkowość obiadu, świąteczne srebrne sztucce i wspaniale trzymająca się od bożonarodzeniowych świąt gwiazda betlejemka dawały pełny sznyt. Z przyjemnością, ale ukradkiem zerkaliśmy na Kamę, wymienialiśmy pełne podziwu spojrzenia, patrząc, jak wcinała z apetytem. Już widzę po powrocie, jak będzie się zachwycała: „Babciu, jak ja lubię jeździć do Komorowa! Dziadulki są tacy fajni!”. I tu będzie opowiadała o pysznym kotlecie, kapustce, tłuczonych i nie zapomni wspomnieć o kompociku z brzoskwiń. I tak zrelacjonuje wszystko, dzień po dniu, minuta po minucie.

Napar z ziół dla wujka, cienka herbata dla cioci, kartonik z soczkiem dla Kamy i solidna filiżanka kawy dla mnie. Roznoszę napitki i stawiam na stolikach w pokojach. My z ciocią zaszywamy się w saloniku z widokiem na ogród. Wujek i Kama wracają, jak się okazuje, do gry w warcaby. Ciocia szeptem skarży się na swoje ciężkie życie, chorobę jej Józeczka i to, co ich często poróżnia – jego niezmiennie zamykanie się w sobie.

– Tyle lat po wojnie, a u niego trauma po obozie trwa – mówi prawie bezgłośnie i jednocześnie nasłuchuje, czy wujek zbyt dużo nie mówi, bo: „pompka będzie w robocie”. Faktycznie, inhalator na astmę zawsze leży w zasięgu ręki.

* * *

Wujek to absolwent seminarium nauczycielskiego, uczył do czerwca 1939 roku. Aresztowany przez gestapo i uwięziony, tylko dzięki portfelowi teścia zwolniony po kilku miesiącach. Mógł sobie siedzieć cicho, zadekować się i pokazać, że się... poprawił. Ale nie on! Wkrótce potem miejscowy folksdojcz wypatrzył dzieci idące na tajne nauczanie i zdradził adres tej szkółki. Tortury w plockim więzieniu, transport i dwuletni pobyt w stutthofskim obozie miał więźniowi wybić z głowy pedagogiczne zapędy. Niemcy, likwidując obóz, więźniów ładowali na barki ciągnięte przez holownik, który wypłynął na pełne morze. Niewiele brakowało, a dokończyliby precyzyjny plan likwidacji obozu. Ktoś najwyższy rangą złożyłby meldunek: „Rozkaz wykonany!”.

Ale sam Bóg wziął sprawy w swoje ręce. Nad Bałtykiem rozpełtała się burza. Rozszalały sztorm sprawił, że ich tańcząca na falach barka urwała cumę. Już nie byli na smyczy, a holownik z pozostałymi łajbami pod białą grzywą fali zniknął im z oczu. Ich dobrze zbalansowana barka z dziesiątkami ludzkich cieni

w biało-niebieskich pasiakach wciąż utrzymywała się na powierzchni. Po wielokroć oglądali księżyc, wschodzące słońce i tylko uchodzące z innych współtowarzyszy niedoli życie pozwalało założyć o jedną warstwę ubrania więcej. Ocalańców wypatrzył pływający patrol duńskiego ruchu oporu, z barki zabrali dwudziestu jeszcze żywych ludzi i przewieźli do szpitala w Hald Ege. Nie wszyscy przeżyli. Ciociny Józeczek, nie rozumiejąc fenomenu woli Bożej, ocalał. Tyle razy słyszałam tę opowieść od cioci, że mogę recytować z pamięci.

* * *

Doktor Rozenek z powodzeniem mógłby nazywać się Rodzynek, był przemiły, ale tak pomarszczony, że faktycznie przypominał wysuszone winogrono. Przywitał nas z promiennie uśmiechniętą twarzą i zachowywał się tak, jakby Kama była jego jedyną pacjentką. Wysłuchał moich niepokojów, szczegółowo obejrzał każdy mięsień i pochwalił efekty rehabilitacji.

– Ćwiczenia, ćwiczenia i jeszcze raz odpowiednie ćwiczenia – powiedział, szczerze się do nas uśmiechając.

– Panie doktorze, żeby to usłyszeć nie musiałam przyjechać do Centrum, ale... niech pan to wytłumaczy nauczycielowi WF-u z jej szkoły, który za karę karze robić dziesięć pompek. No i co? Zrobi ona pompki? Nie! Więc następne dziesięć! – zachnęłam się i jednym tchem wylałam wszystkie swoje żale.

Doktor Rozenek przemilczał moje skargi, wypisał skierowanie do dziecięcego sanatorium w Arturówku, a Kama na sam dźwięk tej nazwy podniosła głowę i wyszczerzyła zęby z zadowolenia.

Rozmawiał jeszcze chwilę z Kamą, zadawał jej wiele pytań, podpowiadał, jakie ćwiczenia może robić sama. I niezmiennie „wieszał psy” na załodze bydgoskiej kliniki. Zwracając się do mnie, gromił, że do obowiązku matki należało oddać sprawę do sądu.

– To, co pani opowiadała, to horror! Miała pani świadka nocnej libacji w pokoju lekarzy, trzeba było to wykorzystać – mówił, zaciskając z gniewu pięść. A ja znów miałam mętlik w głowie. Poczciwa siostra Czesia jest zbyt uczciwa, żeby wprowadzić nas w błąd, fantazjować o przebiegu porodu. To ona, pielęgniarka z oddziału położniczego, na którym urodziłam Kamę, otworzyła mi oczy na to, co tak naprawdę wydarzyło się podczas porodu. Prawdą jest, że jak tylko przestały mnie boleć poturbowane żebra, wróciło widzenie w obu oczach i byłam już po operacji uszkodzonego woreczka żółciowego, chciałam tylko jak najszybciej wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć. Bałam się przekleństw białego personelu, który niebywale solidaryzował się ze sobą. Czesia nie miała dzieci i dlatego każde nowo narodzone na jej oddziale maleństwo było dla niej prawdziwym darem od Boga. Dzisiaj myślę, że powinnam wtedy wyegzekwować swoje prawa i dochodzić sprawiedliwości!

* * *

Z pawilonu Centrum Zdrowia Dziecka wyszliśmy w dobrych nastrojach, Kama chwalona za systematyczne pływanie i sumienną gimnastykę była dumna jak paw. Pamiętam, jak ładnych kilka lat temu jej pierwsze zabiegi rehabilitacyjne zraszały łzami. Nie pomagały moje zaklęcia, babci i dziadka prośby czy próby przekupstwa czekoladowymi batonikami. Mała Kama krzyczała w niebogłosość. Dopiero kupiony przez Artura w bydgoskim komisie śliczny kostium kąpielowy zachęcił córcię do wejścia do wody. A kostium rzeczywiście był piękny – elastyczny, bżowy, cały w falbankach, z wiązany na ramionach kokardkami. Wkrótce dokupiliśmy tęczowe koło ratunkowe i tak wyekwipowana Kama zaczęła wreszcie z radością chodzić na basen. Potem ciężko ją było wyciągnąć ze zbawiennej solanki.

Rozejrzałam się i stwierdziłam, że Centrum Zdrowia Dziecka rozrasta się w szalonym tempie, tereny są świetnie zagospodarowane, a doktor Rozenek wspominał też o przygotowaniach do otwarcia kolejnego oddziału. Wcześniej odradziłam Andrzejowi przyjeżdżanie po nas, więc teraz musimy sobie same poradzić.

Wypatrzyłam słupek z tabliczką „przystanek autobusowy” i podeszliśmy blisko do rozkładu jazdy, aby wyszukać odpowiednią linię. O, kierunek Ostrobramska, Saska Kępa, most Poniatowskiego, Powiśle do placu Trzech Krzyży. To idealne dla nas połączenie! Po przesiadce z placu do Alej Jerozolimskich będzie już tylko jeden przystanek, żeby dotrzeć na czas do celu. Autobus wkrótce podjechał i ruszyliśmy. Miałam okazję popatrzeć na Warszawę zza szyb i powspominać.

Jeszcze kilkanaście lat temu było to zupełnie inne miasto. Takie ciche i spokojne. Po ulicach jeździły trolejbusy. Na wykłady na Miodową 22 przemieszczałam się bodajże linią 53. Bardzo lubiłam patrzeć na te bezszerowo jeżdżące Jelcze wyglądające jakby były zawieszane na linach podłączonych do prądu, śmiesznie odchylające się przy każdym zakręcie. Studia teatralne to było coś, co jeszcze dziś wspominam z ogromnym rozrzewnieniem. Wykładowcom, co prawda, nie udało się ze wszystkich studentów z naszego roku ulepić reżyserów teatrów amatorskich, ale mnie te studia pochłaniały bez reszty. Rozkochanie w poezji zawdzięczam pani Irenie Jun, zgłębiłam też tajniki tańca dworskiego, uwielbiałam zajęcia z panem Franciszkiem Cieślakiem, który wtajemniczał nas w świat charakteryzacji. Wykładowcą bardzo wymagającym był wspaniały scenograf Zenobiusz Strzelecki, ale dzięki temu później dawałam sobie radę z każdą zaplanowaną koncepcją dekoracji do spektaklu czy imprezy. Reżyser Józef Gruda nauczył mnie odwagi w tworzeniu spektaklu i przekonał, że bez zrozumienia tekstu, nie ma możliwości pracy. Jedynie wykładowcy historii sztuki nie udało się

mnie nauczyć odróżniania Maneta od Moneta. Upłynęło parę lat i, zakochując się w tym drugim impresjoniście, sama rozgryzłam ich twórczość i dziś na wrywki wymienię tytuły ich obrazów.

Przed nami skrzyżowanie Alej Jerozolimskich i Nowego Światu, więc wysiadamy! Do placu Zamkowego idziemy pieszo. Żałujemy, że nie zabrałyśmy aparatu fotograficznego. Staram się opowiedzieć Kamie o tym wspaniałym i bohaterskim mieście najdokładniej, jak potrafię.

Zmęczone spacerem, wstąpiłyśmy do baru vis-à-vis kościoła Świętego Krzyża. To był mój bar, tu stołowałam się przez wszystkie lata studiów. Zawsze na talerzu było dużo i nie trzeba było na te dania wydać majątku. Tablica z menu nie zawierała żadnych wymyślnych potraw. Pamiętam ciepło talerzy odbieranych z ręki wyciągniętej z okienka: pierogi ruskie ze skwarkami, leniwe z cukrem, *barszczyk czerwony* z krocketem z ciasta naleśnikowego, czasem szpinak z sadzonymi. Albo z rozpędu jakaś zupa – nigdy nie znudziły mi się te dania. Jadano najczęściej gryczaną z sosami, kopytka z kwaszoną kapustą i obowiązkowo ciepłą jeszcze, kolorową wodę nazwaną na tablicy kompotem. Z talerzem, dobranym kompletem sztućców i nieodzowną papierową serwetką, najczęściej sadowiłam się na wysokim stołku przy oknie i, obserwując ruch na ulicy, pałaszowałam specjały baru Akademickiego.

Byłyśmy po śniadaniu, ale po kilku godzinach żołądek domagał się małej przekąski. A ja przez czysty sentyment, chciałam chwilę posiedzieć w tych kuchennych oparach, które przypominały mi tamte lata. Kama zamówiła kakao i drożdżówkę, a ja tylko herbatę i zajęłyśmy miejsce przodem do okna.

Do placu Zamkowego szłyśmy, rozglądając się i zatrzymując przy najważniejszych obiektach, a mnie sprawiała przyjemność rola przewodnika. Ale na Rynku Starego Miasta podeszłyśmy do dużej grupy zwiedzających z niemłodym już przewodnikiem, który ciekawie opowiadał o zabytkowych kamienicach znajdujących się dookoła. Podpięłyśmy się do grupy i wraz z nią powędrowałyśmy aż do Barbakanu. To był dobry wybór, bo sama też się bardzo dużo dowiedziałam o historii Starego Miasta. Wracałyśmy inną drogą, obok pomnika Kilińskiego, i trochę żałowałam, że, mijając lokal pod Krokodylem, U Fukiera i już wchodząc w Nowomiejską, nie zerknęłam, czy jest tam nadal knajpka z kuchnią włoską.

Z zażenowaniem uśmiechnęłam się do swoich myśli i jestem przekonana, że kiedy przytaczałam te wspomnienia, na policzki wystąpił pąs zawstydzenia z braku obycia. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Ktoś miejscowy, chyba Bożydar – tak, to pewne, bo był blisko mnie, kiedy ćwiczyliśmy krok pawany – ogłosił otwarcie wspaniałego lokalu. Po zajęciach poszliśmy tam całą paczką, ale ja nie ustawiłam się do kasy, tylko rozejrzałam się po konsumentach. Przeraziło mnie, że długie, cieniutkie kluseczki, sprytnie nawija się na widelec i taką misterną spiralę umoczoną w jakimś sosie należy donieść do ust. Na tablicy z menu: spaghetti

bolognese, ravioli z... o Boże, wszystkie nazwy farszu, były mi zupełnie nieznane. Jednak dopatrzyłam się również nazwy nadzienia brzmiącej całkiem swojsko. Chodziło o malutkie, kwadratowe pierogi z farszem mięsnym, ale był jeden szkopuł. Obok widniała cena – dla mnie raczej zaporowa, więc udałam, że nie jestem głodna i wyszłam za próg.

Koledzy zachwalali tę kuchnię i zachodzili tam często. Ja również wreszcie się przemogłam i podczas mojego kolejnego pobytu w Warszawie poszłam tam z nimi. Nie zapomnę tego dnia. Przy kasie płaciłam pieniędzmi od taty, które wcisnął mi konspiracyjnie w dłoń na chwilę przed odjazdem autobusu. Pełnym głosem zamówiłam: spaghetti alla puttanesca – tu trochę przesadziłam, bo chili piekło niemiłosiernie – i ravioli z serem ricotta. Wiem, wiem – przesadziłam też z ilością dań.

Teraz wracałyśmy z Kamą najpierw ulicą Długą, wstąpiłyśmy do kościoła Św. Ducha, potem Miodową, i już prosto do najbliższego przystanku, by dotrzeć do WKD. Zrobiło się późno, a przecież w Komorowie Józeczki i Andrzej na nas czekali.

W autobusie uraczyłam Kamę anegdotą o tym, jak my studenci, ludzie już dorośli, urozmaicaliśmy sobie czas wolny. Wieczorami, po obejrzeniu jakiegoś ciekawego spektaklu teatralnego, nie mając ochoty się rozstać, siadaliśmy na jakimś krawężniku przy samej jezdni i gapiliśmy się w zmieniające barwy neonów. No, u mnie na Kujawach, tego nie było, więc moja fascynacja była usprawiedliwiona. Dziś, patrząc na ruchliwe ulice Warszawy, trudno mi uwierzyć, że mieliśmy wtedy taką ułańską fantazję. Ale i stolica zmieniła się nie do poznania przez te lata.

Nasz misternie zaplanowany spacer po stolicy nie przebiegał w rewelacyjnej atmosferze – radość zmacona była jutrzejszym smutnym obrzędkiem i jednocześnie obmyśleniem powrotu do domu. Ustaliliśmy, że Andrzej w piątek rano odbierze zamówione wiązanki i zawiezie nas prosto na cmentarz. Chcę być w kaplicy przynajmniej pół godziny wcześniej, aby porozmawiać z panem Benedyktem. Nasz neseser zostanie w bagażniku samochodu Andrzeja. Mój kuzynek wykorzysta ten czas na spotkanie z kontrahentem, który ma swoje biuro dwie ulice dalej. Logistyka na najwyższym poziomie!

* * *

Torbę przerzucam przez ramię, w jednej ręce trzymam kwiaty; „Pamiętaj, kup wiązanki, tylko z żywych kwiatów!” – instruowała mnie mama, więc jakby miało być inaczej. A drugą, mniejszą wiązanekę podałam Kamie. Po chwili w półmroku kaplicy poznaję w tłumie twarz wdowca. Obok trumny kładę kwiaty i podchodzę do samotnie stojącego mężczyzny. Witamy się – on staromodnie całuje każdą z nas w rękę. Kama oniemiała, bo ostatnio tak całował ją za karę, za

popchnięcie na schodach, jeden z rudowłosych bliźniaków – Piotruś, jej równolatkę kurujący się właśnie w Arturówku. Przez chwilę nie mówimy nic, tylko patrzymy na katafalk. Za chwilę jego oczy odszukały moje i, ściskając mocno nasze dłonie, dziękował, że jesteśmy razem z nim. W głębi, na krzesłach, siedziały starsze panie, ktoś wyjątkowo wiekowy, chyba w wojskowym mundurze i kilku siwowłosych mężczyzn. Skorupscy byli bezdzietni, a rodzinę pochłonięła wojna, więc mieli tylko siebie. W mikroskopijnym kondukcie idziemy jak najbliższa rodzina, jestem kurczowo trzymana przez niego pod ramię, a rękę Kamy chwycił drugą dłonią. W trójkę wyglądamy jak mąż nieboszczki z córką i wnuczką. Nie śmiem zmieniać tego układu, ale ta nieoczekiwana sytuacja mnie przerasta. Idę, a droga do kwatery jest bardzo długa.

Uwolnił nas z tego potrzasku dopiero wtedy, kiedy ktoś z uczestników podszedł z kondolencjami. Uścisnął kilka rąk i w chwili, kiedy ja również wyciągnęłam dłoń do pożegnania, uchwycił ją i powiedział: – Jedzicie do nas.

„Do nas”? Zaniemówiłam, bo ta chwila i okoliczności były wyjątkowe i trudno mi rzeczowo wyjaśniać, że to nie jest możliwe. Zobaczył moje zdumienie i natychmiast dodał:

– Musicie, bo Inka kazała przekazać paczkę dla Zosi, twojej mamy. Ja muszę zrobić tak, jak ona sobie życzyła. Przynależem jej, że wypełnię prośbę. Przysięgłem!

Skulił się w sobie i od tej chwili był bardziej przejęty tą jakąś tam paczką niż końcówką żałobnej uroczystości. Paczka od pani Michaliny? Po co mi jej paczka! „Odbiorę kiedyś, przecież nie jest to przesyłka żywnościowa” – pomyślałam.

Postał nad świeżo usypaną mogiłą jeszcze chwilę, po czym bez słowa ruszyliśmy do bramy głównej. Zastanawiam się, co mam teraz zrobić? Andrzej wyszedł nam naprzeciw, przedstawiam go panu Benedyktowi i w telegraficznym skrócie relacjonuję sytuację. Wiem, że natychmiast muszę podjąć decyzję i, żeby nie denerwować Skorupskiego, ostatecznie proszę Andrzeja o podwiezienie naszej trójki na ulicę Kopernika. Jestem bardzo mile zaskoczona reakcją kuzyna.

– Oczywiście, jedziemy! – mówi bez wahania. Pan Benedykt w podziękowaniu ściska mu obie dłonie. Kalkuluję, że jeżeli pobyt w mieszkaniu Skorupskiego będzie trwał pół godziny, to zdążę na dworzec. Moimi przemyśleniami dzielę się z Andrzejem, on w lot chwyta i zapewnia, że poczeka przed kamienicą. Dodaje, żebym zostawiła Kamę w samochodzie. „To dobry pomysł” – myślę i z wdzięcznością spoglądam na autora konceptu. Moja córka z radością na to przystaje.

Jedziemy na ulicę Kopernika, wchodzimy do kamienicy. Numer jeden mieszkania ma ten plus, że jest na parterze. Myślę o tym, że nie mogę tutaj długo zabawić, ale zadyszka pana Benedykta nie pozwala na to, żebyśmy przyspieszyli kroku. Wreszcie otwiera drzwi, wchodzi prosto do pokoju i siada naprawdę

zmęczony. Przez chwilę dochodzi do siebie, rozgląda się, jakby kogoś szukał i nieoczekiwanie wybucha głośnym płaczem. Siedzę bezsilna, spięta i zupełnie nie wiem, jak zachować się w takiej sytuacji. Podnosi się i zgarbiony kieruje do pokoju obok, za moment wychodzi z dużą, nieforemną paczką, owiniętą w papier pakowy i obwiązaną parcianym sznurkiem. Wkłada mi ją do rąk. Lekkie, miękkie paczydło, które najchętniej zostawiłabym pod schodami w tej kamienicy. Jakies ciuchy po Michalinie! Co ja z nimi zrobię? Pośpiesznie żegnam się z panem Benedyktem i wychodzę z tym niebywałym załącznikiem. Niewiele brakowało, a zrobiłabym tak, jak pomyślałam, ale zniecierpliwiony Andrzej i Kama stali w drzwiach kamienicy. Nie komentuję całej sprawy, mała miętosi po wierzchu paczkę i wrzucamy ją do bagażnika mercedesa. Zerkam na zegarek i uspokajam się, że dzięki życzliwości Andrzeja zdążymy na dworzec.

* * *

Miły, młody człowiek położył mi neseser na półkę, obok dorzucił mało elegancki pakunek ze sznurkiem, a Kama konspiracyjnie pokazała foliową torebkę, którą wręczył jej Andrzej. Z zawartości torebki ucieszyłam się najbardziej: *butersznyt*! Sama nie wiem, dlaczego, ale tak, zapożyczając słowo z niemieckiego, na kanapki mówiła ciocia Stenia. Tego było mi trzeba! Sama planowałam kupić coś na drogę w dworcowym bufecie. Zabrakło czasu! Moje misternie tkane plany obaliła paczka z ciuchami! Błogosławiąc ciocię za przezorność, dorwałyśmy się do kanapek. Ogromne jabłka uzupełniły zgłodniałe żołądki. Kama zaczęła przeglądać kolorowe pismo, które leżało na wolnym siedzeniu. Ja robiłam wszystko, żeby nie myśleć o niczym. Udało mi się to na jakiś czas, ale jedno spojrzenie na półkę i koszmar wrócił. Hura! Wymyśliłam! Mogę po prostu zostawić paczkę na bagażowej półce i w ten sposób zafunduję jej wycieczkę do końcowego przystanku. W Bydgoszczy zaopiekuje się nią ktoś, komu te ciuchy może przydadzą się bardziej niż nam. „Przepraszam pani Inko, nie wiem, co pani przyszło do głowy, ale ja nie chcę w domu żadnych ciuchów po umarlakach” – pomyślałam.

Łowicz i Kutno za nami, teraz trzeba być czujnym, żeby w porę wysiąść na właściwej stacji. Szeptem mówię do Kamy o pomysle konspiracyjnego pozostawienia paczki w pociągu, ale ona gromi mnie tylko wzrokiem.

– Zawieźmy ją babci, niech sama podejmie decyzję, co z nią zrobi. – I jeszcze dodaje: – Mama, nie wiedziałam, że jesteś taka, taka... – szuka odpowiedniego słowa i sama nie wiem, jakie ono mogłoby być.

– Dobrze, zrobię, jak radzisz – mówię dla świętego spokoju. Na dowód dobrych intencji ściągam pakunek i kładę na zwolnionym w Kutnie miejscu. Wskazując na niego, dorzucam prześmiewczo: – Te skarby są pod twoją opieką!

* * *

Lecący z komina dym to dowód, że czekają na nas z gorącą herbatą. Kiedy tylko przekroczyliśmy próg domu i weszliśmy do korytarza, zabrałam paczkę z ręki córki i położyłam na schodach, które wiodą na poddasze. Gdy weszłam dalej, Kama już wisiała na szyjach dziadków. Powitaniem nie było końca. Za chwilę w pokoju dziadka jak katarynka nadawała Kama, a my obie zostałyśmy w kuchni. Mama chłonęła każde słowo, przede wszystkim z troską słuchała o Józeczkach, o powtarzających się atakach astmy jej ukochanego brata, o ciocinych powykręcanych przez reumatyzm palcach i o opiece, jaką roztoczył nad nami Andrzej. Nieindagowana opowiedziałam o pogrzebie Michaliny, o samotnym jak palec Benedykcie i o ciuchowej przesyłce od Michaliny z zaświatów, którą odłożyłam na schodach. Kiedy chciałam pójść po nią, zawróciła mnie od drzwi i powiedziała: – Jutro do niej zajrzę. Michalina zawsze miała dziwne pomysły. – Wydawała się mało zainteresowana zawartością przesyłki.

Krótkie mycie, potem wskoczyłyśmy do swoich łóżek i natychmiast zasnęłyśmy. Kama będzie mogła spać spokojnie i długo, bo jutro sobota, ale ja wyjątkowo wcześniej muszę iść do pracy.

* * *

Z głębokiego snu wyrwał mnie głośny i nieprzyjemny dźwięk dzwonka u drzwi. Usiadłam na tapczanie, nasłuchując jakichś odgłosów. W domu panowała cisza jak makiem zasiał. Spojrzałam w kierunku okna – pomiędzy rozchylonych dwóch szali zasłon widać było pogrążoną w ciemnościach ulicę. A więc to środek nocy! Spojrzałam na zegarek, który leżał na nocnej szafce – była druga trzydzieści.

Musiało mi się przyśnić coś, co tak gwałtownie wyrwało mnie ze snu. Zaraz, zaraz... Ale to był przecież dziwny sen. Śniłam, że byliśmy z Arturem w pokoju „pod aniołem”, siedzieliśmy w fotelach i oglądaliśmy jakieś albumy z fotografiami. Patrzyłam na pojedyncze zdjęcia, jak na coś mi nieznanego i niemilego. Bagatelizowałam to jednak, bo byliśmy razem, objęci i szczęśliwi, że jesteśmy sami, blisko. Artur dotykał moich dłoni i w pewnej chwili pocałował mnie w ich wnętrze. Wówczas poczułam krople łez, które potoczyły się z jego oczu. Z troską wytarł mi dłonie i powiedział: „nie poplam fotografii”. Przewróciłam kartę albumu, a były tam zdjęcia Kamy, moje, członków naszych rodzin. Nie widziałam tylko zdjęć Artura. Wszyscy mieli jakieś smutne miny, a ich ubrania były ciemne.

My, oglądając te fotki, czekaliśmy na kogoś, kto miał do nas przybyć z daleka. Tak, teraz sobie przypominam... usłyszeliśmy dzwonek i Artur powiedział: „on już przyszedł” i wskazał na drzwi.

Dalszy ciąg był już całkiem realistyczny: odrzuciłam kołdrę i dotknęłam stopami chłodnych deszczulek parkietu. Nikogo obok nie było. Uzmysłowiłam sobie, że faktycznie w całej przymie albumów i albumików jest bardzo mało zdjęć,

na których widać Artura. Mój mąż uwielbiał robić zdjęcia i pstrykał je przy każdej okazji. Ciągłe słyszałam: „uśmiechnij się”, „trochę do tyłu”, „dwa kroki do przodu”, „Kama – patrz w obiektyw”, „nie rób głupich min”... Miał kilka aparatów fotograficznych, ale najbardziej lubił wysłużonego Zenita. Sprzęt nie był doskonały, więc niektóre zdjęcia wychodziły poruszone, zamazane, niewyraźne. Wywoływał jednak wszystkie, bo do każdego z nich miał sentyment.

Wiele razy przyrzekałam sobie, że też poduczę się obsługiwać aparat, żeby móc robić zdjęcia Arturowi, ale jakoś zabrakło na to czasu albo może chęci.

Zapalam nocną lampkę, stopy wsuwam w papucie i cichutko podchodzę do etażerki. Ze środkowej półki sięgam po zielony opasty album i drugi, mniejszy – popielaty. Wolniutko zaczynam kartkować pokaźną kolekcję zdjęć i wyławiam te, na których jest Artur. Niestety, nie ma ich wiele. Nie da się tego już nadrobić. Jest mi bardzo smutno, bo przecież wiem nie od dziś, że „nie należy niczego odkładać na jutro, bo jutra może nie być”. Do tego popielatego albumu, opasanego czarną wstążką nie sięgałam przez przeszło dwa lata. Obok zdjęć z uroczystości pogrzebowych trzymam w nim wszystkie wycinki prasowe – artykuły, pożegnania i ozdobione czarną obwódką nekrologi i kondolencje. Osobne karty wypełnione są prostokącikami nekrologów i złożoną na cztery klepsydrą. Między następnymi kartami utknięte moją ręką czarne opaski z naszych rękawów, nie potrafiłam ich po pogrzebie wyrzucić i leżą teraz, jakby były świeżo uprasowane. Oby nikomu nigdy nie były potrzebne! Ze ściśniętym gardłem sięgam po duży plik telegramów i kart okolicznościowych od znajomych, przyjaciół, sąsiadów i całkiem mi obcych ludzi. Na jednej z szarych kartek kilka słów skreślonych czyjąś drżącą ręką: „Jeżeli są ludzie niezastąpieni, Artur Wojciechowski był jednym z nich” – czytam po cichu.

Czasem, jak jest mi bardzo źle, rozmawiam z Arturem w myślach. Opowiadam, co mnie spotkało, co zaplanowałam, wspominam o szkolnych sukcesach Kamy, o problemach albo radościach, które nas spotykają. A czasem wręcz fizycznie czuję, jakby był blisko i wtedy myślę, że zaraz go zobaczę, dotknę. Ale życie jest tylko życiem – szorstkie i nieczułe na nasze lęgnące się w głowie fantazje. Pozostaje mi pielęgnowanie wspomnień o mężczyźnie, który mnie nigdy nie zawiódł.

Z ciężkim sercem, ale z dobrymi myślami, ponownie starannie obwiązuje atlasową wstążeczką mniejszy album i oba odkładam na półkę. Dochodzi czwarta. Przez chwilę zastanawiam się, co robić z tak refleksyjnie rozpoczętym dniem?

Postanawiam nie wchodzić w dysputy z moim ego, a co za tym idzie, nie czekam na żadną odpowiedź. Wiem już, że o spaniu nie ma mowy. Do kuchni nie mam odwagi wejść, bo natychmiast wszyscy mnie usłyszą i kolejno zbiorą się przy stole. Jedyne wyjście to poczytać jakąś książkę, magazyn... Wracam do półek, bo odkładając albumy, kątem oka widziałam tomik poezji Agnieszki Osieckiej. Tak, ona może być, jak od lat przekonuje w piosence Krystyna Prońko, moim „lekiem

na całe zło”. Chwytam książkę, kładę się i szczelnie otulam kołdrą.

* * *

W drodze, gdzieś w połowie ulicy Klasztornej, spotkałam się z mężem sprzątaczką z mojej pracy, pani Kazi, który konfidencjonalnie szepnął: – Niech się pani pośpieszy, przyjechały te dwie baby i chłop z sanepidu i już z godzinę buszują.

Przyśpieszyłam kroku, ale niestety mijaliśmy się już w drzwiach. Duża Ruda przemówiła: – Dzień dobry i do widzenia, protokół na biurku.

Jaka dobra kobieta, o mandacie nawet nie wspomniała, a już od drzwi widzę, że wygląda on spomiędzy ich wypocin. No, to mam lekturę zapewnioną, ale wiedząc, że zatruje mi życie na wiele godzin, elaboratu nie biorę nawet do ręki. Muszę w trymiga zaprojektować i wykonać dekoracje na wieczorny koncert, a warszawska wyprawa pokrzyżowała mi misternie ułożony plan pracy, zabrała trzy dni i teraz na łeb na szyję muszę to nadgonić. Besztam samą siebie, nawet nie włączyłam czajnika na kawę, mimo że nie jadłam śniadania. Ruszam na zaplecze sceny i w ostatniej chwili cofam się od otwartych drzwi pracowni plastycznej, bo świeżo powycierana podłoga jeszcze błyszczący się od wilgotnej ścierki. Sprawdzam lśnienie politory fortepianu, klawiaturę i rzeźbione nogi, bo nie ma nic gorszego jak niewytarty kurz spotęgowany światłem reflektorów. No i nie wygląda to dobrze i już wiem, że instrument trzeba wypolerować od nowa. Kurzu brak, ale liczne kłaczkę z nieodpowiedniej ściereczki zostawiły obfite ślady. „Mogłam zabrać coś z ciuchów Michaliny” – pomyślałam złośliwie. Pani Kazia, obserwująca mnie z daleka, w mig pojęła, że trzeba poprawić i idzie z jakąś welurową płachtą w dłoni. Z akustykiem sprawdzamy brzmienie oraz natężenie nagłośnienia i już muszę oddać się robieniu dekoracji. Czas ucieka i zbliża się południe. I już zdaję sobie sprawę, że nie zjem też obiadu, bo pracy huk.

Muzycy przyjadą o siedemnastej trzydzieści, drzwi na widownię trzeba otworzyć o osiemnastej czterdzieści pięć. Mało czasu! Dobrze, że całość prowadzi Marian Kuźba z PDK-u, bo mój strój po całym dniu nie należy do eleganckich. Malowałam w fartuchu, ale nie uniknęłam zachlapania mankietów niebieską plakatówką. Na ścianie w holu poprawiam przekrzywione prace małych artystów malarzy, sprawdzam zawartość uchwytu na papier toaletowy i pozostawiam otwarte drzwi do przybytków dla zmniejszenia intensywności zapachu lizolu. Hol wietrzy się od godziny, więc jest pewność, że specyfik przetoczy się profilaktycznie też przez westybul, wybierze wolność, łącząc się z lekko mroźnym powietrzem na zewnątrz.

* * *

Już po koncercie. Bardzo lubię patrzeć na moich melomanów wychodzących

z zadowolonymi minami. Jedni podśpiewują, inni komentują kreacje artystów. Tym razem jednak szybko zbieram się do domu. Jestem głodna, więc przyśpieszam kroku, ale przekraczając linię furtki, zwalniam, bo przypomniałam sobie, że nie zabrałam ze sobą teczki „pisma przychodzące”, z protokołem Rudej. Trudno – kłąć będę dopiero jutro. Na schodach nadal leży paczka, uśmiecham się, bo jest ona usiana wieloma otworkami i jestem przekonana, że to dzieło Kamo-myszki. Podgrzewam zupę, na odsmażenie drugiego nie mam siły, więc połykam zimne mięso z ćwikłą i, nie odchodząc od stołu, proszę zdolną dziurko-róbkę o zeszyty z odrobioną pracą domową. Przynosi, siada na drugim krześle i prawie szeptem informuje: – Troszkę macałam to, co leży na schodach, wyczułam kręcony puszek i chyba małą puszkę z konserwą. Pewnie to szprotki – dodaje głośniej, żeby zmobilizować mnie do działania. O Boże! Jeszcze chyba nikt nie dostał przesyłki z żywnością od nadawcy zamieszkałego... No właśnie, gdzie? W niebie, piekle czy czyściecu? Bardzo śmieszne, bardzo. Jedno jest pewne: jej obecna posiadłość będzie miała adres tak długo, jak długo będzie opłacane przez Benka pokładne za dwa metry kwadratowe na Powązkach. Dowcip przedni, dobrze, że nie artykułuję go głośno. Kama nie daje za wygraną i mówi, że babcia o tym czymś wymacany już wie. Rodzice oglądają film w telewizji, więc nie ma obaw, że będzie jakaś interakcja.

* * *

Zachęcam Kamę, żeby poszła poczytać, bo chcę posiedzieć i pomyśleć. Spokojnie, przeglądając prasę, piję herbatę. Ciszę przerywa sygnał karetki, która minęła nasz dom i pojechała dalej. Czasem dopadałam do okna, żeby po małomiasteczkowemu zobaczyć, do kogo pędzi, ale dzisiaj nie mam na to ochoty. Ciężki miałam dzień, jutro idę do pracy o czternastej, a jak dotrę, to natychmiast muszę oddać się pracy biurowej. Dopiero wieczorna próba spektaklu z licealistami da mi radość tworzenia. Repertuar ambitny, bo to *Serenada* Mrożka, a moi amatorzy są fenomenalni. Może nie byłoby takiego efektu, ale scenografia – którą projektowałam cały miesiąc, a stolarz zbijał przez trzy dni i przez drugie tyle malował utalentowany plastyk Gerard – jest naprawdę wspaniała i funkcjonalna. W końcu jestem uczennicą profesora Strzeleckiego. Wyszedł kurnik jak się patrzy. Na jego tle będą występować moje urodziwe Kury – Kasia, Iwona, Agata, zdolny Jacek – Kogut i przystojny Piotr – Lis. Szkoda, że nie gra sam serenady na skrzypcach, ale przyznaję, że podkład muzyczny ogrywa bezbłędnie. Niestety, już w przyszłym roku zdają maturę i będę musiała szukać nowych talentów.

* * *

Dochodzi dziewiąta. Kama zbierała się do szkoły bardzo niechętnie, domyślałam się powodu. Udałam jednak, że tego nie dostrzegłam. Wyszła

skwaszona, ale w korytarzu zwolniła kroku, nasłuchiwała, nie doczekała się jednak, że powiem „zostań”. Mama weszła już ubrana w fartuszek i natychmiast zabrała się do obierania włoszczyzny. Dziś jest środa – z krótką wizytą ma przyjechać jej pierworodny, więc zalatuje mi czerniną z szarymi kluchami. Może nie domyśliłabym się sama, ale namoczony od wczoraj susz owocowy w pełni zdradzał smakowity jadłospis. Z podwórka słysząc miarowy stukot siekierą – tato przygotowuje drewno na podpałkę. Mama nalewa wodę do miseczki i już miała sięgnąć po nóż, ale chwytam ją za wyciągniętą rękę i proponuję rozpakowanie pakunku. Przez chwilę zawahała się, ale otwieram drzwi na korytarz i sięgam na wysokość siódmego stopnia schodów. Trzymając za sznurek, wnoszę paczkę do mieszkania i dla wygody kieruję się do pokoju mamy. Już trzymam nóż, by ciałną sznurek, ale starowinka mówi, żebym rozsypłała go starannie, bo taki długi kawałek się jeszcze przyda. Bez głośnej dygresji, jak czynię to zwykle, że odłoży ten łup obok czyściutkich pudełeczek po margarynie, wygładzonych torebek foliowych i innych „cennych” przedmiotów, rozsypuję misternie utkaną płataninę sznurka. Rozpakowuję z papieru rozmyślnie nad tapczanem, aby wypadająca puszcza nie robiła hałasu. Wyjmuję ciemnopopielate, karakułowe futerko, chwytam je za nieduży kołnierz i potrząsam – nic nie wylatuje. Sięgam niżej do miejsca, gdzie najczęściej bywają kieszenie, ale nie ma tam żadnych schowków. Przecież wnosząc paczkę do pokoju, sama wyczuwałam pod palcami pudełko konserwy. Mama gładzi futerko i w pewnej chwili zatrzymuje rękę po lewej stronie kurteczki. Gdyby miała ją na sobie, byłoby to dokładnie na wysokości serca. Odpina haftki, odrzuca połę i dostrzegamy, że jest tam misternie zaszyta kieszeń. Bardzo ostrożnie rozcina nożyczkami ściąg za igłą i sięga do wnętrza. Najpierw wyciąga kopertę, którą odkłada na stół, a za moment trzyma w ręce owiniętą w gazę puszkę po... pasztecie, ale bez wierzchniej pokrywy. Środek wypełnia coś, co jest zawinięte w szmatkę, a po jej odwinięciu widzimy dużą, ciężką, wykonaną ze złocistego metalu wysadzane małymi kamieniami, składającą się jakby z dwóch warstw wspianą bransoletę. Czyste złoto wysadzane... Boże, czy to możliwe, że tak wyglądają brylanty? Oniemiałe i porażone blaskiem kamieni siadamy na tapczanie.

– Co to jest? Zaszła jakaś wielka pomyłka, musisz natychmiast zawiadomić Benedykta – mówi mama.

Przez chwilę ogląda ją, jakby była czymś nierealnym, a nie przepiękną biżuterią. Nagle przypomina sobie o kopercie zaadresowanej jej imieniem – „Zosia”. Złapałam się na tym, że nerwowo gładzę kędziory futerka, jakbym chciała rozprostować jego ufryzowane przez naturę loczki. Na futrze ani na podszewce nie znalazłam żadnego śladu noszenia, pewnie pani Michalina miała je na sobie od wielkiego dzwonu. Mama nie śpieszy się z otwarciem listu, nie ma żadnego gwałtownego darcia koperty czy szarpania. Delikatnie podważa trójkątną część

z klejem, która wcale nie stawia większego oporu. Wyjmuje zwyczajną kartkę z bloku listowego zapisaną wyjątkowo drobnym pismem.

Teraz ja biorę do ręki błyszczące чудо i przez chwilę ważę w dłoni. Ciężkie jak diabli, a wiem, co mówię, bo zderzyłam je z wagą moich ozdób z plastiku. Piękna robota, misterna i na pewno o kosmicznej wartości. Zastanawiam się, ile mogłabym i czego za tę bransoletę kupić. Z rozpędu usadziłam każdego członka rodziny za wymyślonym kółkiem używanego auta. Gdzie ta Michalina w niej chodziła? Przecież to strach wyjść z czymś tak drogocennym do ludzi. Nie mogę rozgryźć skomplikowanego zapięcia, widzę tylko, że składa się z dwóch części i przy rozwieraniu rozszerza się dzięki małym zawiasom. Myślę, że po otwarciu małego zameczka całość będzie nadal podtrzymywana łańcuszkiem. Ale jak otworzyć zameczek? Omijam sprawę zamka i przy wielkim oporze wciskam bransoletę na mój jednak bardzo szczupły nadgarstek. Nie pokazuję efektu mamie, bo może mi ją zabrać od razu. Nim ją oddamy, chcę się nacieszyć, więc przykrywam ją mankietem bluzki i wychodzę do kuchni. Starając się nie zamoczyć, zalewam wodą przygotowaną porcję wymoczonego mięsa z kaczki i stawiam garnek na blachę kuchni. Zerkam na migoczącą obręcz, obracam wolniutko. Odstrojona jak wielka dama obieram włoszczyznę, co chwilę zerkając na hipnotyczny blask kamieni i wyjątkowo dobrze, mimo słabej mocy żarówki, prezentujący się mój nadgarstek. Bransoletka jest cudowna!

Zaglądam przez otwarte drzwi do pokoju mamy – czyta list, myślę, że już nie pierwszy raz. Konspiracyjnie zsuwam nieziemsko połyskujące precjozum i odkładam tam, gdzie leży futerko. Mama nie zwracała na mnie uwagi, może jednak doczytała się, że to jest dla niej i zastanawia się, komu z nas dać taki niecodzienny prezent. Po głowie chodzą mi różne myśli – prawie kryminalne. Jak ją znam, da ukochanemu Mariuszkowi albo sprzeda i pojedą z Henryczkiem w podróż dookoła świata. Nie, nie dopuszczę do tego, otruję ich wszystkich, capnę złoto i z Kamą wyjadę – tu kończę fantazjowanie, bo nie mogę się zdecydować na żaden kierunek świata.

W garnku zawrzało i dokładam włoszczyznę. Chwilę później przez otwarte drzwi ponownie rzucam okiem do pokoju mamy – tym razem z uwagą obraca bransoletkę, jakby liczyła kamienie. Dotyka zameczka, waży tę niecodzienną ozdobę w dłoni. Jednak przytomnie krzyczy przez uchylone drzwi: – Niech zupa nie gotuje się zbyt szybko, tylko niech mruga, najlepiej niech stoi na płycie z boku! „Tę instrukcję gotowania będę słyszała do pięćdziesiątki” – pomyślałam i uśmiecham się do siebie, a za chwilę... ledwo zdążyłam odstawić garnek, ratując wywar przed wykipieniem.

Słyszę, jak mama wysuwa i za moment wsuwa szufladę, wieszka na wieszaku futerko, a parę minut później jest już w kuchni.

– Nic a nic z tego nie rozumiem. Musisz przeczytać list sama, to jakaś

kuriozalna sprawa, nie na moją głowę – mówi wyjątkowo głośno, a po chwili już wyraźnie tylko do siebie: – Co ta Michalina wymyśliła, jak ona mogła mi to zrobić, dlaczego dopiero teraz o tym napisała? Jeszcze chce, żeby to była tylko nasza sprawa!

Nie podobają mi się słowa mamy, bo czy to ważne, kto komu i kiedy robi prezenty? Taki podarunek nikogo nie krzywdzi, odwrotnie – przyniesie mnóstwo kasy. Dlaczego ona się nie cieszy? Czyżby grała przybitą, żeby rozłamać ją i pod stołem dać połowę ukochanemu synkowi? Albo lepiej – odpali mu ją w całości. A może to nie jest prezent i chodzi o zupełnie coś innego?

Biorę się za najźmudniejszą robotę – ucieranie ziemniaków na szare kluski. Kiedy sięgałam po któryś tam kartofel, a właściwie w chwili, gdy oparłam go o tarkę, olśniło mnie, ale trę dalej. „Kuta ta cała Michalina, dobrze sobie wszystko, cwaniara, wymyśliła. Można było się domyślić, że to nie jest dar z głębi serca, tylko chodzi jej o... nagrobek. Co ona sobie myślała? Że ja – bo chyba nie brała pod uwagę mamy – będę biegła z jej złotem, wyceniała, sprzedawała?! I teraz najgorsze – pozwolenia na budowę mogiły, kamieniarz, fasonik monumentu. Czy ja mam czas na takie rzeczy i na wycieczki do Warszawy?” – prowadzę monolog wewnętrzny. Ale z drugiej strony wiem, że nie jest to zadanie dla starego Benka. Nadal jestem wściekła, ale odczuwam u siebie wolniutko napływającą wyrozumiałość dla świętej pamięci nieboszczki, więc milczę.

Miazga ziemniaczana ocieka na sicie, rosółek czerninowy tylko mruga na wolnym ogniu.

Wyjmuję ugotowaną kaczyne, wylawiam włoszczyznę, mama przygotowuje lekko zakwaszoną octem krew i rozbełtuje ją z mąką. Zamieniamy się miejscami, bo jej się wciąż wydaje, że nikt tak dobrze nie potrafi wymieszać i dosmaczyć jak ona. Bez słów kolejno podaję ingrediencje: garnuszek z kompocikiem z suszu, za moment majeranek i cukier – robię to z naturalnością, by mama czuła, że palma pierwszeństwa wciąż należy do niej. Wszystko ładuje w garze i łączy się cudny bukiet. Po domu rozchodzi się lekko kwaskowy zapach *czerniny*. Wielkie żarcie pozwala nam zapomnieć o kutej na cztery łapy Michalinie.

Tata wiedziony zapachem zagląda do kuchni pod pretekstem zaniepokojenia.

– Co u was, dziewczyny, tak cicho?

– Obiad za pół godziny, możesz, Henryczku, spokojnie jeszcze czytać – odpowiedziała mama, nie całkiem nie na temat.

Faktycznie, zachowywałyśmy się dziwnie. Każda pogrążona we własnych myślach, widać było, że nie śpieszy się nam do dyskusyjnego panelu i przedstawiania naszych „badań”. Za żadne skarby nie chciałam pokazać, że przesyłka mnie bardzo zmierziała, a domysł, ba, nawet pewność o narzuconym obowiązku zwalonym na moje barki uwierała. Aż tu bez żadnych wstępów odzywa się mama: – Córka, żeby rozwiązać tę sprawę do końca, przeczytaj uważnie list

Michaliny. Mnie litery latają, jakby były ptakami.

– Nie mogę tego ogarnąć rozumem, nie mogę zebrać myśli, chcę, żeby to było jakieś nieporozumienie. Chociaż coś mi zaczyna świtać... – dodaje.

– Mamo... – Miałam wiele słów na końcu języka, ale mówię układnie, by jej nie denerwować: – Za pamięci wkładam list do mojej torebki.

Tajemnicze zachowanie mamy utwierdzało mnie w przekonaniu, że martwi się, bo pewnie przedstawione na piśmie wymagania Michaliny co do materiału na ten nagrobek mogą być zbyt wygórowane.

* * *

Dla takiego obiadu warto żyć, ale tym razem nie było czasu na długą degustację. Posiłek tylko połknęłam i szybko wyszłam z domu. Skręciłam w ulicę Browarną, bo wiedziałam, że tam spotykamy się z Kamą. Mijając ją, dałam jej buzi i różne polecenia: „odrób lekcje”, „zjedz obiadek”, „pamiętaj o lekturze” – przemawiam do niej jak do małego dziecka, a to przecież już duża panna. Wcisnęłam jej w rękę pieniądze. – Kup sobie puszczkę szprotek w oliwie, bo tamte były przeterminowane – powiedziałam. Nie chciałam rozmawiać o paczce. A kiedy wspinałam się w górę ulicy, zamachałyśmy sobie nawzajem ręką, przesłałyśmy całuski na odległość i każda z nas skręcała w inną ulicę.

* * *

Nawet nie otworzyłam biurka, tylko wyciągnęłam z torby list.

„Kochana Zosiu, miałaś rację, że wysyłałaś mnie do lekarza. Ociągałam się, bo nie wyobrażałam sobie zostawić Benka bez opieki. Teraz mam już wszystkie badania i wiem, że jest już za późno...”

Dalej ze szczegółami opisywała swoje kiepskie samopoczucie, diagnozę i nie kryła rozpaczony na temat osamotnionego męża.

„Znałyśmy się tyle lat, nigdy nie zapomnę wielkiej życzliwości i dobroci Twojej mamy i babci. Nigdy nie zapomnę obiadów u Twojej babci Florentyny i naszych dziecięcych zabaw. Tak bardzo chcę Cię przeprosić za to, co zrobiłam i się przyznać, że to ja, za namową mojej macochy, wyjęłam z szuflady komody Twojej babci bransoletę. Moja macocha kiedyś podpatrzyła, jak babcia Florentyna ją owija i chowa, powiedziała mi dokładnie, w którym miejscu ją znaleźć. Wyciągnęłam ją, a Ciebie naraziłam na awantury i kary. Ojciec i ona dawno umarli, a ja żyję i dźwigam ciężar winy. W czasie wojny dwa razy była zakopywana w naszym ogrodzie, pod gruszą, później, żebyśmy mieli co jeść, była dwa razy zastawiana, ale zawsze wracała do mnie. Nie mogę pozbyć się tych okropnych wspomnień, które przez lata zaświadczały o mojej i ich nikczemności. Po wojnie szukałam Ciebie, ale jak Cię wreszcie odnalazłam, to zabrakło mi odwagi, żeby się przyznać i ją oddać. Nie mogłam pojąć, że Ty nigdy nie wróciłaś do tamtego

wydarzenia.

Zosiu, jest ze mną coraz gorzej, wiem, że nie wyjdę ze szpitala, a nie chcę umierać z takim ciężarem na sercu. Oddaję Ci ją, wybacz i pomódl się za mnie. Michalina.

PS. Mój Benek nie zna tej historii i nigdy u mnie nie widział tej bransolety. Niech to będzie tylko nasza sprawa. Wybacz mi!”

Myśli kotłują się po mojej głowie i wiem, że po lekturze tego listu będzie mi trudno prowadzić zajęcia. „Hura! Jesteśmy bogaci!” – myślę. Ale jak na złość dzieciaki przychodzą bardzo punktualnie i natychmiast muszę włożyć fartuszek i przeobrazić się w specjalistkę od pysznych przystawek. Członkowie klubu zajmują miejsca przy pojedynczych stołach, wyciągają deseczki i według instrukcji ścinają z dużej bułki wierzch i spód. Podłączam trzy elektryczne kuchenki, stawiam patelnie i wrzucamy po łyżeczce masła. Kuchciki na środku bułki wycinają małe kółko i każde dziecko po obsmażeniu jej na masełku z jednej strony wbija żółtko, odkładając białko do przygotowanej miseczki. Instruuje, że kiedy żółtko się zetnie od gorąca, trzeba delikatnie przełożyć bułkę na drugą stronę. Bardzo zgrabnie wywiązują się z zadania. Po całej salce rozchodzi się zapach smażonego masła, wysnuwa się aż do holu, a nasze *jaskółcze gniazda* są gotowe. Jedni pałaszują z apetytem, inni dopiero stają przy stołach. Marcinkowi chlupnęła zawartość jajka na podłogę, wyjmuję więc z torby i daję mu moje wiktuały. Swojej bułki nawet nie wyciągnęłam, bo nie byłabym w stanie nic przełknąć. A zresztą jak tu jeść czerstwiejącą bułkę, mając w domu taki szmal w złocie i kamieniach! Chce mi się krzyczeć z radości, ale panuję nad sobą, bo tylko wystraszyłabym dzieci. Doszłam do Kamy, która do nas dołączyła i teraz pomagała małemu Marcinkowi w oddzieleniu żółtka od białka, i zniecierpliwiona spytałam, o czym marzy. Oczywiście myślałam o naszych zakupach z przyszłego szmalu, a ona odpowiada przyziemnie: – Żeby nie przeszły mi włosy i ciuchy tym zapaszkiem.

Już schodzę na ziemię i dostrzegam, jak bliźniaczki, krojąc swoje buły, okruszki zrzucają na podłogę. Innego dnia robiłabym wielki wykład pedagogiczny, ale dziś daję sobie spokój i ograniczam się do wyznaczenia dyżurnej sprzątajacej. Dorotka zabiera swoją porcję, chce ją zanieść do domu dla braciszka. Białka lądują w lodówce, bo planujemy na przyszłych zajęciach upiec *bezy czekoladowe*. Lustruję pracownię – kuchenki wyłączone, pokój się wietrzy, akcesoria kuchenne wypożyczone przez mamy dzieciaków zostały dokładnie umyte i są teraz z powrotem wkładane do torebek. Dużo śmiechu, wymiana wrażeń na temat kulinarnych dzieł i zamykają się drzwi za ostatnim kuchcikiem. Skubiąc moją nieużytą bułkę, przenoszę się na parter, a tam w holu czuję się tak, jakbym była w zapachowej maślanej krainie – gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

– Znów mnie wrobiłaś w opiekunkę „kuchcików”! Oni są nieznośni, bo trzeba ich wyręczać nawet w rozbiciu jajka. Co ja jestem jakaś niańka? – mówi

rozdrażniona Kama. Sama zapomniała, jak babcia ją uczyła tej cyrkowej operacji: „raz mocno stuk, odwróć jajko na dłoni, rozdziel skorupkę tak, żeby na jednej połowce skorupki było żółtko, zrzuć białko na talerzyk”. Niestety, rozstajemy się w kwasie. Muszę wypić coś gorącego, wchodzę do biura i jeszcze niedawny mój spokój burzy leżący na stoliku list. Staje mi przed oczami schowane w szufladzie nieznaney mi prababci Florentyny jubilerskie cudo, brawurowa kradzież nieletniego Arsene’a Lupina sprzed siedemdziesięciu laty. Ciężar jej nieczystego sumienia, wreszcie sama przesyłka od nadawcy – najpewniej z czyśca. Jeszcze raz analizuję wszystkie okoliczności i chytrze myślę: czy to jest możliwe, że jestem – poprawiam się w myśli – jesteśmy bogaci? Ale kiedy przypominam sobie, co chciałam zrobić z tą paczką po drodze, czuję gwałtowne uderzenie w skroniach. Wiem, że gdybym miała ciśnieniomierz, pokazałby granicę krytyczną. Zastanawiam się jednak, dlaczego mama podchodzi do całej tej sprawy dziwnie bez entuzjazmu, z niedowierzaniem i zasłania się amnezją. Ciągłe myśli, jakby w pamięci rozwiązywała zadanie z wieloma niewiadomymi. Nigdy nie była gadatliwa, ale teraz nie potrafię jej rozszyfrować. Żadnej w niej radości. Na bransoletę patrzy, jakby ją pierwszy raz widziała. Widać, że wykonuje jakieś operacje myślowe, ale chyba wciąż natrafia na jakiś supeł. Nie może liczyć na przeanalizowanie tej sprawy z bratem. Po pierwsze, między Józeczkim a mamą jest sześć lat różnicy, a po drugie, on urodził się już po śmierci babci Florentyny, więc nie mógłby pomóc w rozszyfrowaniu tej zagadki.

Pukanie do drzwi. – My już jesteśmy w komplecie – meldują recytatorzy. Odkładam temat upajania się, a właściwie pławienia w „bogactwie” i biorę się za pracę. Konkurs recytatorski za półtora miesiąca, a my jeszcze przy próbach czytanych. Łapię książkę z piosenkami Stachury, tomik poezji Bursy i już gotowa do analiz tekstów pędzę na zajęcia. Po dwóch godzinach prania mózgow nie czuję znużenia i wciąż mam ochotę z nimi pracować. Kocham moją pracę, ale czasem też potrafię zadać sobie pytanie: co ja tutaj robię? Co robię w tej cholernej dziurze? I już się pakuję, już się zwalniam i wyjeżdżam na koniec świata, by na drugi dzień nie móc się doczekać hałaśliwej, ale cudownej młodzieży, dzieciaków i wielkiej harówki.

Sprawdzam, czy klucze od pozostałych pracowni są odwieszane na tablicy. Z sali kinowej dochodzą odgłosy lektora, jak to podczas projekcji filmu, więc gęsiego i po cichu opuszczamy placówkę. Moi artyści najczęściej czekają na mnie w holu. Bardzo lubię drogę do domu pokonywać w ich towarzystwie, bo jest najczęściej bardzo różnotematycznie. Plotkujemy o budzie, belfrach, randkach, a nawet przyszłości i marzeniach. W wielu sprawach jestem dla nich wyrocznią i cieszy mnie, że mają do mnie zaufanie w tylu kwestiach. Dzisiaj dzielili się ze mną obawami o jutrzejszą klasówkę z niemca i zbliżający się sprawdzian z chemii. Najbardziej jest mi niezręcznie wysłuchiwać, niewybrednych czasem, uwag

o nauczycielach. Ze względów czysto wychowawczych nie zabieram głosu, ale strofuję za używanie przezwisk i różnych niecenzuralnych słów.

– Dobranoc kochani! – mówię. Odkrzykują jedno po drugim: „kolorowych snów”, „do środy”, „doswidania” i takie tam różne. Też głośno, bo jestem już za rogiem, krzyczę: – Jutro trzymam za was kciuki, będzie dobrze – utwierdzam ich w ramach wychowania bezstresowego.

* * *

W pokoju mamy zapalone światło. Zawsze, gdy słyszy otwierane drzwi, przychodzi i z troską pyta, jak minął mi dzień. Kiedyś opowiadałam wszystko jak leci, teraz przesiewam informacje i takie jak mandat, kradzież czy absencja członka kółka teatralnego tuż przed premierą zostawiam dla siebie. Potrafię maskować moje zdenerwowanie. Mam na to wypracowany sposób i w to miejsce przemycam wieści „od czapy” albo o niewielkim ciężarze gatunkowym. Jednocześnie wiem, że nie do końca udaje mi się wyprowadzić ją w pole.

Ona z kolei opowiada o Kamie, odrabianiu lekcji, co oglądała w telewizji, wspólnym smażeniu placuszków z jabłkami, grach z dziadkiem. Dziś poskarżyła się na tatę, że niestety pali, mimo że przyrzekł itd. Ale ani słowa o sobie. Za chwilę wyznaje, że wpada na trop, coś jej się kołacze po głowie i że potrzebuje czasu. Świetnie ją rozumiem, faktycznie po moim wyjściu do pracy zaprzęga się w kierat. Obiad, stos naczyń do mycia, milion odpowiedzi na milion pytań juniorki. „Kamuś, może zjesz kaszkę z masełkiem, *budyń orzechowy z pianą*, placuszki z jabłuszkami?”. I to są codzienne jej troski. Dogadza jej. „To jest takie chucherko” – powtarza każdego dnia jak mantrę. No faktycznie, jest smukła i niestety wygląda na lekko zamorzoną. Ma dużo z dziadka – sylwetkę, sposób chodzenia i nad wyraz lubi z nim przebywać. Wyczuł swój swego. Stawiam tacę na stole i siadamy do herbaty z cytryną. Panujące cisza i spokój służą poważnym rozmowom. Obserwuję lekko uśmiechniętą twarz mamy i przeczuwam interesującą rozmowę, Jeszcze zrobię sobie jakąś pyszną kanapkę i będę gotowa.

– Będiesz się ze mnie śmiała, ale przełamalam się i po ratunek poszłam do „ostatniego” pokoju. Tato przeciął kłódkę, która strzegła „skarbów” w załadowanej po brzegi skrzyni po likwidacji mieszkania babci Florentyny. Kilka razy słyszałam od mamy, że najpierw stała ona w piwnicy domu przy ulicy Grzybowskiej, a później wraz z całym naszym dobytkiem przyjechała tutaj. Nigdy nie było dobrego czasu na retrospekcje, a nawet nie chciało się tam zaglądać, no bo co tam może być? Bezwartościowe śmieci. Ale z drugiej strony, trudno było je tak zwyczajnie wyrzucić – opowiada mama. Po krótkiej pauzie kontynuuje: – Tato ochoczo przecinał, a właściwie to szło mu to bardzo trudno. Dziwił się, czego ja w tej wiekowej skrzyni chcę szukać. Powiedziałam, że chcę ją wreszcie opróżnić i oddam mu ją na sprzęt wędkarski. Tak się ucieszył, że chciał mi pomagać w tym

opróżnianiu, bojąc się, że się rozmyślę. Wreszcie zobaczyłam tę całą zawartość i mogę powiedzieć, że znalazłam i... nie znalazłam odpowiedzi na moje pytania! Ale to szperanie pomogło mi wrócić pamięcią do warszawskich czasów. Wpadło mi w rękę kilka przedmiotów, listy i stare dokumenty. Na te listy, popakowane w pakieciki i powiązane wstążeczkami, zwróciłam szczególną uwagę. Wyobraź sobie, że do babci Florentyny, pielęgniarki ze szpitala Dzieciątka Jezus, przychodziły listy na czerpanym papierze z jakimś herbem. Skrzynię z powrotem zamknęłam, korespondencję i całe wnętrze zostawiam do rozszyfrowania tobie. Któregoś dnia przeniesiemy ją delikatnie i w stołowym pokoju będziesz mogła te pakieciki uwolnić z tasemek, a poszczególnym kartkom przyjrzyj się z bliska. Są tak kruche i pożółkłe, że strach myśleć, czy choć trochę będą czytelne – mówi z przejęciem w głosie. Wypija kilka łyków herbaty i kontynuuje monolog, a ja nie śmiem jej przerywać.

– Rozpoczęłam układanie w pamięci coraz to nowych domków z kart, które za każdym razem bezszmerowo się przewracały. Zabrałam się jednak ponownie za układankę z tkwiących w mojej głowie strzępów pamięci, uzgodniłam sama ze sobą, że zrobię to po raz ostatni i... zaskoczę cię. Kiedy siedziałam i bezradnie powracałam pamięcią do mojego domu rodzinnego, przypominałam sobie coś szczególnego, opowiadanie mojej mamy o jakiejś przykrości, jakiej doświadczyła od swojej matki. Mówiła o jej rozpaczach, awanturach, cichych dniach w rodzinie, kiedy babcia Florentyna odkryła, że z jej szuflady coś zniknęło. Nazywała to pamiątką, ale ja nawet nie wiedziałam, co to jest. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek słyszałam słowo „bransoletka”. Najpierw wszystko skupiło się na mnie, chociaż babcia nie przyjmowała tego do wiadomości. „Nie zrzucaj na dziecko!”, to znaczy na mnie, wykrzyczała do mamy. „To ty albo twój mąż mnie ograbiliście! Bóg mnie pokarał taką córką, która własną matkę okradła”. Niestety, te oskarżenia słyszała cała kamienica. Moja mama, nie poczuwając się do winy, podejrzewała mnie. Ja, indagowana, płakałam, bo nigdy nie odważyłabym się zajrzeć do babcinej komody, nie rozumiałam też, o co chodzi.

Starowinka mówi, mówi, mówi, a mnie jedne fakty mylą się z drugimi.

– Babcia przestała rozmawiać z rodzicami, mijali się na schodach bez słów. Najgorsze było to, że mama nie pozwalała mi nawet wchodzić do jej mieszkania. Rodzice byli przybici i rozgoryczeni tym pomówieniem. Przypominałam sobie również to, że moja koleżanka Michalina wraz z rodzicami wyprowadziła się z kamienicy z dnia na dzień i bez słowa pożegnania. Pomyślałam, że jej rodzice wynieśli się z naszego sąsiedztwa, aby ona nie miała kontaktu ze mną, złodziejką. Codziennie było słycać mój płacz, który docierał nawet do babci. Któregoś dnia babcia nie wytrzymała i stanęła w drzwiach. Prawie krzyknęła: „Jestem pewna, że to nie dziecko jest tu winne, ale jeżeli utrzymujecie, że wy macie czyste sumienie, złożcie przysięgę w kościele. Już byłam dorosła, kiedy mama opowiadała mi

o zaaranżowanej przez babcię Florentynę przysiędze w kościele. Rodzice poszli do świątyni jak na ścieżce. Kiedy zakończyła się msza święta, oni po przyjęciu komunii świętej długo modlili się przy bocznym ołtarzu. Po chwili podeszli i stanęli przed ołtarzem głównym, w drzwiach zakrystii pokazał się proboszcz z Pismem Świętym w dłoni i stanął przed nimi. Położyli ręce na wskazanej książce, ale nim ksiądz rozpoczął mówić, babcia Florentyna zerwała się z miejsca, podeszła do nich, ujęła ich ręce i, zwracając się do księdza, powiedziała tylko: „Odwołuję przysięgę”. Patrząc przepraszająco w oczy córki i zięcia, dopowiedziała: „Matczyne serce mi mówi, że nie złamaliście ósmego przykazania”. Oniemiały duchowny uśmiechnął się do wciąż smutnych moich rodziców... Babcia wcisnęła księdzu w rękę datek i z mokrymi oczami odeszła w kierunku stali.

Podobno od tej pory już nigdy nie wspominała o kradzieży. Jestem przekonana, że chodziło właśnie o tę bransoletę, która stała się tematem tabu, ale babcia na pewno zastanawiała się, co z nią się tak naprawdę stało. Mama była przekonana, że o istnieniu tej pamiątki dziadek Kazimierz nie miał pojęcia. Babcia całe życie chodziła ubrana na czarno, jakby była w nieustającej żałobie. Podobno ona miała ten drogocenny przedmiot od dawna, traktowała jak talizman śpiący w pudełeczku wyściełanym watą, uważano, że jest to jedno z niegroźnych dziwactw babci. W końcu przestała w ogóle wychodzić z mieszkania, moja mama opiekowała się nią, karmiła, a najbardziej lubiła, jak mogła trzymać mamę za rękę. Zmarła nagle kilka miesięcy później, a pod poduszką leżało to puste pudełeczko wyłożone watą...

Moja mama nie dawała odczuć, że tak naprawdę to zawiodła się na swojej matce. Pokazała to później, likwidując mieszkanie babci Florentyny, bez żadnej segregacji wrzuciła pamiątki i jej rzeczy osobiste do skrzyni, kłódkę zamknęła na klucz. Skrzynia przetrwała, ale mama nigdy nie zaglądała do niej, jakby nie chciała odświeżać żadnych bolesnych wspomnień. Niby jej przebaczyła, a jakby jednak nie do końca. Kolec w jej sercu był wbity bardzo głęboko – podsumowała mama.

Byłam bardzo zmęczona tą opowieścią i miałam straszny mętlik w głowie. Tylko przez grzeczność jej nie przerywałam. Powoli docierało też do mnie, że moja rodzina kryje niejeden sekret. Najwyraźniej mama zobaczyła moją minę, bo powiedziała: – Przyznam ci się, że nieraz chciałam tam zajrzeć, ale trochę się bałam tych upiorów z przeszłości. I tak schodziło.

Na kuchennym zegarze minęła druga. Mama jeszcze dodała kilka zdań dla zamknięcia tej opowieści.

– Przez Michalinę cierpiało kilka osób, z perspektywy czasu mam świadomość i sama ona napisała o tym w liście, że największą winę ponoszą jej przybrana matka i ojciec. Kazali wykraść i tak zrobiła. Myślę, że najpierw zabrakło im odwagi, żeby ten fant spieniężyć, później może nie mogli znaleźć majątnego kupca, czas wojny też nie był odpowiedni. I wciąż ją trzymali na czarnej godzinie.

Po śmierci rodziców przysły do głowy Michaliny refleksje, przemyślenia i odezwało się sumienie. Z jednej strony jestem mile zaskoczona jej postawą i decyzją rozliczenia się z przeszłością, ale zdra w moim sercu tkwi – wyznała mama, kręcąc z dezaprobatą głową.

Nie przerywałam, bo wiedziałam, że te wynurzenia są dla niej bardzo trudne, a odległe wspomnienia – bolesne.

– Przemyślałam: na razie nie mówmy ani tacie, ani Mariuszowi o tym całym wydarzeniu. Twoim zadaniem będzie dostarczenie tej bransolety na wycenę do Desy oraz sprzedaż. Zdaję sobie sprawę, że to nie będzie ani proste, ani łatwe. Wymarzyłam sobie, że jak już będą pieniądze, ja zajmę się zamówieniem w naszym klasztorze mszy świętej, o jakiej babcia Florentyna zawsze marzyła: gregoriańskiej. Na tych mszach przez trzydzieści kolejnych dni będziemy się modlić za spokój duszy śp. Florentyny. Zamówimy też drugą w intencji Michaliny. Obmyśliłam też, że dopiero wtedy spotkamy się wszyscy przy herbacie, kawie, opowiemy im o wszystkim i podzielimy pieniądze na pół: dla ciebie i Kamy oraz dla Mariusza i jego najbliższych, sprawiedliwie. Na futerko mam kupca, więc ja z Henrysiem też będę ukontentowana. Coś mi się zdaje, że w ostatnim pokoju znajdziemy jeszcze coś... – i urywa w pół zdania.

– Dobranoc, córko!

– Dobranoc! – odpowiadam. I też kładę się natychmiast, bo głowę mam jak balon. Zrobiło mi się gorąco, bo kilka dni temu buszowałam w ostatnim i spoglądałam na zamkniętą kłódkę przy skrzyni babci Florentyny. Za nami był bardzo męczący dzień i właściwie kawał nocy.

Nim zasnęłam na dobre, natrętnie powracałam myślą do wszystkich punktów naszej rozmowy. Końcowa decyzja mojej mamy jest imponująca. Grosza nie ma jeszcze w ręce, ale za to ma już dokładnie zaplanowane, jak wydać każdą złotówkę. A mnie przechodzą ciarki po grzbiecie, bo może to wszystko jest mniej wzruszające, niestety. Trochę późno, ale zadaję sobie jedno fundamentalne pytanie: skąd właściwie prababcia Florentyna miała taką kosztowność? Czyżby z pensji pielęgniarki? A może była jeszcze lepsza od Michalinki i komuś ją podprowadziła? Ta ostatnia teoria ma ręce i nogi, bo dlaczego ją tak pieczołowicie chroniła przed wzrokiem najbliższych?

Przez moment oczami wyobraźni zobaczyłam siebie w Desie. Gdyby mnie spytano o pochodzenie bransolety, to co właściwie mam do powiedzenia? Poczulałam, że robią mi się gorące plamy na szyi i wiem, że są one szkarłatnoczerwone, zwilgotniałe ręce wycieram o piżamę i już nie chcę o tym myśleć. Rozchodzące się po moim ciele ciepło ułatwia mi wreszcie zasypianie.

* * *

Od samego rana moje myśli natrętnie kłębią się wokół rozbudowy placówki.

W ratuszu dowiaduję się, że pieniędzy ubywa, że wniosek do województwa już jest przygotowywany, ale nie wierzę w powodzenie pozyskania potrzebnych funduszy. W planach wyglądało to bardzo imponująco, ale z realizacją już gorzej. Materiały budowlane są utykane po poszczególnych pomieszczeniach: wapno w hydroforni, cement w piwnicy, żadnego baraku na sprzęt. Co jakiś czas mam polecenie wydania dwóch, trzech worków czegoś tam na awaryjne naprawy w mieście. Bałagan, bałagan i jeszcze raz bałagan. Na razie wylewają fundamenty i po przeschnięciu rozpocznie się wznoszenie murów kawiarni. Mimo dziesiątków obiekcji cieszę się, że powiększone zaplecze sceniczne pozwoli bez zażenowania wpuścić aktorów. Oddzielne toalety dla garderób wreszcie stworzą komfort, a właściwie normalność. Przyszła kawiarnia, a nad nią sale do prowadzenia różnych zajęć spowodują, że będzie to dom kultury z prawdziwego zdarzenia. Jak tylko mam chwilę, otwieram teczkę z pokolorowanymi planami, oglądam nasze przyszłego rajy coraz częściej interesuje też młodzież z zespołów. Wodzą palcami po tych umownych prostokątach. Może to wszystko jakoś się jednak poukłada.

Zastanawiam się, jak ugryźć kwestię bransoletki. Czuję, że nie będzie to łatwa sprawa i że będą z nią same kłopoty. Trzeba z cackiem pojechać do jubilera, złotnika albo do Desy. Najpierw chciałabym, żeby ktoś fachowo pokazał, jak ją otworzyć. Na domowej wadze ma prawie osiem i pół deka. Kto ją uczciwie wyceni? Myślę, że z tym musimy poczekać na wyjazd do Warszawy. Ale później – kto ją od nas kupi? Mamy ją, ale jaki będzie z tego pożytek?

* * *

Niespodziewanie przyszło polecenie szybszego likwidowania placówki, bo od poniedziałku budowlancy rozpoczną wkuwanie się w część zaplecza i rozbieranie kilku ścian. W pracowni fotograficznej za sceną ostatnie spotkanie członków. To ich pomieszczenie zostanie rozebrane jako pierwsze. Pakują sprzęt i przeniosą go do Piotra, który uprosił rodziców o pokoik na poddaszu. Będziemy więc się żegnać. Na ile miesięcy, lat, a może nigdy nie ukończą tej rozbudowy? Na razie zabrałam z domu trzy słoiczki konfitur z moich zimowych zapasów, kupiłam dwie butelki mleka i mąkę. Jeszcze sięgam po mikser, żeby była gwarancja bezproblemowego wymieszania składników. Kuchciki miały przynieść po jednym jajku, bo dziś usmażymy naleśniki z konfiturą. Narobimy smrodu, jak to mówią dzieci, na całą kulturę. Zajęcia za dwie godziny, ale już przygotowuję dzieciom stanowiska pracy. Jak przyjdą, dopilnuję tylko mycia rąk. Już chciałam sięgnąć do szafy po ceratki, spojrzałam jednak przez okno. I co widzę? Chyba znajomą sylwetkę, ale... to nie jest możliwe. Jakiś mężczyzna idzie z pochyloną głową. Ubrany jest z nienaganną starannością i dźwiga ogromny bukiet kwiatów! Kiedy zbliża się do wejściowych schodów, jestem już pewna, że to naprawdę on. Boże, to nie może się zdarzyć! Chyba zaraz zapadnę się pod ziemię! Tak, to Rafał

Szczodrowski! Co on tutaj robi?

Wpadam w popłoch. Dobrze, że nie jestem już odstrojona w fartuch z napisem „bon appetit”. Jeszcze ta bura, nieforemna sukienka z nadmarszczonym karczkiem dodaje mi co najmniej dziesięć kilogramów. I to mnie dobija. Odruchowo poprawiam włosy, dotykam policzków i zastanawiam się, czy już obłana jestem pąsem. Słyszę otwieranie wahadłowych drzwi na parterze, odgłos kroków w holu i wreszcie pukanie do drzwi biura. Cisza. Nie mówię zapraszającego: „proszę”. Ale drzwi się uchylają i najpierw widzę kwiaty, a chwilę później jego roześmianą twarz.

* * *

Rozstaliśmy się czternaście lat temu, kiedy wyjechał do Szczecina, a ja nie chciałam go odtąd znać. Jakaś propozycja pracy i nowe mieszkanie były ważniejsze ode mnie. Moje serce wali z taką siłą, że nie potrafię się nawet szczerze uśmiechnąć. W obawie, że wyskoczy – z piersi oczywiście. Jemu witanie wychodzi bardziej naturalnie, moją wyciągniętą do powitania rękę przyciąga do siebie i celuje ustami w usta, ale pąs mojej szminki powstrzymuje go i jego wargi dotykają tylko policzków. Wyciąga rękę z różami – herbaciane na długich łodygach wkłada mi do dłoni. Chcę je powąchać, żeby minęła następna chwila na uspokojenie. Ale on wyjmuje mi je z ręki, odkłada na stolik, obejmuje mnie za szyję i mocno przytula. Dlaczego się nie bronię? Bo nie chcę! Dlaczego oboje drżymy? Dziś jesteśmy o czternaście lat starsi i zdecydowanie ciężsi. A jak wejdą dzieci? Dzieci to dzieci, ale miała przyjść Kama. Oboje nie kwapimy się do rozmowy, ale nasze emocje są nieujarzmione jak u sztubaków. Siadamy naprzeciwko siebie przy kwadratowym stoliku i nadal trzymamy się za ręce. To Rafał zaaresztował moje dłonie, ale boimy się swoich spojrzeń. Zrobiłam mu świństwo, nie odezwałam się po żadnym z jego listów, kłamałam przez telefon. Zbieram się na odwagę i pytam:

– Co tu robisz?

– Leczę się w ciechocińskim sanatorium. Od naszej pani k.o. dowiedziałem się, że tutaj pracujesz, więc musiałem przyjechać – odpowiada.

W telegraficznym skrócie opowiada o rozwodzie, tragicznej śmierci synka, rozregulowanym sercu. – A co u ciebie? – dopytuje. Nie zdążam odpowiedzieć, bo otwierają się drzwi i wbiega Kama.

– To jest moja córka – mówię poważnie. Kama, słysząc mój ton, pomyślała, że to ktoś ze służbową wizytą, bo natychmiast wycofuje się z pokoju. Zdawkowo odpowiadam na pytanie, co u mnie i nerwowo patrzę w kierunku drzwi, za którymi kłębią się dzieci powstrzymywane przez Kamę. – Cicho! Kontrola u mamy! – powtarza takim konspiracyjnym szeptem, że w pokoju słyhać każde jej słowo. Wybuchamy z Rafałem jednocześnie śmiechem. Rozmawiamy chaotycznie,

przepraszam, że za chwilę mam zajęcia i nie mam nawet warunków na to, aby zaparzyć mu kawę. Umawiamy się na spotkanie w poniedziałek w kawiarni Zdrojowej. Przy pożegnaniu trochę nienaturalnie się zachowuję i trzymam sztywno rękę. Żałuję, że nie pociągnął za nią, bo chyba nie stawiałabym oporu. Wszedł. Wróciły wszystkie wspomnienia, ale dla złapania równowagi otwieram drzwi od biura i krzyczę:

– Dzieci, naleśnikarnia serdecznie zaprasza!

Skłamałam im w żywe oczy, bo wolałabym siedzieć z Rafałem, a nie bełtać jajka z mąką i mlekiem. Dziewczynki pokazują mi umyte rączki, chłopcy rozkładają ceratki. Kama podpytuje, czy ten pan to ten „porąbany dziad z sanepidu” i, nie czekając na odpowiedź, pomaga mi w przygotowaniu ciasta. Przed nami trzydzieści dwa naleśniki, po smażeniu których przesiąknemy do majtek smrodem oleju. Przymusowe mycie włosów też mamy zapewnione w tym pakiecie. Ustalamy, że każdy nadziewa wybraną konfiturą i składa naleśnik jak chce: może być rulonik, trójkącik lub w książeczkę. Większość zwija w rulonik i tak będą jeszcze obsmażane na maśle. Chłopcy przygotowują szklanki na herbatę, proszę o wyjęcie notesików i dyktuję przepis: „jedno jajko, około szklanki mleka i mąki, szczypta soli. Wszystko starannie zmiksować”. Dowcipkują, że na początku nie powiedziałam: „należy starannie umyć rączki”. Dyżurni otwierają okna, wycierają ściereczką ceratki i wszystkie akcesoria wkładają do miski. Nabieram odwagi i mówię o tym, że są to ostatnie zajęcia w tym miejscu. Na pocieszenie dodaję, że po rozbudowie zyskamy własny pokój z kuchnią elektryczną. A dzieci już się cieszą, że upieczemy tam biszkopt i bułeczki drożdżowe.

Robię wszystko, aby zachowywać się naturalnie, a przede wszystkim, żeby Kama nie dostrzegła mojej radości. I w duszy mówię: „idźcie, idźcie już do domu. Wszyscy!”. Chcę zostać sama, ochłonać i pozbierać myśli. Ku mojemu zdumieniu dzieciaki jak na komendę opuszczają klub. Odprowadzam ich głośnym: „uważajcie na siebie!”.

I myślami już jestem przy Rafale. Mam nadzieję, że zdążył na ten autobus o 17.20. Nadal czuję jego spokój, ciepło rąk i zapach jego ulubionej wody – Aramis Devin, w której nuta sosny miesza się z cedrem, bergamotą i piżmem. Zabawne, ale właściwie to ten zapach wszedł jako pierwszy, dopiero potem zobaczyłam bukiet, a chwilę później twarz Rafała.

I już w ciszy kontestuję każde jego słowo, każdy ruch ręką i nie schodzący z jego twarzy uśmiech. Wspomnienia tych kilkunastu minut spotkania i reminiscencje sprzed czternastu lat wracają z taką siłą, że czuję się tym wręcz zażenowana.

* * *

Radość z rozbudowy domu kultury przyćmiewa nadchodzące zawieszenie

w próżni mojej pracy. Nikt nie zabiera głosu na temat działalności w tak zwanym międzyczasie. Wskazane pomieszczenia zastępcze po byłym Komitecie PZPR zapełniają się meblami, sprzętem i instrumentami. Dobrze, że nie dowieziono zakurzonej kurtyny, fartuchów górnych i bocznych kulis, bo wówczas musiałabym zostać po zewnętrznej stronie drzwi. Na szczęście szmaty wraz z rampami złożono w holu. Jutro muszę ustalić nowe godziny mojej pracy i zaproponować, co w tej sytuacji mogłabym robić.

Dostawiam sobie krzesło do parapetu i rozkładam prowizoryczne biuro. Co można stworzyć na tej powierzchni i dla kogo? Patrzę na zapyziały rynek, na grupki osób rozprawiających z ospałą gestykulacją i ogarnia mnie niemoc. O zagotowaniu wody na herbatę nie może być mowy, bo zupełnie nie wiem, gdzie i w którym pomieszczeniu ulokowano pułdo z biurowymi gratami.

Wiadomość rozchodzi się po mieście lotem błyskawicy, ponoć na bojowych zebraniach „Solidarności” wnioskowano o wstrzymanie prac budowlanych po wyrobieniu materiału, który jest na stanie. Już domyślam się, jak to się skończy. W sobotę już chcę, żeby był poniedziałek. Chcę, ale jednocześnie mam skrupuły, czy powinnam jechać na to spotkanie z Rafałem. Jaki on jest, co robił przez te lata? Kiedyś lubił słuchać o moich studiach, ćwiczeniach. Pamiętam, jak pomagał mi w budowie i malowaniu makiety ze scenografią do spektaklu *Jan Maciej Karol Wścieklica*. Rozpieszczał mnie kwiatami, najbardziej lubił spontanicznie robić niespodzianki – jak niezapomniany kosz z owocami z sadu jego dziadka. Co ja dziś mam mu do zaoferowania? Co będzie go interesowało? Chyba niepotrzebnie przeprowadzam te operacje myślowe, już nieraz marzyłam, planowałam, ustalałam całe scenariusze, a życie łubudu w łeb i po wszystkim. Waliło się wszystko w jednej chwili.

Dobrze byłoby wymyślić dla moich domowych dobry pretekst do wyjazdu. Baba blisko pięćdziesiątki i kryguje się, bo chce gdzieś wyjść z domu! Mama nie tylko pilnuje klucza od „ostatniego” pokoju, ale trzyma rękę na pulsie wszystkich domowników. Nie chcę robić jej przykrości i przynajmniej głośno się nie buntuję. „Tak, mamusiu. Oczywiście, mamusiu. Jesteś bezbłędna, mamusiu”. Nie kadzę jej ani tacie, ale doceniam ogromną pomoc i bardzo ich oboje kocham, choć czasem mnie drażni, kiedy wychodzi z mamy taki Goebbels w spódnicy. Odpowiedni wybieg do wyjazdu wymyślę wieczorem, może najzgrabniejszy będzie... telefon z powiatu wzywający na zwołaną naradę ekstra. Jestem genialna!

* * *

Wieczorem okazało się, że wszystko przebiega planowo, mój domowy wódz o żelaznej ręce połknął haczyk i uwierzył w bajkę z naradą w tle. Obie cholerowałyśmy na rzekomy głupi pomysł zwierzchników z powiatu.

Przed wyjazdem weszłam do kuchni już ubrana w płaszcz, więc mama nie

widziała, że sukienka była troszkę niegrzeczna. Ale czujnie spojrzała na buty na wysokim obcasie, coś jej nie pasowało, ale obyło się bez dygresji. Wręczyła przygotowane kanapeczki, jabłko i jak zawsze powiedziała: – Uważaj na siebie!

Autobus przyjeżdża bardzo punktualnie, więc za dwadzieścia minut będę na deptaku i chwilę później zobaczę Rafała. Już w Ciechocinku pojazd wjeżdża w zatoczkę i gwałtownie hamuje. Powodem był Rafał, który przebiegł przed samą maską. Kierowca puszcza mu małą wiązanekę, ale on jedną ręką wygarnia mnie już z autobusu, a drugą podaje mi długą różę. Nawet nie dał mi czasu, w którym mogłam, idąc od przystanku do restauracji, rozmyślić się i uciec.

– Miałeś czekać w Zdrojowej! – besztam go troszkę.

– Przychodząc tu, zyskałem ładnych parę minut – odpowiada, szelmowsko się uśmiechając. Ujmuję mnie mocno pod rękę i ruszamy w kierunku Zdrojowej. Jakoś głupio mi iść z nim w takiej bliskości, tak chodziliśmy z mężem i byłam przekonana, że nikt inny nigdy nie będzie mnie tak holował. Tym żelaznym gestem robi mi, niestety, małą przykrość. Już w kawiarni wymieniamy nic nieznaczące uwagi o pogodzie, zabiegach uzdrowiskowych i programie TV. W środku tylko kilka miejsc jest zajętych, więc wybieramy sobie siedziska przy oknie. Wręczone menu nie jest nam potrzebne, proszę kawę ze śmietanką. Rafał odwrotnie, zamawia dużą czarną i proponuje lampkę koniaku. – Dobrze, najwyżej będę łatwa – uśmiecham się z niewyszukanego dowcipu. Koniak miał pomóc, ale właściwie wyostrza we mnie czujność. Umawiamy się, że on będzie pierwszy opowiadał o sobie. Dziwnie smutne są te nasze przeszłości i bardzo podobne. Dużo w nich łez, goryczy i beznadziei. Ja zawieszona w nieokreślonej przestrzeni, on zapiekły działacz Solidarności. Zgrabnie omijam ostatnie zagadnienie, bo nie jest mi po drodze. Ale doczekałam się zmiany tematu i małego, ale ostrego ataku – pytania wystrzelonego jak z procy: „Dlaczego mi to zrobiłaś?”. Spodziewałam się, że o to zapyta, ale nic sensownego nie mam do powiedzenia. Wiem, że zrobiłam źle, że ludzie uczciwi nie postępują w taki sposób.

– Rafał, wiem, to było nikczemne, przepraszam cię. Ja nigdy nie chciałam znaleźć się w takiej sytuacji. Wiem, że cię zraniłam, wstydzę się za moje postępowanie. Rafał, ja przez całe lata nie mogłam patrzeć na pierścionek od ciebie. Ze wstydu. Powinam oddać ci go dawno. Nie potrafiłam uczciwie przyznać się, że kogoś poznałam i się zakochałam – mówię. Energicznym ruchem wydaję z torebki złoty krążek z rubinowym oczkiem i wyciągam w kierunku Rafała otwartą dłoń: – Proszę, jest twój.

Ujmuję moją dłoń z pierścionkiem i zamyka ją.

– Ewo, on jest nadal twój! Nie upilnował cię, to prawda. Ale był przy tobie tyle lat, więc niech tak zostanie.

Nie komentuje moich wylewnych przeprosin i to chyba jest najboleńsze. W to miejsce mówi, że na bieżąco wiedział o mnie wszystko od Bogusi Klubowicz.

Kibicował mi, cieszył się z narodzin córki, sukcesów zawodowych, smucił kłopotami zdrowotnymi, wiedział o śmierci Artura i o wielu innych faktach. W zderzeniu z jego wiedzą, moja nika o jego życiu wygląda blado. Na bank, niestety łatwo zapomniałam o jego istnieniu! Zapomniałam o człowieku, który mnie kochał! Nie spodziewałam się, że będzie to spotkanie tryskające humorem, ale też nie sądziłam, że zasmucimy się tak bardzo. Siedzimy vis-à-vis siebie, ale jednocześnie oddalamy się, on jest myślami w nieokreślonych rewirach, a ja walczę z moimi wiszącymi już na rzesach łzami. Tylko ludzie potrafią w tak perfidny i bezwzględny sposób traktować drugiego człowieka. I ja byłam tego gatunku reprezentantką. Odkryłam u siebie zwykły, najzwyklejszy i niski egoizm.

To katharsis było mi jednak potrzebne, czuję się lżejsza, ale czy lepsza? Ucieszyłam się na propozycję spaceru. Zabawiam się w przewodnika po nowych sanatoriach, pokazuję Rafałowi korty, starannie wypielęgnowane dywany kwiatowe. Kanapkę kruszę ptakom, które wyskubują ją do końca. A jabłko, gestem znanym mi z obrazu Tycjana, podaję Rafałowi. Rozpoławia je silnymi dłońmi, aż czuję kropelki soku na twarzy. Prawą ręką podaje mi połówkę soczystego owocu.

Jednak mur między nami wcale nie staje się cieńszy i nic nie wskazuje na to, że coś się zmieni. Myślę, że milczenie byłoby bardziej budujące, ale żadne z nas nie potrafiło wyartykułować propozycji o nicniemówieniu. Zresztą czy nam zależy na budowaniu czegokolwiek?

– Rafał, cieszę się z naszego spotkania, ale muszę wracać do domu. Odprowadź mnie na przystanek – proszę. Pomyślałam, że każde „zebranie”, nawet „to” w powiecie, kiedyś musi się skończyć!

– Pozwolisz, że odwiozę cię taksówką? – proponuje. Nawet się cieszę, energicznie wsiadam do zatrzymanego auta i natychmiast zostaję przygwożdżona sączącą się z radia piosenką Steviego Wondera. Zakochałam się w niej kiedyś, oglądając *Kobietę w czerwieni*. Dotykam dłoni Rafała i czuję, jak zamyka ją w swojej. Nie odzywamy się do siebie, chłonąc romantyczną melodię.

Po kilku minutach już żegnamy się na rynku, uzgadniając, o której i kiedy się zdzwonimy. Rafał całuje szarmancko moją rękę, przypominając o niezabranej z taxi róży.

– Ilekroć słyszałem tę melodię, zawsze chciałem chwycić słuchawkę i zadzwonić – mówi bardziej do siebie. I dodaje: – Ewa, dziękuję, że byłaś!

Zatrzymuję się i widzę, jak samochód już zakręca w wylotową ulicę z miasteczka. Rafał powiedział „dziękuję, że byłaś”. Zastanawiam się, czy chodziło mu o to, że „byłam” wówczas, czy dzisiaj? Do kuchni wpadam z impetem i już mam snuć jakąś bajkę z tysiąca i jednej nocy, ale oczy mojej trójki wpatrzone są w różę, którą trzymam w ręku. – Przywiozłam dla Joli. Prosiła, żeby jej kupić, bo wybiera się na imieninową wizytę – odpalam. Mama przytomnie odwraca oczy w kierunku kalendarza. – To ona ma jakiegoś solenizanta Modesta? – pyta. Idę

zdjąć suknię, bo mogłabym się nie obronić, wpadając w następną spiralę pytań. Wskakuję w podomkę i wracam do kuchni. Tato, zaczytany w „Pomorskiej”, nie odzywa się. Mama głośno skarży się na tatę, że mimo gróźb i prośb, pracuje ponad siły przy budowie, „łeb w łeb z murarzami”. Nie wierzę, żeby Lolek Kowalski dopuszczał do zatracenia taty, ale jutro wyjątkowo uczulę go na te tatowe pomoce. Oskarżony nie jest lepszy i jak zbuntowany chłopak cedzi argumenty: „bo mi się tak podoba”. Ręce opadają, takie tam „przekomarzenia” przeszło osiemdziesięciolatek! Kama nie wdaje się w żadne domowe scysje, jest zajęta własnym światem, zakochana w blond grzywce i wydętych usteczkach syneczka miejscowego krezusa. Coś grzebie przy swoich włosach, chyba myśli o ścięciu kity i przymierza różne wersje uczesania. Udaję, że tego nie widzę, bo dziś już właściwie nie chcę nic widzieć. Dzień był bardzo bogaty w przeżycia, marzę o położeniu się i zgaszeniu światła.

Od czasu do czasu ciepło myślę o Rafale i cieszę się, nawet bardzo, że spotkaliśmy się po latach. Już nie czuję tak wyraźnie wstydu i zażenowania, ale też nie usłyszałam od niego wyraźnego rozgrzeszenia. Czy powinniśmy i czy jeszcze się spotkamy? Mądrość Heraklita „nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki” mogłaby mi być jak drogowskaz. Zaraz, zaraz, a może właśnie Rafała poproszę, aby towarzyszył mi przy rozmowach o bransoletce z jubilerem czy jakimś złotnikiem. Jeżeli nie będzie miał innych planów, to może zaproponuję mu wycieczkę do Torunia. Mogę mu zaufać, bo wiem, że nie ukręci mi głowy i nie okradnie.

* * *

Wychodząc do pracy, w ostatniej chwili zabieram parasolkę. Tylko wyszłam z uliczki i lunęło jak z cebra. Żeby ochronić rulon z brystolem, osłaniam go, wkładając pod płaszcz. Miałam wejść do sklepu, żeby kupić żarówkę, ale nie chcę ryzykować, że deszcz zniszczy mi jedyny materiał na plakaty. Gdy tylko otwieram drzwi biura, słyszę brzęczek telefonu. Nieśpiesznie podnoszę słuchawkę. Po moim „słucham” rozmówca robi mi wymówkę, że dzwoni już całe trzy minuty.

– Rafał! Jaki ty jesteś punktualny – mówię bezmyślnie, bo przecież nie umawialiśmy się co do minuty. I dodaję: – Wiesz, myślałam o tobie, bo... – głupio mi powiedzieć prawdę, więc przetykam szybko ślinę i wypalam:

– Rafałku, mam do ciebie prośbę.

– Ja też mam do ciebie prośbę i pozwól, że ja pierwszy powiem – mówi. Godzę się trochę niechętnie.

– Oczywiście, słucham cię.

– Ewo, bardzo proszę, zgódź się towarzyszyć mi podczas wyjazdu do Torunia. Chcę odświeżyć wspomnienia. Pamiętasz, jak jeździliśmy na lody do Poznańskiego i mrożoną kawę do „Gospody Pod Modrym Fartuchem”?

Zamarłam, bo już nie wiem, czy to ja sama wypowiadam te słowa, czy je usłyszałam.

– Jakies zakłócenia, możesz powtórzyć? – proszę. Powtarza dokładnie słowo w słowo.

– Z radością pojedę – odpowiadam.

Domówiliśmy się co do godziny, bo że w poniedziałek to było oczywiste.

* * *

Bransoletkę owinęłam w płachetek gazy i ulokowałam w zamkniętej na zamek błyskawiczny kieszonce torebki. Kiedy wsiedliśmy do autobusu, po części wtajemniczyłam Rafała w sprawę bransoletki. Powiedziałam, że rodzice chcą spieniężyć rodową pamiątkę, że muszę zaczerpnąć trochę informacji o jej wartości i takie tam inne farmazony. Postanowiliśmy najpierw dotrzeć do pracowni jubilera. Miły starszy pan oglądał bransoletkę z ogromnym zainteresowaniem, raz patrząc na nas, to znów na nią. Co on sobie myślał, trudno było zgadnąć, ale dało się wyczytać z jego twarzy: przyszła para złodziei, chce zaczerpnąć informacji i zbadać, jak to można opylić. Więc powtórzyłam mu tę samą opowieść, którą wcześniej uraczyłam Rafała. Pan Półtorak, bo tak było napisane na szyldzie, łyknął mój tekst. Po chwili na swoim pulpicie rozłożył filcową nakładkę i zaczął przyglądać się kamieniom, misternym zdobieniom i zapięciu. Kręcił znacząco głową, co oznaczało nieskrywany podziw. Lekko nacisnął maleńką, wielkości pół łebka od szpilki, zapadkę i zameczek się otworzył. Wziął do ręki lupę, założył ją sobie na oko i dalej z zainteresowaniem oglądał bransoletkę na zewnątrz, a potem nie mniej uważnie wpatrywał się w jej wewnętrzną stronę. W pewnej chwili z uśmiechem odczytał wygrawerowany tam tekst: „Ukochanej Florentynie – Cezary Puzyna”. Słuchałam tego z ogromnym niedowierzaniem i poprosiłam o pokazanie mi bliżej tego wrytego tekstu.

– Nie ma pan pojęcia, jaką ogromną frajdę zrobił mi pan tym odkryciem. Florentyna to moja prababcia.

Od tej chwili już byłam absolutnie pewna, że ona była najprawdziwszą właścicielką tego cuda. Ale kto to był Cezary? Pan Półtorak nawet nie podejmował się określenia wartości artystycznej, historycznej czy jubilerskiej tej bransolety. – Rozumiem, że nie chce jej pani sprzedać jako złomu? To byłoby nierozsądne, ludzie powinni się nią cieszyć i podziwiać. Ona jest niecodziennie piękna! Myślę, że to dziewiętnastowieczne cacko, ze szkoły złotników rosyjskich. Musi pani udać się do rzeczoznawcy z prawdziwego zdarzenia, z odpowiednim doświadczeniem zawodowym. Sprawa wartości złota to jeden temat, ale wycena brylantów uzależniona jest od czterech czynników: masy, czystości, koloru i szlif. Podpowiadam konsultacje, ale już w jakiejś porządnej, dużej Desie, oni państwu powiedzą więcej. Serdecznie podziękowałam za wskazówki, za otwarcie zameczka

i, co najważniejsze, odkrycie ciekawego grawerunku. Byłam naprawdę wzruszona i trochę zawstydzona, że jeszcze niedawno podejrzewałam naszą Florentynę o klejące ręce. Nie chciałam pokazywać mojego podekscytowania Rafałowi, więc starannie zabezpieczyłam cenny krążek, usadowiłam w schowku torebki i jak gdyby nigdy nic ruszyliśmy na stare miasto. Założyłam, że od tej chwili to Rafał jest najważniejszy, byłam mu wdzięczna za towarzystwo przy rozmowie z jubilerem. Znał Toruń, więc odświeżaliśmy tylko topografię miasta. Nasze wędrowki zakończyliśmy przepyszną *cassatą* w lodziarni Poznańskiego.

Przez całą drogę do domu kontrolowałam, czy torebka jest na miejscu i czy wyczuwam dłonią cenny okrągły przedmiot. Już dobrze szarzało, gdy wpadłam do sieni domu. Moi siedzieli przy stole i pałaszowali pierogi mięsne z sałatką z kiszonej kapusty. Mimo zachęty nie zdecydowałam się na kolację i tylko sięgnęłam po szklankę. Zalewając wrzątkiem esencję, porozumiewawczo spojrzałam na mamę, która patrzyła mi w oczy pytając: „wszystko załatwiłaś?”.

Za chwilę zostaliśmy przy stole same. Tato siadł przed telewizorem, Kama wróciła do czytania – podejrzewam, że podbiera mi „Sztukę kochania” Wisłockiej.

W telegraficznym skrócie streściłam pobyt u toruńskiego jubilera. Mama wyraźnie ożywiła się na informację o grawerunku.

– W naszej rodzinie nigdy nie słyszałam o żadnym mężczyźnie, który nazywał się Puzyna, ale jednocześnie wiem, że był gdzieś na Wschodzie ród magnacki i że dawno temu żyli biskupi o takim nazwisku – powiedziała.

No, no, to nasza babunia miała bardzo wyrafinowane znajomości! Cezary to może jakiś synek... duchownego? O Boże, a może to któryś z biskupów!

Na temat trudności z wyceną mama zasmuciła się, chociaż od początku przewidywała, że i spieniężenie bransoletki to nie będzie łatwa sprawa. Jedno jest pewne – że przysłowiowego wróbla to w garści mamy, tylko nie wiemy, co z tym zrobić dalej. Trzeba wziąć na wstrzymanie i zaplanować wyjazd do stolicy. Stop prywacie! Koniec z rozmyślaniami! Do roboty, do roboty!

Rafał nie odezwał się. Telefon milczy jak zaklęty! I jeszcze ten wspólny wypad do Torunia... Jak to on powiedział: „odświeżymy wspomnienia!”. Jak na ironię, kiedy w ciechocińskim parku wręczał mi ociekającą sokiem połówkę jabłka, dopatrywałam się w tym gościu mistyki. Nasze palce dotkały się tak jakoś nienaturalnie długo. Ciepło dłoni Rafała i wyraz jego oczu starczały mi za dziesiątki słów. Nie odzywaliśmy się, ja celowo zrobiłam kilka kroków do przodu, przez chwilę trzymałam w dłoni owoc jak komunię i z namaszczeniem odgryzałam kawałek po kawałku. Wyobrażałam sobie rajskiego Adama i drżałam, żebym nie zdradziła się z moimi myślami i nie wykrzyczała, że... nie jest mi obojętny, że przykrość, jaką przeżyłam po jego wyjeździe do Szczecina była duża, ale wybaczam mu. Wybaczam to mało, przepraszam, że go zdradziłam! Chciałam całą winę wziąć na siebie!

I dobrze, że tak się nie stało! Czasem moja intuicja mnie nie zawodzi. Teraz miałabym kaca, a tak już wiem, że ta scena i następne – w taksówce, róża i wreszcie pożegnanie na rynku – to był mały spektakl jednego aktora. Jeżeli chciał w ten sposób zatriumfować nad moim uczuciem, to mu się udało.

* * *

Rafał zadzwonił już ze Szczecina, niespodzianie wyjechał dwa dni wcześniej. Jak powiedział, wezwano go, bo ma osobiście odebrać i pokwitować jakiś sprzęt drukarski do siedziby. Co to jest ta siedziba? Ukończył politechnikę, pracuje jako inżynier w stoczni, więc co robi w drukarni? Wyczuł, że nie bardzo wiem, o czym mówi, i dodał:

– Po pracy działam w związkowych strukturach, teraz to już dwadzieścia cztery godziny na dobę. Muszę odciążyć zapracowanego Tomka Radziewicza. Ciągłe mieliśmy zbyt mało czasu, by pogadać, zresztą ty żyjesz w tym swoim hermetycznym świecie kultury i nie wystawiasz nosa dalej. Świat się kręci, a my go ostro poganiamy batem. Lubię, jak wrze w tym garze! Mam dużo pracy, przygotowujemy się do wyborów samorządowych. Trzymaj się, zadzwonię któregoś dnia – obiecał

Teraz do mnie dotarły jego słowa i w mig zrozumiałam, że jest czynnym działaczem Solidarności. „Komunistka” i drukarz ulotek...

* * *

Co mogę zrobić, mając do dyspozycji parapet okienny? Wiem, że wiele nie zbuduję, ale teraz będę chciała utrzymać się na powierzchni, mieć zapewnione chociaż pobory. Jediną rzeczową propozycją z mojej strony jest organizacja wycieczek zagranicznych. Nie wymyśliłam tego sama, ale zaproponował mi współpracę pan Jan – właściciel wypożyczalni autokarów. Przygotowałam kosztorys: wynajem, ubezpieczenie i resztę należy traktować jako dochód placówki. Z tak przygotowanymi kwitami poszłam na rozmowę do urzędu, łyknięli to w lot i oczywiście otrzymałam akceptację. Po „konsultacjach społecznych” pierwszy wyjazd zorganizowałam do Berlina. Nazajutrz chętni stali już od rana przed zamkniętymi drzwiami autokaru. Faktycznie, autobus to nie harmonia, ma tylko tyle miejsc, ile ma. Na pierwszą wycieczkę zabrałam Kamę, aby pomogła mi po niemiecku sklecić odpowiedź na pytania celników, ile osób jest w autokarze i po co jedziemy do Berlina? Ile – to proste, ale po co? Będziemy szukać wczorajszego dnia! Uczestnicy, wbrew moim turystycznym aspiracjom, nadali wycieczce charakter czysto handlowy.

Jechaliśmy jak na jeden wielki piknik – wszyscy z koszykami wiklinowymi. „Podobno jest tam wielkie zapotrzebowanie na wiklinę” – powtarzali sobie moi turyści. Zupełnie nie rozumiem tego fenomenu, mają tam wszystko, no prawie

wszystko, a koszyki kupują od Polaków. Pomysłowość wycieczkowiczów otwierała mi oczy na świat. Nie wymyśliłabym przewozu kryształowych kieliszków w o numer za dużych kozaczkach albo kryształowej karafki przyklejonej taśmą do pleców. Marki przewożono w kokach, w nadprutych oparciach foteli lub mniej wyrafinowanie – między pośladkami. Za odkryte przez celników towary cofano z granicy. „Zuruck kommen” – tłumaczyła za każdym razem bezbłędnie Kama. Ich wymowny gest ręką i „ciepły” ton rozkazu przetłumaczył się sam.

Tyle lat po wyzwoleniu Polski, znam realia stosunków niemiecko-polskich tylko z historycznych filmów i opowiadań rodziców, a na dźwięk ich mowy kark niezmiennie pokornieje i jak pod pejczem pochyla się ze strachu.

Pan Jan, wówczas już otrząskany światowy bywalec, zawoził wycieczkowiczów do lasu i podpowiadał zakopywanie trefnego towaru przeznaczonego na handel. W drodze powrotnej wracano po towar, ale nie zawsze udało się trafić w naprędce zaznaczone miejsce. „Czysty” autokar, ale już po zmianie celników, podjeżdżał ponownie do odprawy. Teraz było już mniej czasu na dotarcie na miejsce, spieniężenie towarów i zrobienie sprawunków. Targ przy berlińskim zoo skupiał, poza kupującymi, różnych cwaniaków. Popularna gra w kostki pokonała nawet pana Jana. Żal było patrzeć, jak traci duże pieniądze. Nigdy nie przyszło mi do głowy przewozić tam coś do sprzedania – ze zwykłego, ludzkiego strachu.

Wśród zakupów powodzenie miało salami, sprzęt, obuwie, bielizna. Chodziłam jak zaczarowana z zakupionymi w Polsce kilkoma markami i sama nie wiedziałam, na co je wydać. Tam zobaczyłam pierwsze prawdziwe markety. Ten najbliższy dworca nazywał się Aldi czy jakoś podobnie. Ogromny sam, w którym koszyczek był usprawiedliwieniem na bezkarne łożenie od półki do półki i z otwartymi ustami oglądanie poszczególnych artykułów. Kolorowe opakowania, byle sreberka, złotka zachwycały. Najgorsze, że moje marki kupione na książeczkę walutową, starczały tylko na drobne sprawunki, chociaż chciałabym kupić wszystko – przecież u nas w sklepach półki nie były przeciążone. Jedyne mój luksus to zakup gorących kiełbasek w chrupiącej bułce. Obowiązkowym punktem programu, nie tylko mojego, bo szły tam setki osób, był marsz w kierunku resztek Muru Berlińskiego. Tej osobliwości z bardzo smutną przeszłością. Ludzie kochani, to było przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów umocnień, które rozdzielały braci z RFN przed... braćmi z NRD.

Pamiętam, że na początku 1990 roku, zaraz po runięciu tej „żelaznej kurtyny”, obserwowałam, jak ci z RFN – elegancko ubrani, uczesani i promienni – bezbłędnie wyławiali z tłumy i witali tych „ubogich krewnych” ze wschodniej strony muru. Szli oni najczęściej gęsiego, bo po przekroczeniu byłej granicy ustawiali się w kolejce i odbierali... wielką i pełną torbę różnych delikatesów.

Nieraz chciałam się w ten ogonek wcisnąć...

* * *

Wszyscy oceniali, że było fajnie, ale dla mnie to było straszne. Trzy, cztery wyjazdy w miesiącu i zawsze komplet uczestników. Dla urozmaicenia wymyśliłam też wyjazdy do Budapesztu, ale już z prawdziwą przewodniczką znającą język węgierski. Od wczesnego rana pokazywała nam stolicę Węgier, kierowała na Górę Gellerta, pokazywała urzekającą panoramę miasta i opowiadała o historii miasta. Granicę słuchania stawiali uczestnicy wyjazdu – tylko do dziesiątej, bo z chwilą otwarcia sklepów już woleli być w centrum. Widziałam tam wtedy po raz pierwszy w życiu eleganckie butikiki na ulicy Rákóczi i Wielkim Bulwarze, McDonalda, bardzo kolorowe napoje o egzotycznych smakach mango, marakui czy kiwi, i smakowałam rewelacyjnych lodów. Tachaliśmy całe zgrzewki tych napojów, ja kupowałam zielone o smaku kiwi, po wypiciu których miałam zielony język. Oczywiście tego owocu wcześniej nigdy na oczy nie widziałam. Swetry w charakterystyczne wzory i fluorescencyjne sznurowadła, były marzeniem każdego wycieczkowicza, w ogóle zachwycaliśmy się wszystkim, bo u nas od lat władza nas nie rozpieszcza.

* * *

Od wyborów samorządowych minęły raptem cztery miesiące, a miasteczku zmiany, zmiany, zmiany... Pytanie, czy na lepsze. „Ściąć gałąź, na której siedziały komuchy!” – tak podobno krzyczał najważniejszy z nowej rady miasta, a wtórowali mu pozostali. Nowa miotła, nowe porządki. Nikt mi tego nie mówi w twarz, że szykują się jakieś zwolnienia, ale sama też widzę, że gotuje się w środowisku. Złowrogo bulgocze w tym garze, a jad wyrzucany jest chyłkiem. Czytam jakieś podrzucone mi pod próg gazetki, manifesty i dociera do mnie, że też jestem celem. Zmiana władzy, rozdział gminy od miasta, pokrzykiwania Solidarności i niecierpiąca zwłoki jej inicjatywa: ponowne odsłonięcie pomnika Piłsudskiego. Dowiaduję się, że w roku 1920, więc za życia Wodza, nasza społeczność ufundowała obelisk. Był to pierwszy pomnik Marszałka w Polsce, ponoć liczone na obecność beneficjenta, ale reprezentowali go adiutanci. Dyskutujemy w domu o tym głośnym polityku, tato przybliżył mi dodatkowo sprawę Berezny Kartuskiej. Przy tej okazji mama po raz kolejny opowiada o kuzynie Marianie Malinowskim, pseudonim Wojtek, który był ministrem robót publicznych i współpracował z Piłsudskim. I oczywiście częstuje nas anegdotą:

– Wujek Marian Malinowski odwiedził nas w drodze do Torunia, na kilka godzin przed wystąpieniem na temat „kupuj tylko polskie produkty”, a w jego odłożonym na fotel kapeluszu widniała metka słynnej amerykańskiej firmy – wspomina z drwiną w głosie mama. Śmieszne i ciężkie klimaty, czuję się

historycznie niedouczona.

– Zosiu, tyle razy opowiadałaś o tym wujko-stryjku czy stryjko-wujku Marianie Malinowskim i o waszej ucieczce z Warszawy, ale mnie się mylą fakty. To w końcu kim on był? – dopytuje tata.

– A co cię tak naszło? No byli bracia wujeczni: Marian był synem Stanisława, radomskiego stolarza, a mój dziadek miał na imię Władysław, jego ojciec był właścicielem młyna i tylko ta gałąź rodziny obnosiła się herbem Ślepowron. Marian był dużo starszy od mojej mamy, zapowiadał się na artystę, ukończył szkołę rzemieślniczą, nawet otworzył zakład malarstwa dekoracyjnego. Ale w rodzinie mówili, że miał... politycznego diabła za skórą.

– Mówiałaś, że ten Marianek rozkręcał PPS? – upewnia się ojciec.

Mama poprawiła poduszeczkę na krzeselku, usiadła, założyła nogę na nogę, a to oznacza dłuższe wywody. I teraz jest w swoim żywiole! Nie dziwię się, bo wiem, że Warszawa była dla niej, kilkunastoletniej dziewczynki bardzo ważna. Często opowiadała różne anegdoty z życia kamienicy, wspominała niedzielne spacerunki po Ogrodzie Saskim, podwórko z figurką Matki Boskiej, wyprawy do drugiej klatki schodowej, gdzie mieszkało kuzynostwo, wizyty u wujostwa i takie tam różne. Pomyślałam, że babcia Władzia to dopiero by nam wyluszczyła ten temat. Lubię słuchać tych wspomnień i zazdroszczę im tej Warszawy.

– Rozkręcał? – obrusza się mama – Cała Warszawa o tym mówiła! On już w Radomiu zaczął mierzyć się z polityką, a po przyjeździe do Warszawy to u nas na Grzybowskiej, dosłownie pod naszymi oknami, organizował zbiórki, a sam stawał na przodzie pochodu. Nie myśl, że z chorągiewką w dłoni, to były zbrojne manifestacje. Musiał mieć posłuch i charyzmę, bo ludzie do niego lgnęli jak muchy do miodu. Złapali go, więzili, wywieźli do Archangielska. Może to nie do wiary, ale uciekł i później śmiał się w domu, mówiąc: „za zimno tam mi było i przyjechałem się u was ogrzać”. I dopiero wtedy w naszej kamienicy zaczęły się niespokojne lata: stójkowi pod kamienicą, szpicle na każdym kroku, rewizje, przesłuchania. Kilka lat później złapali go, skazali na sześć lat katorgi i wywieźli do Smoleńska, tam podpadł i przenieśli go dożywotnio na Syberię. U niego w domu wielka rozpacz, ale po roku carska policja znów zapukała na Grzybowską, bo nasz Marian, nie wiem jak on to zrobił, ale zbiegł. Jego rodzice i moi dziadkowie nie mieli już ani jednego dnia spokojnego i tata postanowił, że jego kobiety muszą się ratować i uciekać. I uciekłyśmy, dosłownie z dnia na dzień na Kujawy do cioci Nowakowskiej, a tata postanowił ukrywać się i pilnować dobytku.

– Zosiu, ty i twoje siostry byłyście przecież kilkuletnimi dziewczynkami, jak to przetrwałyście?

– Dosłownie na chwilę przed wybuchem I wojny światowej, to było w maju, ale czekajcie, zastanawiam się którego roku?

Razem z tatą wykazujemy się znajomością historii i wrzeszczymy

jednocześnie: „czternasty rok”!

– Macie rację, przecież wtedy został zastrzelony arcyksiążę Franciszek! Moja mama miała intuicję, zabrała wszystkie oszczędności, koszyczek z jedzeniem, ubrania, mnie, Oleńkę, Łodzię i ruszyliśmy na dworzec, nazywał się wtedy Wiedeński. Pamiętam jakieś postoje, przerwy w podróży i to, że każda z nas coś dźwigała. I tak miałyśmy szczęście, bo krótko po tej wyprawie ten nasz Dworzec Wiedeński został zbombardowany. Moje siostry tę podróż i nędzę, jaka wkradła się do naszego nowego domu, przepląciły utratą zdrowia, a w końcu i życia. A ja nieraz ci opowiadałam, jak uciekałam grabarzowi spod łopaty.

Troszeczkę nasza Zosieńka się rozczuliła, pewnie przypomniały jej się czasy, kiedy wychodziła z gruźlicy, chleb był na wagę złota, a wreszcie pogrzeby jej siostrzyczek – Oluni i Łodzi. Milczymy chwilę, ale za moment mama uśmiecha się do swoich myśli i kończy:

– Oj, długo by trzeba mówić o perypetiach z przesłaniem bagaży, kufrów i tym wszystkim, co zostało na głowie taty. Bo to on gasił światło i zamykał drzwi naszego mieszkania, które przecież zostawiliśmy z pełnym umeblowaniem i wyposażeniem. Kiedy dołączył do nas na Kujawy tata, było łatwiej, ale nadal się nie przelewało... Ojciec ciężko pracował, żebyśmy mieli z czego żyć. W końcu podupadł na zdrowiu i zmarł. Mama długo nie mogła się otrząsnąć po tych tragediach. Powiem bez ogródek – przyszedł dzień, że nie mieliśmy co do garnka włożyć! Chyba sama Opatrzność nad nią czuwała, bo postawiła na jej drodze Stanisława. Oświadczył jej się po pół roku. Mój ojczym był majątnym, ale przede wszystkim bardzo dobrym człowiekiem. Traktował nas jak własne dzieci. Henryczku, to były bardzo ciężkie czasy!

– A ten twój wujek zawsze spadał na cztery łapy... Pomogło mu też, że w tej robocie politycznej używał pseudonimu. Dobrze pamiętam, że „Wojtek”? – pyta tata z nutką ironii w głosie.

– Fakt, przecież ci mówiłam: za rządów Daszyńskiego miał tekę ministra robót publicznych, a za Moraczewskiego był bez teki, ale też kimś ważnym. Odwiedzał nas i ciocię Nowakowską. Z listy PPS był posłem na sejm, później senatorem. Taki był zdolny nasz Wojtek.

Tato z niedowierzaniem kręci głową i szykuje jakąś ripostę. Już otwiera usta, żeby coś powiedzieć...

– Henryku, daj spokój! Nie zazdrościmy mu, był ciągle na celowniku, w 1939 przedostał się do Rumunii, przebywał w obozie internowanych. Jak mi opowiadała kuzynka Rozalia, podobno wrócił w 1945 roku i gdzieś żył pod zmienionym nazwiskiem. No, Henryczku powiedz – to były miody? Ten ciągły strach? Kochani, wy wiecie, która jest godzina? – mama jednym zdaniem kończy polityczne dysputy.

* * *

Umieszczono mnie w komitecie organizacyjnym odsłonięcia pomnika i robię, co mi każą. Moim zadaniem jest nawiązanie kontaktu z synową Kazimierzy Walickiej, wielkiej działaczki niepodległościowej, z inicjatywy której został odsłonięty ten pierwszy w Polsce pomnik. Odnajduję ją w Warszawie. Zebrane materiały, fotografie i dokumenty pozwoliły mi stworzyć interesujący obraz żony ówczesnego notariusza. Była wspaniałą postacią z krwi i kości, która w latach dwudziestych prowadziła we własnym domu i za własne pieniądze sierociniec dla warszawskich dzieci.

Jeszcze w przeddzień uroczystości jestem podpuszczana, że gdybym chciała się wyłączyć z prowadzenia obchodów, to spokojnie mogę zrezygnować. Już typuję, kogo mają na zastępstwo: oczywiście miejscową rozhisteryzowaną piękność. „Ja was znam!” – myślę i dodaję, że to prowokacja, po której nazwano by to najzwyczajniej opuszczeniem stanowiska pracy, a to już prosta droga do zwolnienia dyscyplinarnego. Przetykam więc tę żabę! Wszystko przebiega według szczegółowo opracowanego scenariusza, który czyściłam i ustalałam przez kilka ostatnich tygodni. Prawdziwą ozdobą uroczystości jest odsłaniająca tablicę – oficer Armii Krajowej, sławna cichociemna, profesor Elżbieta Zawacka. Jej słowa brzmią ponadczasowo i bardzo trafiają do serca. Hymn, melodie patriotyczne w wykonaniu muzyków toruńskiej jednostki wzruszają. Wreszcie koniec uroczystości – notable i goście idą na obiad do klasztoru, od niedawna siedziby Caritasu. Ktoś niby życzliwy podchodzi do mnie i szeptem:

– Tak mi przykro, jutro wręczą ci wypowiedzenie.

Jeszcze niedawno tato jak Pytia recytował o przeciekach z ratusza:– Najpierw wstrzymają budowę, wszystko zacznie niszczyć, później wywalą ciebie, pójdiesz na zieloną trawkę.

Obruszałam się. Ale coś jest na rzeczy, bo koleżanki jakoś gwałtownie nie mają dla mnie czasu. Wiedzą chyba dużo więcej niż te skąpe informacje, które jak popłuczyny docierają do mnie.

– Córka, to już koniec. Za mojego życia ani później, nie będzie już tej placówki – powiedział któregoś dnia ojciec tonem nieprzyjmującym sprzeciwu. I dodał: – Władza nie śmierdzi groszem, a ty wybrałaś złą porę na rozbudowę. Nadchodzą czasy, że czym będzie działa się gorzej, tym będzie lepiej. Kultura właśnie została żywcem pogrzebana. I to na lata.

„Zwariowałaś!” – chciałam odpalić domorosłemu wróżbicie, ale ugryzłam się w język. „To nie jest możliwe” – myślałam! „Przecież nikt do tego nie dopuści! Tutejsi ludzie są ambitni – oszukiwałam się – podniosą larum. Na środku rynku będą odgrywały się dantejskie sceny” – liczyłam naiwnie. Ale nic takiego się nie wydarzyło!

„Możnowładza” rozzuchwiała się i nie tylko zwalnia mnie, ale przezornie

oddaje etat „kulturyisty” do województwa. Każdy myśli już tylko o sobie. Przyjaciele stają się coraz mniej przyjacielscy. Po płotach rozwieszane są ogłoszenia, płodzone przez jedynych sprawiedliwych, o rozliczeniu wszystkich i wszystkiego, które rozpalają wyobraźnię gawiedzi. Jednych planują wieszać na latarniach, innych obrzucają błotem, a nuż się coś przyklei. Temida ma opaskę na oczach, a tutejsi sprawiedliwi jeno klapki. Robiąc personalne porządki, siekają na oślep i bezmyślnie. A może i zmyślnie, wszak obsadzają stołki swoimi – żonami, ciotkami, kuzynami.

* * *

Kurwa! Oni mi to zrobili naprawdę! Nie wyobrażam sobie życia na nieustannie panującym wolnym. Chcę pracować! Tu, wśród swoich! Wdowa opiekująca się parą wiekowych staruszków i małą córką ma szukać pracy poza miastem rodzinnym? Nasi „solidarni” i sprawiedliwi to bardzo mali ludzie, wzrostem też, którzy weszli w jedynie słuszną koleinę. Co oni zrobili dla tego miasta? Czy jest ktoś wśród nich, kto choćby podniósł papierek z ulicy? Kto – z imienia i nazwiska? Odważnie, proszę się zgłosić!

Ojciec odczekał trochę, by nabrać odwagi do drażenia sprawy. Siedzi na tapczanie i widać, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło. Ale w końcu pyta: – Dlaczego to spotkało ciebie? Nienawiść, zazdrość czy zwykłe rozgrywki polityczne?

Nie mam odpowiedzi, którą bym wypaliła natychmiast. Po pierwsze, klucha w gardle nie pozwala mi lekko i beznamiętnie odpowiadać. Po drugie, niestety, mam na sumieniu potężny grzech. I biję się w piersi, wiem, że nie pomogło mi zaangażowanie się w sprawę rozdziału miasta od gminy. Przecież nieraz dopadały mnie zwątpienia – ja, ekonomiczny ignorant, wiedziałam, że dochody i subwencje miasteczka same nie podźwigną obciążenia finansowego. Wydatki ciągną wydatki, a potrzeb multum. Zawiniłam, bo wtórowałam realizacji wielkich ambicji niepopartych ekonomiczną wiedzą. Czy miałam rację, pokaże przyszłość.

Starsza rodu tłumaczy inaczej: – Córka, nie jesteśmy stąd, to po pierwsze. Miejscowi trzymają się razem i się wzajemnie popierają. Ich krew wymieszała się dokładnie, wuj kręci z kuzynką i z tym jest im dobrze. Po drugie, jesteś wdową – łatwy cel, bo wiedzą, że nikt się za tobą nie ujmie, mordy nie skuje i psem nie poszczuje.

Tato wtóruje. – A nie mówiłem, że tak będzie? Mikołaj mi mówił dokładnie, co przypadkowo podsłuchał, o czym „rewolucjoniści” rozprawiali i co uzgadniali. Teraz załatwią sobie fajne prace, dobre pieniądze, na wygodnych stołkach posadzą całe swoje rodziny. Pożyj i sama się przekonasz, jak ustawią swoją przyszłość. To są prawa aksamitnej rewolucji, gdzie tylko pozornie nie ma ofiar – kwituje.

Wszystkich słucham naraz, ale myślę, że pies nie tu jest pogrzebany. Nie

mają racji, przecież ci „oni” też są napływowi, tylko że potrafią się w nowej sytuacji odnaleźć i wywahać możliwości. Przecież Wałęsa też nie jest z Gdańska, a bezbłędnie znalazł drogę na płot stoczni. Jemu doradzali i naszym „rewolucjonistom” również ktoś szepce i tłumaczy z polskiego na polski.

Co ja powiem Kamie? Że już nie jestem nic warta, że bruk to odpowiednie miejsce dla jej matki? A może ona już się mnie wstydzi? Jedno jest pewne – nigdy nie pojedę po zasiłek, przenigdy! Przecież normalny człowiek z kwalifikacjami i długim stażem nie będzie w stanie nachylić się do okienka, żeby podpisać odbiór tej jałmużny. Nim podeszłabym do kasy, zapadłabym się pod ziemię. Ale trzeba przyznać, że wspaniali „solidarni” są dobrzy w swoim nowym fachu – precyzyjnie wpięprzają nóż w plecy. Rozpytuję, ale nigdzie nie ma pracy, nikogo nie interesują moje dyplomy. Za chwilę zabraknie mi pieniędzy. Dobrze, że mieszkam w domu rodziców, to starczy mi na ferie zimowe, a właściwie specjalistyczne sanatorium dla Kamy. Ale nie wystarczy mi na węgiel i brak opału może mnie złamać. Zasiłek! Do tej wspaniałomyślniej jałmużny lepiej pasuje określenie „solidarny rzyg” lub coś w tym guście. Miejscowi działacze rozgłaszają, że i ja jestem niebezpiecznym komuchem, a ich diagnoza jest nie do obalenia bez użycia pięści. Brakuje mi okazji spytać, gdzie oni dopatrzyli się tych moich pokładów zła i jaki lekarz to leczy. Mam niemały tyłek, myślę, że podstępnie mógł mi się tam ten komunizm zalać i oczywiście niebezpiecznie rozmnożyć. Mam też niczego sobie brzuch, który może nie jest skutkiem błędów lekarzy słynnej bydgoskiej kliniki, tylko tam właśnie wykiełkowało całe moje komusze zło. Trzeba przyznać – związek zrobił dużo dobrego, ale ci mali ludzie lancami sprawiedliwych sieką na oślep. Ja i komunizm – pokręciło ich do cna! Oj, chciałabym spotkać was tak za piętnaście, dwadzieścia lat. Rozkręćcie się i zatraćcie w tym tylko wam znanym tańcu zwycięstwa. Rozliczają was i wasze dzieci, nadejdzie taki dzień!

* * *

Myślałam, że będę spała i spała, przecież mam bezterminowe wakacje! Gówno prawda, obudziłam się o szóstej, serce miałam w gardle, dłonie mokre i żadnych planów. Leżałam do ósmej ze wzrokiem bezmyślnie utkwionym w suficie. To wylegiwanie miało dobrą stronę, bo ułatwiło mi podjęcie decyzji, że bliżej lata trzeba ten pokój wymalować. Kama nocuje u swojej koleżanki Asi, mają się cały dzień uczyć dialogów do szkolnej inscenizacji. Moi starsi już na nogach. Chce mi się śmiać, bo chodzą dosłownie na palcach. Mama odgrażała się, że od rana trochę poprasuje, więc na pewno stoi już przy desce, a Henryczek pewnikiem się goli, bo już od wczoraj planował jechać na wieś do Czynszów. Wpasuje się na świniobicie i wódeczkę do świeżynki. Od lat spotykają się co pół roku i tym razem nie przepuści okazji zaśpiewania z Józikiem „Czerwonych maków” po drugiej kolejce czystej. „Tak, tak dwie kolejki i koniec” – zarządzi pani gospodyni.

Z nudów przewracałam się troszkę z boku na bok i wstałam, bo mi jakoś głupio tak wałkonić się od rana. Nagle dochodzi do mnie jakiś smakowity zapach, miarowe stukanie jak o brzeg stołu, czyjeś energiczne wejście do kuchni, szept i szelest foliowej torby.

Wkładam podomkę i wolniutko uchylam drzwi do kuchni. Mama jest odwrócona tyłem, na gorącej płycie, na dnie dużej patelni skwierczą słusznej wielkości skwarki. Jeden wprawny ruch i osiem lub dziewięć jaj wybitych wcześniej do głębokiej miseczki ląduje teraz na patelni. Tato układa chrupiące bułki w koszyczku wyłożonym wykrochmaloną serwetką i wkłada maminy fartuszek w kwiatki z bawetem i falbanką. Boże, co to za maskarada? Nagle oboje zobaczyli, że stoję na progu.

– Mieliśmy ci podać śniadanie do łóżka, chcieliśmy cię rozbawić, a ty jesteś psuj-zabawa! Stało się, nakrywam tutaj. Siadaj! – mówi mama.

Żal mi taty, tyle zachodu na nic. Widać, że jest najbardziej zawiedziony, ale nie ściągnął zabawnego fartucha i jak gdyby nigdy nic zajął się kawą. Nie potrafię określić, co czuję, panuję, żeby nie rozplakać się na cały głos. Nie mają pojęcia, jaką zrobili mi wielką frajdę. Poczulałam się jak skrzywdzone dziecko, które, nie spodziewając się, dostaje wspianiały upominek. I ja dostałam – ich wielką miłość na talerzu z jajecznicą bezwstydnie nurzającą się w boczkowym tłuszczu. Z mojej depresji uleczyli mnie w jednej minucie. Bezsprzecznie mamy siebie i to jest naszą bronią. Nic mnie nie załamie, nikt mnie nie stłamsi, nikt! Wspólnie jemy, pijemy i rozmawiamy o pogodzie – martwimy się, że Chmurka jest zawiedziona nadchodzącą aurą i przebąkiwała jeszcze o przymrozkach. I oczywiście jest, że w domu bezrobotnego o żadnej pracy się nie rozmawia!

* * *

Suche pranie zebrane do kosza. Wszystko wskazuje na to, że planowane przez mamę prasowanie nie ma odroczenia. Tato, ogolony, szykuje się do wyjazdu, wkłada też ocieplane kamasze. Obficie spryskany Przemysławką, okręca szalem szyję i wychodzi. Do planu dnia, ale już po zmierzchu, muszę włączyć jego odbiór... od kolegi z wojska, jak mówi o Czynszu. Wiem, że będzie tryskał doskonałym humorem, a na odchodnym, stojąc już w drzwiach, będzie śpiewać z kumplem w duecie, że rano coś zrobią „po dwa razy, a wieczorem jeszcze raz”. Odbędziemy taksówką krótką podróż do domu, tato z naręczem gorącej kaszanki owiniętej w pakowy papier i z pętem kiełbasy. Mnie gospodyni powierzy papierową torbę ze świeżutkimi jajkami. – Panience Kamie zróbta na miękko, bo przecie ona pieruńsko tak lubi – poinstruuje tatę była góralka Czynszowa. Tak od lat bawimy się dwa razy do roku po świniobiciu – na przednówku i bliżej gwiazdki.

* * *

Dom jest wyludniony, może więc najwyższy czas zagłębić się w kufrze prababci Florentyny. Coraz mniej mnie cieszy nasze złoto z brylantami, chociaż inny powiedziałaby „daj Boże takie strapienie”. Otulona chustą z przygotowanym pudełkiem, legalnie otwieram drzwi do „ostatniego”. Lustruję podłogę – dwie łapki z wysuszonym na wiór wabikiem kielbasianym nietknięte, trzecia trzyma w objęciach zmumifikowaną myszkę. Urządzenia tortur odkopuję butem w kącik i podnoszę wieko kufra.

Widok nie należy do zachęcających, skrzynia jest po brzegi wypełniona, ale ogólne wrażenie pozwala określić tę zawartość jako śmietnik bez ładu i składu. Różne drobne przedmioty mieszają się z dokumentami, starymi gazetami. Pakieciki z powiązanych listów wymieszane z jakimiś szmatkami. A wszystko to pokryte jest kurzem, pyłem i murszem drewna. Na pierwszy rzut oka to po dziesiątkach lat ja pierwsza zatopię ręce w tej skrzyni. Są na niej, co prawda, ślady czyjegoś myszkowania – pojedyncze drobne kartki leżące na wierzchu. Pakiecik listów na pewno dotykała mama i odłożyła zniechęcona ich stanem. To po nich zostały prostokątne miejsca bez kurzu. Wszystko inne jest zasnuwane pajęczynami, przysypane warstwą pyłu. Kartki pożółkłe, skruszałe, druk ledwo czytelny. Zupełnie nie wiem, jak do tego wszystkiego się zabrać, jakie kryterium zastosować i, co najważniejsze, czego ja mam szukać. Jestem trochę bezradna, ale to nie znaczy, że nie jestem ciekawa, co kryje ta wielka drewniana paka obita blachą. Zastanawiam się, czy nie należy najpierw wnieść tutaj tego stołu z poddasza i na nim rozkładać rzeczy wyjęte z kufra. Po odsunięciu kilkudziesięciu kartek tajemniczych pakiecików widzę, że niżej też leżą paczuszki z listami, powiązane wstążeczkami. Wsuwam rękę głębiej i dotykam czegoś twardego i zimnego. Ostrożnie, bardzo ostrożnie podnoszę i odkrywam, że jest to przybornik do pisania na marmurowej podstawie, obok suszka z czymś przypominającym bibułę. Jest też osobny pojemniczek podobny do kałamarza, a w środku czarny, czy też tak spatynowany, sygnet z ledwie widoczną datą 1863 bądź 1868. Kiedyś czytałam o biżuterii żałobnej z czasu powstania styczniowego, może to jest właśnie to? Ciekawe, jaka jest proveniencja tego pierścienia. Moja niecierpliwość każe mi dotknąć pakieciku owiniętego w pożółkłą płachtę jakiejś wiekowej gazety. Zręcznie rozwijam zawiniątko. W środku plik różnych dokumentów i książeczka do nabożeństwa. Robię kilka następnych ostrożnych ruchów ręką, przekartkowuję plik i wyjmuję, a właściwie wyławiam coś starusieńkiego. Bardzo delikatnie rozkładam niedużą, sztywną kartkę i trzymam w ręku świadectwo ukończenia pensji dla panien Jadwigi Sikorskiej przez... Florentynę Radomską, urodzoną w Radomiu w 18..., ale trzecia i czwarta cyfra zupełnie nieczytelne. Przypominam sobie, że Radomska to panięskie nazwisko mojej prababci. Coś mi świta, kiedyś czytałam, że słynna pensja Sikorskiej była na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej, kończyła ją Maria Skłodowska. Może panie były zaprzyjaźnione? Za plecami

wyczuwam obecność mamy i wyprzedzam jakiegokolwiek jej pytania.

– Nie muszę jechać do Warszawy na ulicę Długą, bo tu jest nasze Archiwum Główne Akt Dawnych! Staruszko ty moja, to jest kopalnia wiedzy o nas, oczywiście po kądzieli. Mamo, to jest wartościowsze niż ten nasz złoty klejnot. Coś mi się zdaje, że jak zgłębię kufer do dna, to Radom może okazać się nasz! – mówię.

Na takie *dictum* śmiejemy się obie wyjątkowo głośno i serdecznie. Wieko kufra zostawiam otwarte, zawartość wnętrza zasłaniam arkuszem papieru – niech się wywietrzy z niemiłego fetoru staroci.

Wykładam moją propozycję co do kolejności wszystkich działań, drobiazgowego posegregowania poszczególnych warstw zbiorów (bo jak to inaczej nazwać?) i mówię o konieczności przyniesienia stołu z poddasza. Może to będzie trochę śmieszne, ale myślę, że muszę być bardziej ostrożna. Powinnam pomyśleć o przygotowaniu cienkich gumowych rękawiczek i maseczki na usta i nos. W takich zakiszłych zakamarkach mogą być świetnie zakonserwowane jakieś przykre niespodzianki. Wiadomo, że w tym przepastnym pudle czai się niezliczona liczba bakterii, grzybów i pleśni. Te mikroorganizmy tylko czekają na dobre warunki, by rozkwitnąć z ogromną siłą. Będzie to praca ni mniej, ni więcej, tylko w warunkach szkodliwych, więc rozpoczynając ją, powinnam golnąć kielicha jarzębiaku albo czystej z czerwoną nalepką.

– Na dzisiaj dosyć, poczekamy do środy na przyjazd Mariusza, z nim zniosę stół i wtedy będzie można prowadzić prawdziwe „badania”. Teraz jestem bardzo głodna, zrobmy sobie coś prostego i słodkiego, może duży omlet z konfiturą śliwkową? – pytam.

W odpowiedzi mamie tylko błysnęły oczy i z radością zaaprobowała moją propozycję.

– Dobry pomysł, ty wyszoruj ręce i sięgnij po słoiczek z konfiturą z aronii i gruszki, a ja ubiję jajka – komenderuje mama. Dobrze, że podopiecznych głodomorów nie ma w domu, bo nasze placki byłyby drugie w kolejce do smażenia. Mogłoby się też zakończyć mniej drastycznie, tylko z uszczerbkiem: „babciu, daj kawałeczek placuszka!”. A Henryczek, który na ogół nie lubi takich dań, tym razem powiedziałby: „ale mi narobiłaś apetytu, zrób mi też coś takiego”.

Dla pełniejszej dezynfekcji po szperaniu w graciarni przecieram ręce śmierdzącym denaturatem.

Nastawiam czajnik z odmierzonymi dwiema szklankami wody na herbatę. Obok na płycie kuchni lądują też dwie patelnie z roztopiającym się masłem, a po chwili mama łączy już ubitą pianę z sześciu białek z żółtkami i szczyptą soli. Obserwuję, czy sprawiedliwie dzieli puszystą piankę na dwie części. Apetycznie żółciutka porcja, wygarnięta drewnianą łyżką na pierwszą patelnię, skwierczy smakowicie. Druga porcja też cicho płaska na rumiany tłuszcz. Pod jednym

ruchem łyżki giną pagórki puszystego, napowietrzonego placka. Po przewróceniu na drugą stronę, policzywszy do pięciu, mama zsuwa na talerz gotowe omlety. I już napychamy się pyszną i naprędce wymyśloną potrawą. Rozleniwione ciepłem specjału upstrzonego wysmażoną konfiturką, kończymy degustację dania, popijając aromatyczną herbatą.

Spoglądam na zegar w chwili, gdy wskazówka zbliża się do trzynastej, gwałtownie podnoszę się z krzesła i już mam powiedzieć głośno „jestem spóźniona”, ale zawstydzona niepamięcią opadam ciężko na krzesło. Muszę zakonotować raz na zawsze – jestem bezrobotna i nigdzie się nie śpieszę. Przysięgam sobie zmobilizować wszystkie siły, otrząsnąć się i przestać myśleć o wypowiedzeniu. Mama nie odpuszcza prasowania koszul i ponownie staje przy desce, ja umyję naczynia, przekartkuję zaległą prasę i wcześniej pojedę po tatę, żeby przeczornie ograniczyć liczbę toastów.

* * *

Wyjazdu do Warszawy dla zasięgnięcia języka u rzeczoznawcy nie mogę planować wcześniej niż za trzy lub trzy i pół miesiąca. Oczywiście połączę go z wizytą u Rozenka, obejrzeniem jakiegoś spektaklu teatralnego lub baletu. Może w programie wreszcie będzie *Dziadek do orzechów*. Byłoby dobrze pójść do muzeum na jakąś ciekawą wystawę. Kiedyś obiecałam Kamie pooglądać zbiory w Muzeum Zegarów i zwiedzenie Wilanowa. Trzeba o tym wszystkim pomyśleć i precyzyjnie zaplanować. Trochę mi głupio korzystać z noclegu u wujostwa, więc może tym razem zatrzymamy się w hotelu „Druh” na Niemcewicza? To chyba byłby dobry pomysł!

Dzisiejsza Warszawa jest bardzo różna od tej znanej mi z okresu studiów. Wielki ruch na jezdniach, ale już bez trolejbusów. Kiedyś po spódnicę bananową od Barbary Hoff czekało się w kolejkach, najczęściej ze zmiennikiem. Bar mleczny z Krakowskiego Przedmieścia to już nie ten mój z ruskimi, szpinakiem i barszczykiem. Dobrze, że cukiernia Bliklego się ostała i niezmiennie zachwyca kubki smakowe. Zadziwiające, że nie przetrwały studenckie przyjaźnie i nie jesteśmy ze sobą w kontakcie. Żyvia wylądowała w Szczecinie. Kiedyś przypadkowo w telewizyjnej Dwójce natknęłam się na jej sztukę teatralną, patrzę potem na napisy końcowe – jej nazwisko, więc ona pisze! Wiem o Bożydarze, że pracuje w stolicy, tylko nie wiem, gdzie go szukać. Wyczytałam w prasie, że przystojny Boguś majstruje przy filmach, coś reżyseruje, grał w „Dobrym wojaku Szwejku”. Zbuntowany Sikora nie widział się reżyserem i został pieśniarzem, poetą i bardem „Solidarności”. Śpiewem walczył i takiego ostatnio widziałam go na jakimś koncercie w Bydgoszczy. Odwiedziłam go w garderobie WOK-u. Stojąc w drzwiach i chcąc być bardzo dowcipna, wypaliłam: „proszę o okazanie zezwolenia cenzury”! Na próżno oczekiwałam radości z wizyty, rozmowa już nie

kleiła się zupełnie. Jego wzywali na scenę, ja musiałam iść do domu. Dziś wiem, że moja uwaga była nie na miejscu.

Właściwie dlaczego mi ich brakuje? Dlatego, że skryptów użyczeni? Użyczeni! Partnerowali w scenkach? Oczywiście, że tak. Całe noce przegadywaliśmy, hektolitry win wypiliśmy, z dykcji przepytaliśmy się ostro. Bez znieczulenia wytykaliśmy sobie naleciałości w naszej mowie potocznej. Wszystko było przepisowo i... się skończyło. Dyplomów broniliśmy w różnych terminach. Kiedy ktoś z nas przygotował spektakl i miał premierę, w pierwszym rządzie zasiadała komisja i albo, albo... Ja za pierwszym podejściem dostałam mocne „albo” i dyplom.

* * *

Było dość wcześnie rano, gdy ktoś niecierpliwie dwa razy nacisnął dzwonek. Nakryłam się podomką i wychyliłam głowę zza drzwi – nieznajomy. Powiedziałam: „Słucham pana”. Przybysz trzymał w ręku parcianą torbę i wymienił nazwisko zawiślańskich znajomych rodziców, którzy go przysłali. Musiał przeprowić się łódką, bo prom miał popłynąć dopiero za jakieś pół godziny. Szeroko otworzyłam drzwi i zaprosiłam do środka.

– Rączki całuję, mam ośródko cielece, chce pani? – zapytał i wyciągnął zza pazuchy paczkę. Widząc moją akceptację, rozwinął ją i wyłowił wymienioną część. Miał jeszcze zgrabną kulkę i paczuszkę z wątróbką. Uprzedził moje pytania o pozostałe mięso i konspiracyjnie dodał: – Niosę na pieczeń do Korzeniowskich i wątróbkę dla Roleskiej. Spojrzałam na torbę, uchwycił mój wzrok i poskarżył się, że Kejnowie zamawiali cztery giczki, ale na pukania do drzwi nie reagują.

– Nie będę chodził w tę i we w tę! A może pani chce? – zagaił. No pewno, że chciałam! *Nóżki cielece w cieście naleśnikowym* jadłam trzydzieści lat temu. Wymagające pracy, ale pyszne danie. Mama dojrzała moje sprawunki i cieszyła się jak dziecko, wyjmując z gazetowego zawiniątka jedna po drugiej nóżki cielece.

– Rewelacja, wymoczę je z godzinkę. O ho, ho, jak ładnie oczyszczone, starannie opalone! – chwaliła. I dodała: – Eleganckie giczki, nadają się bez niczego prosto do gara. Jak stary Nesterowicz przysłał, to pewne, że mięso badane.

Nawet nie robiłyśmy śniadania, tylko podzieliłyśmy się zadaniami: ja obierałam włoszczyznę, mama kompletowała dodatki – ziele angielskie, czosnek, majeranek, suszony grzybek. Co nie przeszkadzało jej jednocześnie patrzeć mi na ręce. Kiedy byłam dzieckiem, zachęciła mnie do operacji skrobania i za chwilę gromiła za porozrzucane po stole „włoszczyzniane” obierki. Mówiła: „Myślałam, że jesteś duża panienka, a ty jesteś niechluj!”. Ja wściekałam się i zawstydzona wrzeszczałam: „Właśnie że jestem chluj!”. Czasem dykcyjnie dawałam plamę, gubiąc literkę „l”, wtedy dostawałam klapsa, zupełnie nie rozumiejąc, gdzie jest pies pogrzebany. Teraz mam patent: czyszczenie włoszczyzny przeprowadzam

w szerokiej misce plastikowej i nawet wiórek obierki nie śmie spaść za jej obręb. Jak na chłuja przystało!

Ugotowane nóżki, póki ciepłe, oswobodziłam z kostek, obficie podjadając kleiste kawałeczki. Według instrukcji mojej naczelnej kucharki mięsko obciążam deseczką z odważnikiem, żeby zastygło w foremnych, spłaszczonych kawałkach. Ustaliłyśmy ich smażenie w cieście naleśnikowym w kolejności przychodzących głodomorów: Kama będzie po czternastej, tato później, więc i nasze porcje przygotowujemy razem. Ja wyskoczę po sprawunki, mama zadeklarowała się, że zrobi surówkę z kiszonych ogórków i pora. Zaczyna mnie bawić i absorbować pitraszenie, do tej pory mało zajmowałam się kuchnią, bo nie miałam na to czasu. Przygotowywałam czasem posiłki, ale w gotowaniu i doprawianiu ostatecznie wyręczała mnie mama.

* * *

Jutro przyjedzie Mariusz, zniemiemy stół i przygotujemy mój warsztat pracy – archiwum kuferkowe w „ostatnim”. Będzie się dziwił, więc wtajemniczymy go w... wielkie wiosenne sprzątanie tego pokoju, co po części też jest prawdą, bo takie mamy pobożne intencje. Z drugiej strony, świerzbi mnie język, aby powiedzieć o złocie i przyszłych pieniądzach jemu, tacie, a nawet Kamie. Zobaczę, jak długo wytrzymam z tą rodziną tajemnicą. Do listy sprawunków dopisałam rękawiczki gumowe, kilka arkuszy papieru pakowego i denaturat. Wpadnę do apteki i „wykukam” garstkę gumek recepturek. Ze sklepu spożywczego muszę zdobyć średniej wielkości kartoniki do segregacji znaleźsk. Wypatrzyłam w szafie, że leży tam czyściutki kitel zootechnika powiatowego, wciąż niewyrzucony „strój galowy” taty, nakładany podczas inseminacji krówek. Teraz jak znalazł będzie moją odzież... ochronną. Wieczorem przygotuję zabezpieczenie na twarz, bo myślę, że oddychać zatęchłym powietrzem sprzed dziesiątków lat nie byłoby zdrowo. Ustalamy z mamą, że dla bezpieczeństwa nie będzie mnie „odwiedzała”, kiedy będę robiła przegląd kufra, a ja kitel wierzchni będę zostawiała w „ostatnim”, żeby nie rozciągać tego badziewia, które może żyć swoim życiem w pace pod wiekiem. Intuicja mi mówi, przekładając na chłopski rozum, że należy być przezornym i ostrożnym. Kto wie, czy z kufrem nie jest związana jakaś klątwa rzucona przez prababcie Florentynę? Oj, nie chciałabym paść jej ofiarą.

Nieśpiesznie łąziłam od sklepu do sklepu, później weszłam do apteki. Zahaczyłam o kiosk z myślą o niedzielnej prasówce i kupiłam dla każdego coś innego. „Kobieta i życie” dla seniorki, tacie „Pszczelarza” i „Przegląd sportowy”, mnie robi przyjemność „Twój Styl”, a Kamie „Filipinka” i dodatkowo „Poznaj świat”. Trzeba wiedzieć, co w trawie piszczy. Już widzę, jak po śniadaniu porozsiadamy się w swoich kącikach i wygodnych siedziskach. Mama na starannie zasłanym tapczanie, tato wbije się w fotel, Kama z podwiniętą nogą przy biurku.

Ciszę przerywać będzie szelest przewracanych stron. Nie będzie tak słodko bez końca, w jakimś momencie mama powie: „Dziewczyny, koniec prasówki, obiad trzeba wykończyć!”. Prawdłowo powie „wykończyć”, bo od kuchni przyjdzie już pełny aromat rosółku, przepisowo pykającego na boku płyty węglowej. Jednak pierwszy do kuchni wejdzie starszy, sprawdzi stan żaru pod blachą, pogrzebaczem przegarnie, dołoży dwa kawałki węgla i wycofa się na wcześniej wygrzaną pozycję. Strony ze sportem będzie czytał już do samego obiadu. W porę dojdą do niego nawoływania: „Henryczku, rosółek na stole!”. No, to tak będzie w niedzielę.

Już w drodze powrotnej spotkałam Elkę z Kasią – dziewczyny niezmiennie trzymają sztamę. Były bardzo zagadane. Zaaferowane, mełły jakąś ważną sprawę. Prawie mnie nie zauważały, kroczyły z pochylonymi głowami z zapalonymi papierosami ukrytymi w rękawach kurtek. Myślałam, że jak dawniej opowiedzą mi coś ciekawego, może o nastrojach w miasteczku po wyborach samorządowych. Im obu się upiekło – roboty nie straciły w wyniku tych nadwiślańskich wiatrów historii. Niestety, śpieszyły się i bardzo dziwiły, że wydają tyle pieniędzy na prasę. Kasia dodała: – Że też chce ci się tyle czytać, ja wolę pospać.

Cieszę się, że różnimy się od siebie i mamy odmienne priorytety. Dobrze, że nie dziwiły się, że w ogóle mam czas na czytanie. Mam, kochaniutki, niestety mam, i to dużo!

Pierwsze, co zobaczyłam, wchodząc przez furtkę na podwórko, to tatę przygotowanego do wyjścia na działkę oraz oparty o drzewko aronii rower Mariusza. Ucieszyłam się ogromnie, bo rozwiązemy problem zniesienia mebla ze strychu po stromych schodach i wstawienia go do naszego archiwum. Dobrze się stało, że brat przyjechał, nim wróciłam z miasta, mama sama musiała wprowadzić go w temat. Swoją drogą, ciekawa jestem, jaką bajkę mu wcisnęła, bo gdybym ja referowała problem, nie wytrzymałabym i na bank powiedziałabym mu o wszystkim od A do Z.

– Witaj, grubasie! – krzyknęłam. Mój szczupły jak tyka brat odwrócił głowę w moim kierunku i jak zawsze z serdecznym uśmiechem pokazał ręką na wyłożone na stole świeżutkie bułeczki z ciechocińskiej piekarni. – Zapraszam na wyżerkę! – odpowiedział. Te bułki to nowość, więc chrupiemy je nawet suche. Dodał też, że są nie tylko same „dmuchane”, ale i te, które lubi Kama – z nasionami. – Fajnie, że już jesteś! – powiedziałam jak każdego tygodnia i nie tylko w swoim imieniu. Kochamy go i nie wyobrażamy sobie, żeby nie widzieć go dłużej niż tydzień. Oni okupują kuchenny stół, gadają jedno przez drugie, ale ja muszę rozładować mój koszyk i torbę z zakupami. Oczywiście przysiądę się do nich, chrupiąc bułkę podebraną z puli Kamy, która jedząc niezmiennie obsypie sweterek okruszkami i pośmieje się z dowcipów Mariusza. Kiedy w naszych szklankach na dnie zostaną już tylko herbaciane farfocle, to będzie znak, że posiedzenie skończone.

Nasz boss w spodnicy pozostał na swoim posterunku i ostro zabrał się za

lepienie pierogów. My z Mariuszem, nie bez kłopotów, ściągnęliśmy stół i postawiliśmy zaraz za progiem domu na podwórku. Ma on wyjątkowo dziwny kształt – bardziej przypomina wąską ladę na mocnych nogach i nie wiedzieć czemu aż z czterema szufladami z jednej strony. Mimo że klei się od kurzu i brudzi mi ręce, kolejno, pociągając za uchwyty, wyjmowałam wszystkie szuflady. Puste. Stół wymaga nie tylko porządnego wytarcia blatu z warstwy kurzu i brudu, ale także użycia ciepłej wody, pasty Komfort i dobrej szmaty. Dopiero teraz, w pełnym świetle, odkryłam jego krasę: toczone nogi, rzeźbiony otok przy blacie mebla – to wszystko dodawało mu urody. Niestety, porysowany wierzch wyjątkowo świadczył o tym, że dość wrednie nadgryzł go ząb czasu. Mariusz odsunął mnie i postanowił sam dokończyć czyszczenie. Najwięcej czasu poświęcił blatowi, nie mniej nogom i postanowił jeszcze sięgnąć ścierką pod spód mebla. Pochylił się bardzo nisko i w pewnym momencie zatrzymał zamaszysty ruch ręki z mokrą szmatą, chyba dostrzegł coś ciekawego w najgrubszej części rzeźbionej nogi albo zachwyca się snycerką.

– Siostra, czy ty widzisz to samo co ja? – pyta.

Patrzę zdziwiona w punkt po wewnętrznej stronie nogi, który dokładnie pokazuje mi ręką. Widzę, że odłupana część w połowie nogi odsłoniła jakby metalową tuleję lub gwint. Usiłujemy dobrać się do tej części nogi, ale wymaga to odwrócenia stołu blatem do ziemi, co z niepomamowanej ciekawości robimy natychmiast. Mariusz jeszcze raz wnikliwie ogląda podstawę mebla i delikatnie przykłada się do... odkręcania nogi poniżej wyłupanej faktury. Z niewielkim oporem, po przekręceniu dwa razy w lewo, już trzyma ten krótszy kawałek w ręku. Dostrzegamy wpuszczony w górną część nogi metalowy element, który jest szeroką tuleją, co ostatecznie okazuje się wymyślną skrytką. Mariusz sięga do swojego przybornika z narzędziami, wyłuskuje nóż, podważa delikatnie wieczko i widzimy, że jest tam coś wetknięte. Podkłada pokrywkę przybornika i na nią wydłubuje zwitek dokumentów i niemieckich marek zawiniętych w zapisaną starannym pismem kartkę. Wręcza mi to znalezisko i bez żadnych wstępów zabiera się do rozkręcania następnej nogi. Z niedowierzaniem patrzę, jak wyciąga z tego nożnego schowka maleńkie zawiniątka z kawałeczków gazety.

Biorę do ręki pierwszą papierową kulkę, rozwijam nad pokrywką i wysypuję prosto na banknoty trzy zerwane srebrne łańcuszki i jeden krótki złoty, również uszkodzony obok zapięcia. Z następnego pakieciku wysupłuję precjoza w postaci dwóch złotych pierścionków, nie wiedzieć czemu zdezelowanych, broszki bez zapięcia i owalnego medalionu ze zdjęciem dziecka. Zostawiam Mariusza z tą swoistą „kopalnią” złota i idę pokazać mamie to, co wydobyliśmy.

Otwieram drzwi do kuchni, nasza strażniczka domowego ogniska stoi przy stolnicy, ale widzę, że już zakończyła lepienie kopy ruskich pierogów. W dużym garze zaraz zawrze woda, a na patelence skwierczy topiąca się słoninka. Podchodzę

bliziutko i tajemniczo szepcę do ucha, żeby usiadła. Niewzruszona na moje prośby, wyjmuję sztućce, aby je rozłożyć na stole. Ponawiam prośbę i to dopiero powoduje, że siada na krześle, a ja przycupuję obok, podtykając wieczko ze znaleźnikiem. Patrzy niewidzącymi oczami z plus siedem dioptrii, więc podaję jej okulary i dalej opowiadam o wszystkim, co się wydarzyło. Mama, zaskoczona, ogląda te drobiazgi, dotyka banknotów, kartek i nic z tego nadal nie rozumie. Patrzy na mnie, ale nadal widzę w jej twarzy tylko zdziwienie. Skracam jej męki i dodaję: – Kochanie, tylko spokojnie, wyjęliśmy to z nóg, stołowych nóg!

– Coś podobnego, to wprost nie jest możliwe! W tym stole?! – wykrzykuje. Jednak wolniutko rozsypuje swój worek z pamięcią i, jakby stawiała pierwsze kroki, mówi:

– Ten stół od zakończenia wojny zupełnie nie był używany, bo taki długi, nieporęczny. Należał kiedyś do naszego lokatora, Niemca pracującego w magistracie. Już nie pamiętam, kiedy to było. Wolf wezwał dziadka do biura i kazał udostępnić jeden pokój z kuchnią, w miarę urządzić, a od tego rozporządzenia nie było odwołania. Był to starszy mężczyzna, Hans Schmelter, podobno bezdzietny wdowiec. Chcąc nie chcąc, wyszykowaliśmy mu lokal na poddaszu, tam została wniesiona nasza szafa, krzesła, łóżko i żeliwna koza z długą rurą wpuszczaną w komin. Myślę, że się nie mylę, a właściwie jestem tego pewna, że on przywiózł ten stół z opuszczonego domu żydowskiego zegarmistrza i po trosze też jubilera. Ten lokator, całe dni siedział w ratuszu. Na poddasze przychodził dopiero wieczorem, słyszeliśmy jego kroki, jak szedł po schodach. Był przywoitym człowiekiem, najczęściej zagadywał dziadka Staszka, kiedyś konspiracyjnie uprzedził go o słynnej akcji na Piaskach, przekazywał różne wiadomości z frontu, uspokajał i czasem przynosił coś w torbie. Miał taką metodę: pukał do drzwi i po otwarciu kładł bez słowa za progiem siatkę, raz z proszkami do prania, innym razem z produktami spożywczymi. Nieraz byłam mu ogromnie wdzięczna za mleko w proszku. Nie zapomnę, jak kiedyś poinstruował mnie, w jaki sposób nasączyć tłuszczem bochenek chleba, który przed świętami wysyłaliśmy Józeczkowi do obozu. Pod sam koniec wojny chodziłam już w wysokiej ciąży z tobą Ewo, rodzice byli wiekowymi ludźmi, ale naprawdę czuliśmy się przy nim bezpieczni i spokojni. Aż pewnego dnia, było to pod koniec stycznia 1945 roku, kiedy już wszyscy mówili o zbliżających się Rosjanach, on wyszedł z mieszkania jak zawsze, przekreślił klucz w zamku, ale już nigdy nie wrócił.

Mariusz od dobrych kilku minut był już w kuchni i, stojąc cichutko za naszymi plecami, z zainteresowaniem przysłuchiwał się opowiadaniu mamy, nie przerywał i dopiero teraz pokazuje, co trzyma w dłoni. Jakby w nawiązaniu do wspomnień mamy o żydowskim zegarmistrzu, znaleźnikiem z trzeciej skrytki okazują się oczywiście zegarki: srebrny męski w kopercie z dewizką, mały damski z bransoletką i garstka różnych drobnych wnętrzości ze zdezelowanych zegarków.

Z zainteresowaniem oglądam to znalezisko, uruchamiając wyobraźnię: dlaczego to znalazło się w skrytce?

– Niestety nie mogę odkręcić ostatniej nogi, ktoś będzie mi musiał pomóc – mówi Mariusz, pucując ręce.

Całą zdobycz rozkładamy na stole, od nowa oglądamy te wszystkie drobiazgi z niesłabnącym zainteresowaniem, sztuka po sztuce. Nawet nie usłyszeliśmy, kiedy do stołu dołączył tato i chwilę później Kama. Mama jest w swoim żywiole, pełna entuzjazmu wtajemnicza ich w całą sprawę. Najwięcej emocji dostarcza, przywołując Chaima Jagodę. Tata w zamyśleniu tylko potakująco kiwa głową. Wydobyte dokumenty, zapiski i luźne notatki pisane w języku hebrajskim, mimo że jeszcze nieprzetłumaczone, tylko potwierdzają, że rzeczywiście są to przedmioty należące do Jagody. Zdziwienie budzą ukryte marki, ale i tak z namaszczeniem dotykamy tych znalezisk i po kilka razy oglądamy je na wszystkie strony. Szczególnie intryguje mnie arkusz papieru zapisany po hebrajsku, częściowo po polsku i dwa wersy po niemiecku. To koniecznie należy dać do przetłumaczenia. Dopiero Kama przywołuje nas do porządku, pytając, co w tym domu może zjeść. Mama zbiera to wszystko ze stołu i wraz z plastikową pokrywką odkłada do szafki, w której trzyma zapas Cypiska. Podrywamy się z mamą od stołu i stwierdzamy, że pod blachą ciemno. Skwareczki wytopione na czarny wiór, woda na pierogi już dawno przestała się gotować. Krupniku w garnku sporo ubyło po intensywnym parowaniu. Mariusz wyskakuje przed dom i wraca z naręczem drewna. Tato zdążył wymknąć się z domu, by osobiście sprawdzić konstrukcje nóg i wmontowane skrytki. Kama bez prośzenia rozściela obrusik na stole i rozkłada sztuce. Za chwilę wszystko wraca do normy i roznosi się zapach obiadu.

Kama kontroluje, czy babcia do porcji jej pierogów topi maselko z bułeczką. Jemy ten opóźniony obiad jak na wyścigi, widać, że wszyscy zgłodnieliśmy, a emocje jakby dodatkowo potęgowały apetyt. Pierogi zostały zmiecione do ostatniego i tato musi zapomnieć, że wieczorem będzie delektował się odsmażonymi.

Nikommu nie chce się wstawać od stołu. Tato opowiada, że znał Jagodę osobiście, że spotykając się na ulicy, często rozmawiali o swoich stronach rodzinnych, on wspominał Stanisławów, tato – Lwów. Okazuje się, że przed wojną nieraz był w jego zakładzie, więc miał podstawy do wysnucia bardzo rzeczowej teorii na temat znalezisk. Myję naczynia i z zainteresowaniem słucham ich wspomnień.

– Myślę, że mogło być tak: kiedy ogłoszono wywózkę Żydów, stary Jagoda, nie mając czasu na roznoszenie oddanych do naprawy zegarków i biżuterii właścicielom, postanowił je ukryć w sobie tylko znanych skrytkach. Na pewno liczył na to, że tu wróci, siądzie, naprawi i wówczas odda – opowiada ojciec i nawet stara się sparodiować rzemieślnika: – „Szanowny pan się pofatyguje do

mnie, zegareczek chodzi jak sam Patek.” – Tu tato się podnosi, odchodzi na krok od stołu i demonstruje ukłon, jaki Jagoda składał przy rozstaniu. – „Moje uszanowanie drogiemu panu, rączki całuję zacnej małżonki”. Ot, cały pocziwy Jagoda! – I dodaje: – Czasem, kiedy wyrostki zaglądały do zakładu przez duże okno, widząc zegarmistrza wpatzonego w werk zegarka przez intrygującą ich lupkę, pukały mu w szybę i uciekały. On wówczas uchylał drzwi, krzyczał bez złości, jakby skandując: „Zaraz niegrzecznych chłopczyków złapię i zbiję na kwaśne jabłko!”.

O jego rodzinie słuch zaginał, podobnie jak po kilkunastu innych żydowskich rodzinach wywiezionych do obozów. Słuchając tych opowiadań, pomyślałam, że mamy dług wobec tego nieznanego mi Żyda i społeczności naszego miasta. Do samej wojny żyli tu w doskonałej komitywie, obok Polaków, Niemcy i Żydzi, więc każdy z nich mógł być potencjalnym klientem tego warsztatu. Uznałam, że trzeba zinwentaryzować te wszystkie przedmioty, zainteresować pamiątkami prasę, odszukać ludzi, którzy też pamiętali zegarmistrza, spisać wspomnienia, przetłumaczyć list, zorganizować wystawę i jeżeli ktoś się zgłosi – ku zdziwieniu ewentualnego właściciela – oddać! Dochodzę do wniosku, że znalezione dokumenty powinnam dostarczyć do Żydowskiego Instytutu Historycznego, bo tam najczęściej Żydzi szukają informacji o bliskich. Będąc w Warszawie, pójdę do ŻIH-u i popytam o tę rodzinę. Może okaże się, że szczęśliwie przeżyli i mieszkają gdzieś daleko. Moimi przemyśleniami natychmiast dzielę się z siedzącymi nadal przy stole domownikami. – Wiesz, córka, powiem tak: dziękuję za ten pomysł. To bardzo dobra decyzja, mogą to być dla ludzi wprost święte pamiątki. Dobrze to wymyśliłaś, Ewo, widzę, że dla ciebie mycie naczyń jest wyjątkowo inspirujące – cieszy się mama.

Ojciec, zatopiony w swoich myślach, tylko aprobująco kiwa głową. Mariusz, już szykujący się do wyjazdu, z uśmiechem zabiera głos, unosząc jak do przysięgi lewą rękę, prawą kładąc na sercu. – Rezygnuję ze znaleźnego! – Potem siarczyście całuje mamę, Kamę i szepce coś tacie. – Trzymajcie się dziewczyny i do soboty! – mówi na odchodnym. Wychodzi, a za nim tato. Patrzą na nich zza szyby, jak dźwigają stół z już ponownie wkręconymi nogami i wstawiają do „ostatniego” pokoju.

Mama zabiera się do wycierania naczyń, ale Kama pierwsza chwytając ściereczkę, widać ma ogromną ochotę na pogadanie. Rozmawiamy o sprawach szkolnych, o kolegach i jeszcze o dzisiejszym znalezisku.

– Mamusiu, tak sobie myślę i naprawdę bardzo bym chciała, żeby znaleźli się właściciele tych wszystkich przedmiotów. Wiesz, jak oni zobaczą te drobiazgi po latach, chyba popłaczą się ze wzruszenia. Nawet mnie chciało się ryczeć, jak to wszystko oglądałam. Pewnie są przekonani, że ten pan zabrał to ze sobą i uciekł, a tu będzie takie zaskoczenie – mówi z radością Kama.

Naczynia, które miękką ściereczką wyciera starannie Kama, ja kolejno ustawiam na wyznaczonych miejscach w szafce. Trzy garnki, jeden włożony w drugi, wsuwam na dolną półkę. Osobno wycieram stolnicę, a wałek wrzucam do szuflady. Żeby kuchnia była na błysk, przecieram linoleum. Na koniec, aby zrobić przyjemność sobie i juniorce, proponuję długi spacer.

– Już jesteśmy ubrane do wyjścia – ogłaszam ten koncept na dwie strony domu.

Z pokoju mamy dobiega akceptacja: – Dobry pomysł, dziewczynki!

Tato nie odkrzykuje, bo na bank gdzieś konspiracyjnie ćmi papieroska.

Za furtką skręcamy w kierunku nabrzeża Wisły, później obieramy kierunek w górę rzeki. Tamte widoki zachwycają mnie niezmiennie i potwierdzają, że walory tego miasta są niezaprzeczone – drugi Kazimierz. Tylko tu jest ten plus, że do rzeki jest zaledwie kilkanaście metrów. Mawiam poetycko, że miasto moczy nogi w Wiśle. Najpierw gadamy bez składu i ładu, śmiejemy się ze wszystkiego i przypinamy łątki mijającym nas ludziom. Bardzo lubię rozmawiać z Kamą, cieszę się, że pyta, a przede wszystkim odpowiada formułując bardzo dojrzałe, ładnym i bogatym językiem. Nie pamiętam jej żądającej: „kup”, „daj” czy coś w tym rodzaju. Dziś jest już partnerką i jestem przekonana, że doczekam chwili, co jest moim marzeniem, że powiem: „Hurra! Prześcignęła mnie!”.

Spacerujemy, głęboko oddychając, nie poruszamy tematów poważnych, raczej śmiejemy się beztrzesko. O wszystkim złym i dla mnie przykrym na chwilę zapominam, bo barwne opowiadania o szkole, kolegach Kamy, a przede wszystkim jej głośny śmiech działają jak cudowne lekarstwo.

W połowie trasy wyjątkowo wydłużamy krok, bo tylko energiczny marsz pozwoli spalić chociaż część kalorii z talerza pierogów nieprzyzwoicie utyłanych w okrasie. Przrzekam sobie odpuścić kolację, ale nie mówię tego głośno, bo kto wie... Dzisiejszy dzień był bardzo owocny, wzruszający, jednocześnie radosny i budujący. Nasza jednomyślność w sprawie znalezionych przedmiotów dała mi dużo do myślenia – nie po raz pierwszy stwierdziłam, że nasza rodzina jest jednością. Nie mogę jednak zrozumieć tego całego pasma wydarzeń: paczka z zaświatów, niespodziewane spotkanie z Rafałem, wypowiedzenie z pracy i dzisiejsze znalezisko. Przecież ciągle odkładałabym przegląd zapyziałego kufra, gdyby nie sprawa bransoletki. Na pewno też nikt nie dowiedziałby się, co kryją nogi przy stole zegarmistrza, gdyby nie plan przeglądu kufra babci Florentyny. Trzeba przyznać, że jedno z drugim łączy się nierozzerwalnie. Coś się musiało skończyć, żeby znalazł się też czas na zwykłe rodzinne życie. Przez całe lata nie było okazji do zjedzenia bez pośpiechu wspólnego obiadu, rozmów czy najzwyczajszego spaceru. Kierat, kierat, kierat i nawet za grosz refleksji.

„Nie wspominajcie złych dni, bo mogą wrócić” – tak właśnie, przy okazji smutnych i przygnębiających wspomnień, kwitowała mama takie rozprawy. Jest

w tym powiedzeniu coś wyjątkowo przekonującego. Utkwiła mi też w pamięci ukuta w mojej rodzinie inna mądra maksyma: „nie opowiadaj farbowanym przyjaciółom o swoich zmartwieniach, przeżyciach, rozpaczy, bo niewielu twoje sprawy tak naprawdę i szczerze interesują. Po drugie, zła energia rozmówcy przyssie się i z osłabionego organizmu wydrze to, co jeszcze nie zostało zrujnowane”. Jest taki paradoks, że jednym pamiętamy tylko wybrane sprawy, zapominając nawet okrutne czyny. Dla mnie doskonałym przykładem jest prezydent Stanów Zjednoczonych, Harry Truman. Może to trochę porównanie od czapy, ale ja właśnie jemu zapamiętałam wydanie rozkazu zrzucenia bomby na Nagasaki i Hiroszimę. I przywołuję go, pytam, kim był naprawdę – głową państwa czy najwykleszszym mordercą? A kim są moi przyjaciele? Czy rzeczywiście przyjaciółmi?

* * *

Na dzisiaj mam wyznaczony termin wypłaty zasiłku dla bezrobotnych, więc postanowiłam wstać wcześniej, żeby przed wyjazdem zrobić zakupy i coś podrobić do obiadu. Może chociaż zagniotę *makaron*, niech przeschnie, a ja w międzyczasie obiorę jarzyny.

Już miałam jak zawsze wparować do kuchni w małym porannym negliżu, aby nastawić kawę, ale dochodzące stamtąd męskie głosy w porę mnie zatrzymały. Zapięłam podomkę na wszystkie guziki, uchyliłam drzwi i, widząc znajomych mężczyzn, Leona Dłużewskiego i Mikołaja Kowalskiego, gawędzących z tatą, lekko zdziwiona pozdrowiłam głośnym „witam panów”. Zauważyłam na stole rozłożone przedmioty, które znaleźliśmy w stołowych nogach, dwie do połowy upite kawy parujące jeszcze z kolorowych kubeczków i jedną niedopitą herbatę pana Mikołaja. Panowie z zaaferowaniem opowiadali sobie o jakiejś Haneczce, która mieszka za kościołem i ma czym oddychać i na czym siedzieć.

Tato dostrzegł mnie pierwszy, spojrzał na nich, podniósł palec, położył na ustach i gest ten gwałtownie zamknął temat.

– Pani Ewo – odezwał się pan Leon – obejrzelśmy to, co Henryk nam pokazał, i śmiech mnie ogarnął, że chcecie szukać właścicieli. A kto to dzisiaj takie rzeczy robi, lepiej niech pani z tego lepszego narobi córce pierścionków, a resztę wyrzuci. Pani wie, jakie są ludzie? Powiedzą, że znaleźliście skarby, złoto, platynę, obłowiliście się, a szajs to oddajecie ludziom. Dla reklamy i rozgłosu, tak powiedzą!

– A gdyby, oglądając te drobiazgi, znalazł pan coś, co należało do pana matki, to też kazałby pan to wyrzucić? – zapytałam wzburzona.

– Co pani!?! Co to to nie, nigdy! Ja bym to chciał mieć. Dałbym moim wnukom na pamiątkę.

– Może więc będę miała szczęście i znajdzie się więcej ludzi czujących

podobnie jak pan – powiedziałam złośliwie z naciskiem na „czujących”. I dodałam: – Zaryzykuję i doprowadzę sprawę do końca. Jestem przekonana, że są ludzie, którzy mają wrażliwe serca, więc podaruję im jedno prawdziwe przeżycie więcej. Ani ja, ani nikt z mojej rodziny nie chce niczyjej własności, więc z przyjemnością wszystko przekażę, jeżeli oczywiście znajdzie się prawowity posiadacz.

Przez chwilę miałam trochę żal do taty, że ściągnął swoich znajomych i prezentował im nasze znalezisko, ale jednocześnie dobrze słuchać, co głos ludu ma do powiedzenia w różnych sprawach. Tato prześwietlił moje niezadowolenie i wymknął się na podwórko zaraz za swoimi gośćmi.

* * *

Jeszcze kilkanaście dni temu sama ze sobą teoretyzowałam na temat mojej siły, nieustępliwości, hartu. Bredziłam, że nic mnie nie ugnie. Dziś jednak czuję się zupełnie złamana, tylko że nikomu o tym nie powiem. Ale przecież sama siebie nie oszukam, chodziłam w kółko budynku powiatowego urzędu, najpierw udawałam zwykłego przechodnia, a później już nie panowałam nad płaczem. Szłam dalej przed siebie, ze trzy razy minęłam wejście do urzędu, jednak wreszcie przemogłam się i weszłam do ciemnego korytarza. Jednym się odkłaniałam, innym mówiłam „dzień dobry” i stanęłam na końcu kolejki zasiłkowiczów. Kiedy po godzinie doszłam do kasy, nie patrząc na urzędniczkę, podpisałam, co mi podetknęła, i wzięłam banknoty, które, wbrew powiedzeniu, że pieniądz nie śmierdzi, jednak śmierdziały czymś nieokreślonym. Nie potrafię zupełnie odtworzyć powrotnej drogi korytarzem i samego wyjścia na ulicę. Byłam jak zaczadzona, ale w drzwiach owionęło mnie świeże, ostre powietrze i po jednym hańście wyrównał mi się oddech. Pamiętam tylko, że przeklełam bardzo brzydko, wyjątkowo głośno i kiedy siebie usłyszałam, poczułam, jak schodzi moje napięcie.

Dochodząc do poczty, mimo że wciąż czułam się jak przetracona, postanowiłam skorzystać z tamtejszej rozmównicy. Odbiłam rozmowy bardzo pomocne w postępowaniu z pożydowskim znaleziskiem i kufrem. Szczególnie w tym drugim przypadku pani z toruńskiego archiwum ostudziła chwilowo moje zaangażowanie w tej sprawie. Przestraszyła mnie, ale, co najważniejsze, rzeczowo przestrzegła przed czyhającym, a niewidocznym gołym okiem niebezpieczeństwem. Cieszę się, że zaraz pierwszego dnia sama instynktownie czułam rezerwę przed głębszym grzebaniem w starzyźnie. Mało – po zamknięciu kufrowego wieka odkaziłam ręce... spirytusem z trupa czachą. Po tym, co usłyszałam, martwi mnie, że mama jako pierwsza w nim troszkę myszkowała! Muszę się upewnić, czy pucowała ręce, chociaż znając jej nawyki, mogę chyba spać spokojnie. Pani magister od archiwaliów dała mi wiele wskazówek, kilkakrotnie uczulając, że stare dokumenty są wyjątkowym siedliskiem bakterii, grzybów, pleśni, które dla nich, muzealników, i dla takich amatorów jak ja mogą

się okazać bardzo niebezpieczne. Przestrzegła przed przenoszeniem tych przedmiotów poza dotychczasowe miejsce składowania. Więc nici z przeglądania listów, jak to planowałyśmy, w moim pokoju. Ze strachu powoli traciłam serce do pamiątek po pradziadach, a kiedy przypominałam sobie, jak kichałam zaraz po powrocie z „ostatniego”, zrozumiałam, że do tego koniecznie trzeba podejść bardzo ostrożnie. Jeżeli zagrzybione obiekty, jak powiedziała pani z archiwum, wydzielają mykotoksyny, to tylko krok do infekcji, zatrucia pokarmowego i osłabienia układu immunologicznego.

Do odejścia autobusu miałam jeszcze ponad dwie godziny, więc postanowiłam wejść do sanepidu i szukać kogoś kompetentnego w temacie zwalczania ewentualnych „prehistorycznych” owadów. Kiedy otworzyłam kufer, dokładnie widziałam, że jest on zasnuty jakby woalem, w kątach było tego najwięcej, każdy przedmiot misternie tym czymś owinięty i na dodatek były tam maleńkie kokoniki przytwierdzone do wieka. Patrzyłam na to jak na pajęczynę, teraz te niby żyjątka bardziej mi się jawią jak groźne smoki.

Jak mogłam się spodziewać, zaraz za drzwiami trafiłam niestety ni mniej, ni więcej, tylko na Rudą. Trochę zbystrzona spytałam, kto mógłby mi coś mądrego powiedzieć na taki to i taki temat. Ku mojemu zdziwieniu sama ochoczo zaofiarowała się z pomocą, szerokim gestem zaprosiła do swojego pokoju, usadziła przy biurku, odeszła na chwilę i wróciła z herbatą, za którą byłam jej wyjątkowo wdzięczna. Wysłuchiwała bardzo uważnie, mimo że mówiłam długo, nie była zniecierpliwiona. Wyjaśniłam jej cały kontekst i nakreśliłam tło historyczne. Słuchiwała z niekłamanym zainteresowaniem i dostrzegłam, jak różowiały jej policzki.

– Miałam praktykę w archiwum, trochę pamiętam specyfikę ratowania papieru, ale świat poszedł naprzód. Sama pani wie, że w tej chwili trudno jest mi powiedzieć, co można zastosować, bo nie mam do czynienia na bieżąco z takimi przypadkami. Umówmy się tak: ja przejrzę lekturę i notatki z wykładów, przygotuję się, przyjadę zupełnie prywatnie i podejmiemy decyzję – obiecała.

Okazała się nie taką zwykłą rudą małą z sanepidu, tylko osobą miłą i życzliwą. Była wreszcie w swoim żywiole, widać bardziej wzniosłym niż kontrolowanie sraczyków czy petów zawieruszonych pod fotelem w sali widowiskowej. Rzuciła wieloma obco brzmiącymi mi nazwami owadów, które mogą w moim kufrze żyć, i wymieniała tyleż samo zagrożeń co możliwości pozbycia się ich. Rozstałyśmy się jak dwie kumpele mające ważne zadanie – ja, żeby dowiedzieć się więcej o „babulce” z mojego drzewa genealogicznego, a ona wreszcie poczuła się stworzona do wyższych celów.

* * *

Rozmowa telefoniczna z ŻIH-em była krótka: „Zapraszamy z dokumentami

i pamiątkami. Postaramy się pomóc, zrobimy, co będzie w naszej mocy”.

Ustałam, że wcześniej prześlę do nich znaleziony list z prośbą o tłumaczenie. Szef działu archiwistyki zapewnił mnie, że przekaże go swojemu przyjacielowi muzealnikowi, dla którego to jest kwestia godziny pracy. Kończąc rozmowę, wrócił do początkowego tematu i dopowiedział, że właśnie sprawdza i okazuje się, że posiadają karty rejestracyjne opracowane przez Wydział Ewidencji i Statystyki Centralnego Komitetu Żydów Polskich, już od 1946 roku wypełniane przez uratowanych Żydów.

– Sprawdzimy ten rejestr, może będzie pani miała szczęście – powiedział. Wzruszyłam się, trochę na zapas. Chciałam odpowiedzieć, że największe szczęście to miałyby Jagoda, gdyby okazało się, że przeżył. Po powrocie do domu szczegółowo opowiedziałam prawie o wszystkich sprawach, omijając godziny przedpołudniowe.

* * *

Dzwonią i dzwonią. Dosłownie co godzinę. Musiałam odrywać się od pracy, aby otworzyć furtkę. Najpierw dostarczono dwie miotły i drewno opałowe – podczas jego wyładunku z chęcią kręciłam się przy pniakach, bo lubię zapach żywicy. Miotła też natychmiast się przydała, bo koniska obficie zaznaczyły miejsce swojego postoju. Jak tylko weszłam do domu, wezwała mnie dzwonkiem do furki pani Koźmińska. Była oczekiwana, przyszła, ściskając pod pachą zawiniątko z zamówioną rybą. Mama przejęła sprawy odbioru, oglądania, podziwiania i płacenia. Jak zwykle prosiła, żeby „kochaniutka pani Lonia” usiadła, co ta ochno uczyniła, a mama szybciotko rozlała we wcześniej przygotowane szklanki herbatę i wyciągnęła *babkę piaskową z polewą czekoladową*. Pochwałom dla wypieku nie było końca, więc mama podłechtana komplementami odkroiła kawał baby i wręczyła Koźmińskiej pakuneczek. Gawędziły tak do ostatniego łyku herbaty, wtedy pani Leokadia poderwała się, ubrała i rzuciwszy: „ale się zasiedziałam, mój Stachu mnie chyba zabije”, pośpiesznie zamknęła za sobą drzwi. Najciekawiej było już tak koło wieczora. Właśnie skończyliśmy kolację, gdy, ku zdziwieniu nas wszystkich, zapukała stara Maciejewska. – Niech będzie pochwalony – wyrecytowała od drzwi i siadła na wolnym stołeczku. – Złociutka pani Ewo, opowiedział mi zięć, że coś ciekawego znaleźliście. Ja chciałabym to zobaczyć, bo jak byłam jeszcze panną, to dałam temu Żydkowi pewną rzecz do naprawy. Psia krew by to wzięła, ale nie pamiętam, czy odebrałam.

Zamarłam i spojrzałam na tatę, który zrozumiał, że głupio zrobił, chwając się znaleziskiem. Aż mnie zatrzęsło, nawet nie pytałam, skąd jej zięć ma te informacje. Już zobaczyłam mój dom odwiedzany przez całe dwa tysiące pięćset mieszkańców chcących oglądać to, czego ewentualnie nie odebrali od Jagody. Nie pytałam też kobiety, co takiego miała zepsute w panieństwie, tylko dobiebrałam słowa, żeby nie

brzmiały zbyt mocno.

– Świetnie jest pani poinformowana, faktycznie coś znaleźliśmy. Do końca nie wiemy, czyje to jest, ale planujemy szerzej ogłosić o tym wydarzeniu, nawet w prasie. W naszym rodzinnym gronie ustaliliśmy, że mogą to być rzeczy schowane czterdzieści parę lat temu przez zegarmistrza, dosłownie w przeddzień wywózki jego rodziny z miasta. Żeby wszystko wyjaśnić do końca – ciągnęłam, dobierając słowa – zwrócę się do osób, które spodziewają się odnaleźć swoje przedmioty, by precyzyjnie opisały poszukiwane rzeczy. Oczywiście z podaniem kształtu, koloru, przybliżonej wagi i innych charakterystycznych cech, w zależności jakiego przedmiotu ktoś będzie szukał. To wszystko, co mogę pani teraz powiedzieć – wycedziłam przez zęby. Byłam wściekła, ale starałam się, aby uśmiech nie schodził mi z twarzy. Z rozpędu odprowadziłam Maciejewską do samej furtki. Odeszła bardzo niezadowolona.

Mama tą wizytą była bardzo podenerwowana, nie odzywała się, ale wiedziałam, że gromi tatę wzrokiem. Nie komentowałam, nie chciałam żadnych zadrażeń i scysji rodziców, ale nadchodzącą burzę czułam w powietrzu.

– Henryku, zawiodłeś mnie! – powiedziała mama i obrażona odeszła od stołu. Kama poszła za babcią pod pretekstem przeniesienia szklanki z niedopitą herbatą. Zostaliśmy przy stole sami. Chcąc przełamać ciszę, powiedziałam coś na temat pogody. Tato był nieswój, powiedział tylko, że sam nie wie, dlaczego o tym wszystkim porozpowiadał. Ojciec schylił się pod stół, podniósł stojące koło jego nogi tekturowe pudełeczko i postawił na stole. Zaintrygowana podniosłam pokrywkę i wyciągnęłam jakiś metalowy, z jednej strony lekko wypukły, wydłużony przedmiot. Na spodniej, wklęsłej części zobaczyłam przytwierdzoną rurkę. W jej środku był jakby rulonik, który chciałam wyjąć, ale tato powstrzymał mnie ręką i powiedział: – Ostrożnie, to jest kruchy pergamin, a na nim spisana modlitwa. Całość, jeżeli się nie mylę, nazywa się mezuzah, przytwierdzana była do framugi drzwi. Pamiętam doskonale, bo jak wchodziłem w drzwi żydowskich domów, to z ciekawości dotykałem wypukłych rysunków, wzorków na tych przywieszkach.

Rzeczywiście, dopatrzyłam się na niej miniaturowych rysunczków: gwiazda Dawida, jakby świecznik i jeszcze coś. Tato kontynuował opowieść.

– Czytałem, że Żydzi wieszają ją na futrynie i traktują jako błogosławieństwo dla swojego domu. A ta modlitwa to fragment Tory.

Oglądałam ten przedmiot na wszystkie strony – wyglądem przypominał wąską i zaokrągloną wizytówkę z otworkami na śrubki. Spojrzałam zdziwiona na tatę i chciałam zapytać, skąd ją ma, ale uprzedził mnie i opowiedział, że tak długo majstrował przy czwartej nodze, że wreszcie gwint puścił. Rozsypana układanka złożyła się w jeden czytelny obraz.

– To na pewno własność Jagody! – podsumował.

Nasza ożywiona rozmowa zwabiła z pokoju obie obrażone dziewczyny, które pod pretekstem odniesienia szklanki wparowały do kuchni. Tato, triumfując, od początku musiał opowiadać im, jak radził sobie przy wykręcaniu nogi, a właściwie, jak sobie nie radził, ale poradził. Na dowód pokazał oklejony szerokim plastrem palec, którego do tej pory nawet nie zauważyłyśmy. Osobny monolog poświęcił odkryciu samej mezuzy i tak dalej, i tak dalej. Zaplanował też, że zaraz rano pójdzie sprawdzić, czy na drzwiach nabiałowego sklepu są jeszcze ślady wgłębienia i otworków na śrubki po odkręceniu mezuzy. Zdziwionej Kamie wytłumaczył, że tam, gdzie teraz kupujemy masło i sery, kiedyś mieszkała rodzina pana Jagody.

Mimo że od kolacji minęło niewiele czasu, ktoś z nas rzucił hasło: „pić!”, więc był to świetny pretekst, aby jeszcze na zakończenie dnia wypić coś gorącego. A że nie było sensu parzyć świeżej herbaty, wzbogaciliśmy rozlaną do szklanek już lichą esencję plasterkiem cytryny i miodem. Za chwilę woda w czajniku elektrycznym ostro zabulgotała. Żeby było wyjątkowo i świątecznie, mama wyciągnęła resztkę babki piaskowej. Nie było tego dużo, więc tata sam się ukarał za grzech rozprowadzania tajemnic rodzinnych i zrzekł się swojej porcji, co ochoczo wykorzystywała Kama. Piaskowa nie jest jego ulubioną, więc wykorzystując miłą atmosferę, przymilnie podpytywał mamę o ewentualny plan upieczenia *sernika na kruchym*.

– Zróbcie duży, z rodzynkami, cykatą i kratką na wierzchu – rozmarzył się i kontynuował wywód jak baba: – Zamówię serek u Wesołych, a po jajka pojedę do Lewandowskich.

Mnie z powodu tuszy nie wypada wpaść w sernikową ekstazę, ale Kama ochoczo wtórowała dziadkowi i zgłaszała babci pomoc przy wypieku. Bardzo wartościowe były deklaracje złożone przez tatę, bo wiadome jest, że żółtka od Wesołych będą jak się patrzy, a ser z Przypustu jest tak rewelacyjny, że będzie ukradkiem podjadany, nim wyląduje na blasze. Jest w tym wszystkim też ukryty plan, aby kawał ciasta zawieść starym Marcinkowskim ze Starościńskiej. Oni od lat pamiętają o nowalijkach, dobrym owocu dla nas i suszu na wigilię. Już nie te lata, nie wypuszczają się do centrum, lubią słodkie i nieraz tatę prosili o kupno ciastek na wagę lub słodkich drożdżówek.

* * *

Przyszła wiadomość, że od jutra będą podłączać telefony. Trochę późno, ale od razu powiało wielkim światem, wreszcie będzie możliwość kontaktu z drugim człowiekiem. Nie jestem zachwycona wyborem aparatów, wolałabym coś z bajerem. Mariusz chciał nam dogodzić i wybrał, niestety pod swój gust, modele retro i na dodatek rosyjski szajs. Kiedyś wymienimy je na bajeranckie cacko. Dla rodziców każę zainstalować w kuchni, a mój niech powieszą w pokoju „pod

aniołem”.

Koniec tygodnia, a tu nikt nie dobija się do nas od wielu dni. Spokój pomaga mi w układaniu tekstu do gazety o tajemniczym znalezisku. Warto też napisać apel do ludności, do osób, które korzystały z napraw w tym zakładzie, żeby dostarczyły opisy i ewentualnie rysunki utraconych rzeczy. Redakcji dałam sugestię, że prezentację przedmiotów ostatecznie chcę zrobić w rocznicę wybuchu wojny. I, jak podpowiedział tato, zaproszę do udziału w przygotowaniu tego wydarzenia naszych kombatantów – ludzi, którzy sami od siebie będą mogli ładnie poprowadzić spotkanie. Teraz najważniejsze to wykonać zdjęcia przedmiotom, a do każdego opracować metryczkę z w miarę szczegółowymi danymi. Stół Jagody będzie bohaterem tego spotkania, a sama demonstracja przemysłnych skrytek – swoistą ciekawostką. Już układałam sobie obraz tego zgromadzenia, oczami wyobraźni widziałam szczęśliwych ludzi, którzy odbiorą swoją własność i będą mile wspominać zegarmistrza. Ten sielski nastrój przerwał mi stukot szpilek o podwórkowy bruk. Ruda we własnej osobie z całym naręczem broszur i luźnych maszynopisowych kartek. Ucieszyłam się, bo pomyślałam, że wreszcie sprawa kufra ruszy do przodu. Usiadłyśmy w „zielonym”, bo tylko tam jest duży stół, a materiałów, które przytaszczyła – ogrom.

– Kontrolowałam wasze zakłady fryzjerskie i pomyślałam, że na razie podrzucę podstawową lekturę. Dla ciekawości proszę poczytać, jakie w takim kufrze może żyć obrzydlistwo. Mój znajomy archiwista przygotował dla pani butelkę specjalnego preparatu do odkażania. Na razie przywiozłam duże papierowe koperty, do których można będzie wkładać pojedyncze dokumenty i przepirasowując gorącym żelazkiem, unieszkodliwić to, co jest dla nas groźne. No, nie jest to oczywiście fachowa metoda, ale czysto domowa. Przestrzegam, że wartość archiwalna jest niestety narażona na szwank, ale jednocześnie nie ma pani wyjścia – powiedziała Ruda. Wyjęła butelkę zakończoną atomizerem, podała mi, położyła palec na ustach i szepnęła: – Antoni Szafranski to fajny gość. Kiedy opowiedziałam o pani problemach, to z zawodowej solidarności z amatorką podprowadził to od siebie z instytutu. Gdyby miał więcej czasu, sam z chęcią spenetrowałby znalezisko. Rozpyłać z odległości nie mniejszej niż trzydzieści centymetrów – prawie że rozkazała. – Pani Ewo, Antek prosił, żebyśmy uczuliła panią na niebezpieczeństwo zakłucia zszywkami, spinaczami, szpilkami i innymi starymi metalowymi elementami. Ostrożność, ostrożność i jeszcze raz ostrożność! – energicznie podsumowała i utwierdziła mnie w przekonaniu, że wojsko też byłoby dla niej dobrym miejscem pracy.

Oczywiście nie kwapiła się oglądać moich archiwaliów, ale pochwaliła za przygotowany kitel, maseczki ze starej flanelowej pieluchy, pudełko z rękawiczkami i półlitrową butelkę z denaturatem. Uczuliła jeszcze, żeby w pierwszej fazie nie korzystała z pomocy nikogo z domowników.

– Proszę nie angażować w te prace córki, a tym bardziej rodziców. Rodzice są starszymi ludźmi i oddychanie takim powietrzem jest dla nich wyjątkowo niewskazane. Oczywiście bez zabezpieczenia! – powiedziała to tonem identycznym jak przy wręczaniu swoich protokołów pokontrolnych – nieprzyjmującym sprzeciwu. Zostawiła mnie z tą lekturą i pobiegła do czekającego na nią samochodu.

* * *

Dochodzi południe, wyjątkowo ciemnieje niebo. Nie lubię takich mrocznych dni, bo nastrój siada nawet wesołkom. Moi starsi, odwrotnie, są podekscytowani wydarzeniem dnia i już planują dzisiejsze rozmowy telefoniczne. Mama będzie łączyła się z Józeczkami, z Gimplami i z panią Marią, starszy na pewno zadzwoni do Grzegórskiego. Kama – nie wiem, gdzie są jej... przyjaciele, ele, ele – o pardon – zabrzmiało jak u Ciechowskiego w „Białej fladze”.

Że też musiało się rozpadać, a zaraz mogą pukać magicy od telefonów. Nie ściągałam dywanu, ale go dokładnie zabezpieczę. Jest całe opakowanie folii, szybciotko rozłożę przez środek i wetknę w kącik. Już ja wiem, jak to bywa: przyjdą w buciskach i będą łązić po całym domu jak niemeldowani.

Puk, puk do drzwi, otwieram.

– O, telekomunikacja, serdecznie witam panów, nareszcie jesteście – mówię. To tyle z grzecznościowych gestów i już wprowadzam ekipę do środka, wskazuję wyznaczoną drózkę z folii i miejsca, w których mają być zainstalowane aparaty. Przenoszę się do kuchni, tato mnie jednak uprzedził i wzorując się na moim pomysłe, rozłożył na podłodze przygotowane wcześniej kartony, szczególnie utykając je pod ścianą. Dobrze, że tak obmyśliłam, bo wiertarka, nawet z chudą widiá, robi jednak dużo bałaganu.

– Szanowna pani który aparat życzy sobie w pokoju? – pyta ten najwyższy, a ja myślę, że chyba urwał się ze staropolskiego dworu, acan jeden.

– Beżowy proszę zainstalować w kuchni, czerwony w tym pokoju – wydaję dyspozycje.

Wszystko idzie bardzo sprawnie, jeszcze próba łączności i rzeczywiście już słyszę: – Halo, halo, słyszysz mnie dobrze? No to okay! – podkreśla po angielsku. – Franek, przyjdź i teraz ty podłączysz u tych drugich, a my już się zmywamy. Próbę zrobisz z Chudym. Bez odbioru – jak w wojsku kończy acan. „U tych drugich” trwa to jeszcze krócej, ale kurzu jest więcej, bo trafili na lichą ściankę pruskiego muru.

Wyobrażam sobie u nas dzisiejszą gorącą linię: tato niezwłocznie zadzwoni do Aleksandrowa, mama będzie rozmawiała z Warszawą i Żaganiem, a Kamie obmyśliłam zrobić psikusa. Teraz, aby dokonać otwarcia linii, wykręcám numer Mariusza.

– Cześć, brat, z tej strony druta twoja siostrzyczka! – witam się, na co on reaguje z radością: – Nareszcie macie okno na świat.

Proszę o telefon do nas za godzinę. Kama wróci z próby, ja udam, że nie wiem, co i gdzie dzwoni. Zrobimy jej niespodziankę. Brat dopytuje się, czy długo trwała cała operacja i gdzie mamy zainstalowane aparaty. Zdaję szybko relację z przebiegu prac, z łązenia po folii i kartonach oraz z rozmów z fachowcem w języku staropolskim.

Wolniutko i starannie roluję folię, na podwórku wytrząsam wszystkie pyłki i odnoszę ją do budynku. Na progu domu spotykam się z tatą – wynosił stertę kartonów, które uratowały kuchenną podłogę. Zaglądam do kuchni, mama poleruje aparat i pewnie w myśli ćwiczy rozmowy.

Wyszukam notes z numerami telefonów i zawiadomię znajomych, że dołączyłam do grona szczęśliwców. Pierwszy na liście jest Rafał, dzwonię, podaję numer i już chcę kończyć, ale to mi się tak szybko nie udaje. Rozmawiamy dłuugo, opowiadam o moich problemach, on o swoich i na zakończenie pada tak dużo cudownych słów, że czuję się jak szesnastolatka po pierwszej randce z pocałunkiem.

* * *

Dwa całe wieczory przeglądałam materiały od Rudej, najpierw tak po łebkach, żeby wobec niej mieć czyste sumienie. Ale *chapeau bas* (chyba dobrze zapamiętałam z mojego licealnego francuskiego), muszę ją wyjątkowo docenić. Przecież, jak by nie było, cała przejęta swoim posłannictwem, przygotowała, przytaczała i wręczyła mi to wszystko. Dziwne, ale lektura wciągnęła mnie i utwierdziła w przekonaniu, że muszę dostosować się do wszystkich środków ostrożności. Najpierw pogadam z moimi domowymi, żeby przekonać ich, że składanie mi wizyt w „ostatnim” nie jest mile widziane.

* * *

Czuję się jak porażona gromem! Wieść, którą przyniósł mi tato, jest naprawdę zwalająca z nóg! Rada Miasta zdecydowała, że nie będzie kontynuowana rozbudowa „kultury”! Nie mogę uwierzyć, że nie znalazł się nikt, kto by rzeczowo uzasadnił, że to jest już, a szczególnie będzie w przyszłości, odczuwalna katastrofa dla społeczności miasta! Ponoć padł zupełnie bezmyślny wniosek, aby obiekt przeznaczyć na... trzecią szkołę. Szkołę? To nawet laika zdumiewa. Co tu jest grane? Przy tym przyroście naturalnym? Przy tej garstce naszych dzieciaków? Przy wyludniającym się mieście? Robić taki ruch wbrew statystyce, czy jest to pomysł z jakimś zakamuflowanym podtekstem? Ludzie, szanowni radni, opamiętajcie się w porę! Nie róbcie tego swoim dzieciom i wnukom! Trzeba szukać pieniędzy, walczyć i zrobić wszystko, aby w przyszłości

nikt nie zarzucił, że mieliście wolną przestrzeń zamiast mózgow! Miasto o pięćsetletniej tradycji – od zawsze były tu szkoły: polskie, żydowskie, niemieckie, seminarium nauczycielskie. Oczywiście na miarę potrzeb. Od zawsze działały orkiestry, chóry, zespoły, kino, tworzyli rzeźbiarze, artyści i zwykli społecznicy. To wszystko nic? Czy ludzie nie będą chcieli się rozwijać? O Boże, łapię się na tym, że głośno mówię do siebie. Żebym tylko mówiła, ale krzyczę prawie, chociaż nikt tego nie chce słyszeć. Moja domowa Pytia krakała, krakała i wykrała, a gotowa byłam oczy mu wydrapać z wściekłości. Teraz, kiedy legła w gruzach kultura, miałabym w domu nie dość że domowego plociucha, to jeszcze ociemniałego wróżbitę.

Żeby nie myśleć, muszę zająć się swoimi sprawami. Czuję, że teraz ten kufer będzie moim wybawieniem i nawet się cieszę, że mnie bardzo ciekawi jego zawartość. Nieraz zastanawiam się, co tam mogę znaleźć frapującego, a może zaskakującego.

– Gdyby ktoś do mnie dzwonił, to nie ma mnie w domu. Chyba że w sprawie pracy, to co innego! – sama śmieję się z tego, co powiedziałam. Już widzę tych łowców głów szukających właśnie mnie w tej mieścinie.

Idę do „ostatniego”. Stół okazuje się jakby stworzony do tych prac. Największy jego walor to wyjątkowa długość i niewielka szerokość. Szuflady będą szczególnie przydatne, ale już później przy porządkowaniu. Kiedy przeglądam zawartość kufra, trochę jest mi przykro, że ktoś tak bezceremonialnie, jakby jedną ręką, zgarniał z półek i tam przesypywał zawartość. Refleksja smutna, bo widać, że poza pamięcią tylko tyle zostało z człowieka. Na pierwszy ogień idzie świadectwo – myślę, że jest to cudny kasek dla Archiwum Głównego Akt Dawnych. Delikatnie rozkładam kartkę i umieszczam w kopercie, nastawione na bawełnę żelazko kilkakrotnie przesuwam po całej powierzchni A4. Teraz uwidocznił się ozdobny szlaczek wokół druku i kaligraficznie wypisane nazwisko mojej „pra”. Zabieram się za egzemplarze gazet. Co my tu mamy? „Robotnik” z 1894 roku, „Ilustrowany Kuryer Codzienny” z 1900 roku, „Gazeta Robotnicza” – tu nie widać dokładnie daty, coś jakby 190... Ostatniej cyfry nie odczytam. Coś mi pachnie, że mogą tam być jakieś wzmianki o naszym Malinowskim, dlatego prababcia te gazety tak pieczołowicie przechowywała. Na studiowanie prasy przyjdzie czas, teraz wzięłam arkusz papieru i przez jego powierzchnię każdej stronie daję porcję gorąca. Kartka po kartce, a ich razem kilkanaście, razy kilka machnięć żelazkiem i już jestem zmęczona. Na samym wierzchu leży spory stosik listów z ozdobną kopertą, pewnie to te, o których mówiła mama. Obejmuje je wążutka wstążeczka, ale nie potrafię określić, jakiego mogła być kiedyś koloru. Kokardka jakby zapieczona, niechętnie puszcza, a wreszcie rozsypłana nie traci swoich ostrych załamania. Trzy czwarte powierzchni koperty zajmuje wyblakły, ale pisany ładnym pismem adres prababci, oczywiście na ul. Grzybowskiej. Znaczek jest szczątkowy, pozbawiony obrazka

i mało rozpoznawalny, podobnie jak pieczęć. Na płaszczyźnie kartki listowej jest dobrze widoczny herb – tarcza wygląda jakby okryta rozchylonym czerwonym płaszczem, w środku na kobaltowym tle mostek, a może brama z pękniętym u góry krzyżem. Nie będzie tu teraz czytania tych listów, bo w warunkach „ostatniego”, trochę chłodnego pokoju i bez dobrej lupy nie ma o tym mowy. „Wygrzałam” wszystko, co w nich było, już ostrożnie i starannie rozłożone wkładam do dużej koperty. Na wierzchu podpisuję „Listy do Florentyny” i pakiet odkładam do pudełka z dopiskiem czerwonym mazakiem „po dezynfekcji i prasowaniu”. Jeszcze dzisiaj zajmę się pakuneczkiem owiniętym w poźółkły arkusz papieru pakowego i zabezpieczonym chyba gumką, która teraz przypomina po prostu skruszały sznurek. Jedna jej część przykleiła się do papieru, a druga pozostała mi w postaci czegoś sypkiego na opuszkach palców. Delikatnie odwijam papier i w ręce zostaje mi zawiniątko obłożone bibułą. Jest tam plik wycinków prasowych, starannie wyciętych z gazet reklam, rachunków, przepisów, luźnych notatek. Największy wycinek prasowy, właściwie reklama, dotyczy modystki przy ulicy Chmielnej! Wszystko to delikatnie rozkładam na dużym arkuszu papieru pakowego i spryskuję preparatem od pana Antoniego. Zostawię do jutra, niech nabierze mocy, a właściwie niech wszystko, co tam żyje, straci swoją moc rażenia. Porcję trującej mgiełki kieruję na następną warstwę w kufrze, tę, której jeszcze nie dotknęłam. W lewym rogu dostrzegam charakterystyczną kopertę, podobną do tych z pakieciku. Mimo że już chciałam skończyć dzisiejszą pracę, wyciągam ją i ponownie włączam żelazko. Koperta ma identyczny herb, ale wypisana jest innym charakterem pisma. Papier listowy obwiedziony czarnym paskiem, ale po ledwo odczytanych pojedynczych wyrazach nie podejmuję się w tej chwili sprecyzować, o czym i o kim list traktuje. Sądząc po zdobieniach, może to być zawiadomienie o śmierci lub list z kondolencjami. Rozprawiam się z nim jak z poprzednimi: prasując gorącym żelazkiem przez dużą kartę papieru. Pilnuję, żeby temperatura nie była zbyt wysoka, bo to mogłoby nadwątlić już skruszały list. Jeszcze gorącą płachtę wpuszczam w szeroko rozwartą dużą kopertę i odkładam do „Listów do Florentyny”.

W kąci pudła psikam podwójną porcję tego zdobycznego „nektaru”, gdyż gołym okiem widać, że utkana tam pajęczyna jest najobfitsza. Dla większej mocy przykrywam wszystko starym prześcieradłem i przyciskam wiekiem. Omiatam spojrzeniem mój warsztat pracy: cały blat stołu wypełniony papierzyskami, listami, wycinkami, kopertami. Dużo tego, a jest to dopiero jedna zupełnie nierozszyfrowana warstwa. Zastanawiam się, co jeszcze kryje się w tym kufrze, co znajdę frapującego, może cennego. Co by to nie było, cholernie mnie to wciąga, nie znałam takiej siebie!

Cieszę się, że do wszystkich dotarły moje wyjaśnienia i prośby o nieskładanie mi w „ostatnim” wizyt. Kama, o którą najbardziej się obawiałam, że

będzie przychodzić z milionem spraw do podzielenia się ze mną natychmiast i chociaż przez drzwi, rozczarowała mnie. No ale jak ona może mieć czas na takie bzdury, skoro w jej życiu sercowym doszło do zdrady – Mirek poszedł uczyć się niemieckiego do Lenki! A przecież Lenka nie zna Niemca tak dobrze jak ona. Wyzwiskom nie ma końca: „grubaśnica”, „małpa”, „pokraka”, i tego wszystkiego musi wysłuchiwać babcia. Mama robi cały wykład pedagogiczny, że tak mówić nie można, ucisza i tłumaczy kolegów, ale nie z Kamą te numery – obraziła się na babcię. – Babciu, jeszcze ją usprawiedliwiasz! Taką małpę jedną, co specjalnie, niby szeptem, ale tak, żebym słyszała, wczoraj powiedziała Mirkowi, że napisze mu pracę domową z Polaka. Przecież ja też bym mu mogła napisać i nawet jeszcze lepiej. Nie pierwszy raz wstrętna grubaśnica pogrywa ze mną.

Zatrzymuję się w korytarzu, jednym uchem podsłuchuję, jak zazdrośnica rozprawia się z koleżeństwem, i jednocześnie ściągam kitel i służbowe kamaszki. Dosłyszałam, jak po tej „karczemnej awanturze” Kama wyszła do pokoju „pod aniołem” i mocno trzasnęła drzwiami. Oj, chyba zbyt mocno! Wchodzę do kuchni, mama pokazuje mi na migi, że wydarzyła się „wielka tragedia” i że nie powinnam zaglądać do córki. Słusznie, bo w moich ramionach potoki łez byłyby jeszcze większe. Jestem szczęśliwa, gdy mama proponuje herbatę i małą przegryzkę z gorącego *à la ruskiego pieroga*. Cieszę się, bo po tych pracowitych godzinach jestem bardzo zmęczona, a jeszcze nie zdążyłam się dokładnie umyć. Świeżutko wypucowana, ze szklanką w rękę chętnie, lecz ostatkiem sił klapnęłam przed telewizorem, wskazując mamie miejsce obok. Ma inne plany, skręca do sypialni, po chwili wychodzi z naciakiem i skarpetami taty. Cerowanie, haftowanie, szydełkowanie – to nie dla mnie, mam dwie lewe ręce. Niestety! Tym razem wyjątkowo cieszę się z tej ułomności, bo inaczej to pudełko wylądowałoby na moich kolanach. Bogu dzięki!

Odetchnęłam, kiedy z pokoju Kamy usłyszałam magnetofon. Najpierw leciała, od pewnego czasu modna, „Laleczka z saskiej porcelany”, później ciurkiem Depeche Mode, ale kiedy teraz wraz z Lady Pank wyśpiewuje z przejściem refren piosenki „Zawsze tam gdzie ty”, przyciszam telewizor i słucham z niedowierzaniem. Moja córka śpiewa coraz głośniejsze, przekrzykując samego Panasewicza. Kiedy dociera do drugiej zwrotki, uświadamiam sobie, że Kama przestaje już być dzieckiem i zaczynają się... schody. Rozmarzyłam się. Schodami zajmę się później, a teraz zawodzę tekst piosenki razem z nią, tylko trochę ciszej.

Kiedy byłam sporo młodsza od Kamy, nieprzytomnie kochałam się w Zbyszku Próchniku. Nie śpiewałam mu, poszłam na ławiznę i wynosiłam z domu autka z kolekcji Mariusza. Gdy półka z kolekcją brata znacznie się przeredziła, Zbyszek gwałtownie przestał interesować się motoryzacją i rozsmakował się w zbieraniu znaczków, a najwspanialsze okazy, niestety, dostawał w prezencie od chudej Danusi, której tato był zapalonym... filatelistą.

Zemściłam się na nim, przyznałam się w domu do tej nieopłacalnej darowizny i mimo że nie obyło się też bez małego lania, to autka wróciły na półkę.

Drzwi gwałtownie się otwierają, wychodzi Kama i, jakby się nic wcześniej nie stało, mówi do babci przymilnie:

– Najstarsza starowinko na świecie, zgłódniałam...

Chwilę szuka w pamięci nazwy wyszukanego smakołyku i wypala: – *Ziemniaczane placuszki* zrobmy, luba!

Po tym poetyckim wstępie już słysząc, jak obie na zmianę trą ziemniaki, odsączają, łączą z jajkami. Słucham, jak mama instruuje: „robimy na chrupiąco i oczywiście prawie bez mąki”. I zaraz słyszę ciche „plask” na patelnię. Babcia kieruje pracami, więc jestem przekonana, że nie zapomniały o szczypcie soli. Kiedy dochodzi do mnie zapach smażenia, aż skręca mnie z głodu, a kubki smakowe chcą wyskoczyć mi z gęby. Wstyd mi, że też się nie poderwałam i nie włączyłam do pracy. Małpiszony jedne nie karają mnie jednak za moje lenistwo, więc pierwszy talerzyk z chrupiącymi placuszkami, obficie posypanymi rafinadą, ląduje na... moich kolanach. Usiłuję pocałować Kamę, ale odwraca się na pięcie i trafiam tylko na ucho. – Dziękuję! – z pełnymi ustami chrupiącego delikatesu krzyczę w kierunku domykanych przez młodą drzwi.

* * *

Przysiadam przy sekretarzyku w pokoju „pod aniołem”, żeby przejrzeć rachunki i wytypować ich pierwszeństwo do natychmiastowego płacenia. Jednocześnie zza firanki patrzę na świat i tym razem wyjątkowo dostrzegam wielką burotę miasta. Kontroluję wzrokiem tablicę ogłoszeń, która sama z siebie usadowiła się na bramie wjazdowej ratusza vis-à-vis naszego okna. Niestety, czasem mój spokój zaburzy jakaś klepsydra zwiastująca smutek którejś z rodzin. Zatrzymuję się nad każdym odczytanym tam nazwiskiem, bo wiem, że pamięć jest bardzo ulotna, a to jedna z ostatnich chwil na wspomnienia. Wszyscy przeżywamy śmierć najbliższych. „Nie wszystek umrę” – powiedział Horacy o swojej twórczości, ale można to zastosować do pamięci o ludziach, bo każdy coś zostawił po sobie. Czasem wyliczam imiona najbliższych kolegów z podstawówki, którzy już odeszli: Kazia, Danusia, Marysia, Jadzia, Wojtek, Mirek, Jurek, Leopold, Leszek – ta lista jest oczywiście dłuższa – i nigdy nie chce być inaczej – płaczę.

Nasz pan listonosz głośnym dwukrotnym dzwonkiem (jak w tytule filmu *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*) wyrywa mnie z moich smętków, wręcza mi kilka listów i jednocześnie w rękę wciska długopis dla pokwitowania grubego listu. Nie wytrzymuję i zerkam na nadawcę – Rafał. Już się zbieram do składania parafki, ale pan Grzegorz studzi moje rozgorączkowanie głośnym „czytelnie podpisujemy!”. O, pardon, natychmiast poprawiam się w zamiarach.

Grubaśny list idzie na pierwszy ogień, jednym ruchem rozszarpuję paski

taśmy samoprzylepnej i z radością wydobywam *Lapidarium* Ryszarda Kapuścińskiego. Faktycznie, opowiadałam Rafałowi, że u nas księgarnia to już przeszłość i że tęsknię za nowościami. Trafił w dziesiątkę, bo dużo czytałam o tym bestsellerze – oryginalnym notatniku podróżnika. Lubię relacje z podróży, a tu jeszcze egzotyka Meksyku. To najbliższe wieczory mam już zajęte, muszę czytać w konspiracji, bo tatuńcio jak tylko zwęszy, zarekwiruje najpierw dla siebie. W załączonym liście życzenia miłej lektury, kilka zdań o niemającym czasu autorze listu... i serdeczności. Jest bardzo taktowny, dobrze odczytał moje intencje, by nie dodawać żadnej ideologii do naszego spotkania po latach. „Byliśmy sobie bliscy i na dowód tego pozostajemy na zawsze przyjaciółmi” – proponowałam. Dzisiejszy upominek jest dowodem tego, że wszystko idzie właściwym torem. Pocziwy Rafał... Zastanawiam się, które z rodziców ukarało go takim pretensjonalnym imieniem. Pozostałe listy to między innymi dwa zupełnie bezwartościowe: zaproszenie na szkolenie dla pracowników k.o. (!) i informacja o pokazie kulinarnym w Wagańcu w poniedziałek. Na dokładkę dwa rachunki. Ważne jest zaproszenie na jutrzejsze zebranie zarządu ZBoWiD-u, wreszcie ustalimy scenariusz i termin imprezy, której ozdobą będą odnalezione przedmioty. Na deser zostawiam sobie list z Filadelfii od Basi, nasi rodzice znają się od dziesiątków lat, my od szkoły średniej. Nieraz powierzałam jej moje licealne miłosne zmartwienia – zawsze rzeczowa, wyważona i taktowna. Wyjechała, by połączyć się z rodziną, która wyemigrowała wcześniej. Przez lata, kiedy w naszych sklepach hulał tylko wiatr, byłam jej wdzięczna za paczkową pomoc dla mnie i Kamy. Podziwiałam ją za człowieczeństwo, że jej się chciało kupować, pakować i zawozić na pocztę. Nigdy jej tego nie zapomnimy i, co najważniejsze, mój adres nie był jedynym wypisywanym na licznych paczkach.

Dosyc tej domowej buchalterii i rozpamiętywań, powinnam wreszcie iść do mojej nowej pracy. Wkładam dodatkowo serdaczek, bo w „ostatnim” jest wyjątkowo chłodno, wciskam kitel i zabieram inne nieodzowne akcesoria. Chciałoby się powiedzieć „hej, przygodo, przybywam”, bo rzeczywiście zaczynam się tym podniecać. Czym teraz mnie Florcia zaskoczy?

Najpierw porządkuję stół, wszystko starannie segreguję na kupki: po mokrej dezynfekcji i po „opiekaniu” żelazkiem, papiery segreguję tematami i układam w przygotowanych pudełkach. Żeby było przestronnie i czytelnie, pudełka z odpowiednimi etykietami ustawiam na okiennym parapecie. Przygotowałam stanowisko z żelazkiem, ale urządzenia jeszcze nie włączam do kontaktu. Teraz mogę podnieść wieko i zabrać się za następną warstwę. Trafiam na zwitek prasy z podobnych roczników jak poprzednie i wyławiam miękką paczuszkę starannie przewiązaną zleżałą wstążeczką. Pewnie to jakiś ciuch, więc odkładam chwilowo na bok stołu. Dostrzegam coś większego – pudełeczko wielkości takiego jak od butów. Nie jest zniszczone. Staję z drugiej strony kufra, aby uchwycić je z większą

siłą. W pudełku chroboce, a właściwie dźwięk ten przypomina ocieranie się szklanych przedmiotów, tylko sznurek mocno opasujący pudełko tamuje ich dalsze przesuwanie się. Ostrożnie stawiam karton na stole, niecierpliwie przecinam nożyczkami sznureczek i widzę dziwnie upchnięte, niczym niezabezpieczone, przepiękne porcelanowe figurki. Prześliczna laleczka – dziewczynka w kapeluszu pod swoją podstawą ma charakterystyczny znak firmy Rosenthal, następne, które wyjmuję, również. Jest to kolekcja niedużych posążków. Niektóre obrazują scenki rodzajowe, jak ta z całującą się parą lub płaczący pierrot. Z radością zauważam, że żadna z dwunastu sztuk nie jest uszkodzona i są po prostu urocze. Żałuję, że nie ma jeszcze Kamy, ale muszę to pokazać mamie. Ostrożnie wkładam pupki, jak mówią na takie przedmioty miejscowi, z powrotem do pudełka, zrzucam kitel i już mam ruszyć do mamy, aby pokazać jej to naprawdę cenne odkrycie, jednak w porę się zatrzymuję. Z podwojoną ostrożnością ustawiam je znowu na stole i z nawiązką spryskuję „zabijaczem” mikrobów. Pudełko drę na kawałki i odkładam do spalenia w piecu. Idę do kuchni po ciepłą wodę, wrzucam garstkę pasty BHP, sięgam po koszyk i cichcem wracam do „ostatniego”. Natychmiast dokładnie myję bibeloty i nie czekając na wyschnięcie, wkładam do koszyka wyłożonego wełnianą chustką. Ostrożnie niosąc koszyk, ruszam prosto do pokoju mamy i bez słowa stawiam go na jej kolanach. Nawet nie zdążyłam wypowiedzieć słowa, a mama podnosi oczy i pyta: – To wyjęłaś z kufra?

Przenosi się na krzesło stojące przy stole, ostrożnie, sztuka po sztuce, wyklada figurki i ustawia w jednym rzędzie. Patrzyła na nie jak urzeczona, później przestawia je w trzy rzędy. Najwyższą figurkę rybaka z rybą na wędce umiejscawia w środku ostatniej linii.

– Boże, to jest wprost nie do wiary, że ja ich dzisiaj dotykam! Chyba się rozplączę jak dziecko! – I jak powiedziała, tak się stało. Mokre grochy toczą się po drżącej brodzie. Przytulam mamę i ten gest okazuje się wystarczająco kojący. Obywa się też bez podania chusteczki, bo sama rękawem bluzki dokładnie wyciera oczy.

– Ewuniu, one właśnie tak, no może jednak podobnie, ustawione były na etażerze w pokoju babci. Ten obraz mam pod powiekami. A starowinka jak kat zawsze stała przy mnie, nawet wtedy jak na nie z daleka patrzyłam. Nigdy ich nie dotknęłam, nawet odważna Michalina bała się sięgać po nie. Żeby ich nie zrzucić, nie wolno nam było bawić się w pobliżu mebelka. Tak bardzo mi się podobały ich kolorowe zdobienia, że marzyłam, żeby mama takie same kupiła. Po śmierci babci zupełnie zapomniałam o nich, pewnie myślałam, że gdzieś przepadły.

Jeszcze długo gadamy o tamtych czasach, o zagadkowej babci-kolekcjonerce, a nawet wspominamy Michalinę.

Figurki zostawiamy na stole tak, jak rozstawiła je mama. Jesteśmy ciekawe reakcji Kamy, domyślamy się, że będzie to zdziwiona i zaskoczona mina. Tacie

pokażemy również, ale już widzę, jak zamiast zachwycić zmartwi się, że zagrąsimy mieszkanie nikomu niepotrzebnym szajsem – fakt, nie jest materiałem na marszanda. No, gdyby figurki postawić na półce w altance na jego ukochanej działce, to może by kiedyś rzucił okiem.

Kama mnie nie zawodzi, zachwyca się, głośno komentując temat, kształt i zdobnictwo figurek. Wydaje z siebie głośne „ochy” i „achy”, ale tylko dopóki nie wylawia stukotu rozstawianych przez babcię talerzy, po którym natychmiast porzuca domową Desę i stawia się blisko stołu. – O, *ziemniaczana z pieprzem...* To dla mnie duuużo – prosi i jednocześnie pilnuje nakładania drugiego. – Gulaszu więcej, kaszy gryczanej mniej i troszkę sałatki z kiszzonego ogórka – komenderuje. Wyjątkowo nie siadam do obiadu, bo muszę jeszcze wrócić do „ostatniego”, psiknąć w kufer, przykryć, domknąć wieko i drzwi. Wszystko to zrobione i już mam wychodzić, ale jeszcze zerkam na miękką paczuszkę, którą jako pierwszą wyciągnęłam z kufra. Żałuję, że jej nawet nie tknęłam. Trudno, odkładam tę przyjemność na następny raz. Może to nawet lepiej, na dziś dosyć rozrywek i niespodzianek. Przebiorę się, umyję, przeobrażę z archiwistki w kurę domową – przecież to nic strasznego – tylko umyję górę naczyń. Później, koloryzując moje „siwki” na ciemny brąz, zamienię się w damę. A w ramach wciąż trwającej godziny piękności nałożę krwistoczerwony lakier na paznokcie. Nie, odwołuję ten punkt programu, lakieru brak, więc tylko je opiłuję. Wieczorem pójdziemy z Kamą do krawcowej – pani Heni Król. Sama się dziwię, że wszystko mam zaplanowane – będzie daleki spacer i przymiarka, dwa w jednym.

* * *

Kiedy pięć minut przed czasem weszłam do ich biura, panowie zbowidowcy byli już na etapie luźnej rozmowy. Jedni, wciśnięci w zdobyczne po komitecie PZPR fotele, palili papierosy, inni wypełniali jakieś formularze, ale byli też tacy jakby śpiący. Ogólny obraz tego zatęchłego lokum z widocznymi zaciekami, zdezelowanymi meblami i kolorowym sztandarem był szokujący. Boże, to jest tło dla starych i zasłużonych ludzi – kombatantów II wojny światowej? Każdy z nich mógłby być moim ojcem lub dziadkiem. Przycupnęłam na jednym wolnym krzeselku i czekałam, aż pan Józef skończy coś notować w swoim dużym zeszycie. Kiedy podniósł głowę, by powiedzieć coś do swojego zastępcy, dostrzegł mnie i natychmiast zakończył swoją czynność. Nie musiał mnie przedstawiać, bo każdy z nich od lat wiedział, kim jestem. Wymieniliśmy kilka luźnych zdań i oddał mi głos.

– Dziękuję panom za zaproszenie na to spotkanie. Pragnę zaznaczyć, że przyszedłam tu zupełnie prywatnie. Jesteście, panowie, weteranami i doskonale zrozumiecie moje intencje – zaczęłam.

Patrzyłam na ich twarze. Jedni mieli nijaką minę, a inni kiwali

wszystkowiedzącymi głowami. Teraz, chcąc zrobić odpowiednie tło historyczne, opowiedziałam im o stole, skrytkach, znalezisku. Kiedy doszło do wymienienia nazwiska Jagody, zobaczyłam, że ta informacja nie zrobiła na nikim większego wrażenia, bo wszyscy już o tym wszystkim... wiedzieli! Wieści rozeszły się i przetoczyły przez całe miasto! Oni tylko przez grzeczność słuchali mojego wstępu. Zostało mi jeszcze przedstawienie scenariusza imprezy i poproszenie o pomoc merytoryczną przy jego realizacji. Prezes włączył się w moją wypowiedź, ochoczo poparł pomysł i rzeczowo zaproponował ustalenie terminu. Po krótkiej wymianie propozycji, ostatecznie zapadła decyzja, że uroczystość zorganizujemy drugiego września, ale że przypada on w środę, akademię przygotujemy w sobotę. Nasza wizja obchodów zaczynała nabierać realnego kształtu. Z myślą, żeby wydarzenie to miało większy odzew w środowisku Żydów rozproszonych po świecie, o naszej inicjatywie poinformuję Żydowski Instytut Historyczny. Zaproszę do współpracy szkolne kółka historyczne z terenu, licząc na ich pomysł, jak uświetnić ten dzień. Zaproponowałam zorganizowanie wystawy nie tylko odnalezionych w schowkach rzeczy, ale też pamiątkowych fotogramów z 1939 roku, na których obejrzymy Polaków i Żydów podczas kopania rowów przeciwlotniczych. Wcześniej o znalezieniu przedmiotów ogłosimy w prasie lokalnej i poprosimy o zgłaszanie się po ich odbiór z pełnym opisem pamiątki. I tu zwróciłam się do obecnych, poprosiłam, aby wyrazili zgodę na to, żeby listy z opisami były adresowane do głównego organizatora, ich związku, i odczytane tydzień wcześniej na naszym wspólnym spotkaniu. Kiedy powiedziałam o znalezionym przeze mnie liście zegarmistrza i że oddałam go do tłumaczenia w ŻIH-u, ożywili się i kolejno zastanawiali, o czym stary Jagoda mógł napisać. Ustaliliśmy, że na następne spotkanie przyjdę już z pamiątkami i wspólnie zadecydujemy, jak ma wyglądać ta uroczystość. Żeby nie mitrzyć czasu, ustaliliśmy czteroosobowy skład komitetu organizacyjnego. Pan Leon zadeklarował się, że na wieczornicy chętnie opowie, jak zaznaczył, o naszych Żydach i Chaimie Jagodzie. Pan Zdzisław wyrwał się, podnosząc rękę, ale jakby zawstydzony wycofał się z zabrania głosu. Indagowany przez prezesa, powiedział jednak: – Moja żona na imprezę może przygotować kugel, nauczyła się go przyrządzać od starej Fajby Gotlibowicz. A może zgodzi się upiec słodkie hamantasze. Zobaczycie, jakie to doskonałe dania.

Byłam mile zaskoczona jego propozycją, bo przecież znam jego stosunek do tej nacji. Wcześniej pomstował, że Żydzi przed wojną zawładnęli całym handlem w miasteczku, że byli najbogatsi i przebiegli. Widocznie coś go ruszyło, kiedy usłyszał o tych znaleziskach i odpuścił sobie tamte żale. Pożegnałam panów kombatantów bardzo zadowolona z ustaleń.

Po powrocie do domu zajrzałam przez szparę do skrzynki pocztowej – coś się w niej bielilo. Otworzyłam drzwiczki i pierwsze, co zobaczyłam, to list

z pieczątką warszawskiego ŻIH-u. Domyśliłam się, że jest to oczekiwane tłumaczenie znalezionej w schowku kartki. Chciałam jednym ruchem rozerwać kopertę, ale powstrzymałam się i dopiero w domu, po zdjęciu kurtki, sięgnęłam po nożyczki. Moja niecierpliwość może być usprawiedliwiona, bo od wielu dni zastanawiałam się, jaką treść może zawierać list schowany w skrytce. Samowolnie nazwałam go „listem”, ale może to być jakaś notatka czy nawet przepis kulinarny – Bóg jeden wie co.

Obcięłam równiutko bok koperty i wyciągnęłam list, właściwie trzy kartki. Jedna, jak się domyślałam, była tłumaczeniem, a druga to prywatny liścik od pana Lewi Simona. Był też oczywiście załączony oryginał – zwykła kartka wyrwana z zeszytu w błękitną kratkę i zapisana pismem hebrajskim. W tekście nazwisko niemieckie i kilka polskich. Tłumacz napisał, że przełożył tekst, ale nie bierze odpowiedzialności – to ujął w cudzysłów – za głębszy sens treści. „Jest to jakby wyliczanka lub zwykły spis połączony z kilkoma nazwiskami. Zastanawiałem się, dlaczego autor, jakby dla ułatwienia polskiemu czytelnikowi lub – kto wie – utrudnienia, kilka słów napisał po polsku. Jest również jedno nazwisko czysto niemieckie. Myślę, że ostatnie zdanie może Pani dać najwięcej wskazówek” – zakończył list tłumacz.

Rozłożyłam tłumaczenie i rzeczywiście zaczęłam je czytać od ostatniego przetłumaczonego zdania.

Kiedy wysyłałam oryginał do tłumacza, nie przyglądałam mu się zbyt, gdyż, patrząc na pierwsze zdanie po hebrajsku, wiedziałam, że nic bez czyjejs pomocy nie rozszyfruję. Faktycznie, jak się dobrze wpatrzeć, to na samym końcu oryginału jest wymienione niemieckie nazwisko miejscowego rybaka i zwitek 200 marek w już nieważnych banknotach. Zaczęłam przyglądać się tłumaczeniu i nabrałam pewności, że jest to wykaz przedmiotów oddanych do naprawy w zakładzie.

– (...) *kochaniutka pani Shulcowa, co mi dała rozerwany pierścioneczek bez oczka i wisiorek z głową kobiety białej – uszkodzony, – (...) zacnemu Kowalskiemu zegarek bez wskazówki do oddania, – (...) czcigodnej pani Głowackiej, co ma sklep kolonialny, dać łańcuszek złoty i zegarek damski – już nie do naprawy niestety, bo brakuje (...).*

Mama głośnym wejściem oderwała mnie od czytania. Z daleka pokazałam to, co dziś przyszło w korespondencji. Nie musiałam zachęcać, sięgnęła po okulary i zaraz czytałyśmy razem, wymieniając się kartkami.

– To jest bardzo rozczerwające i trochę nieprawdopodobne. Podziwiam tego człowieka, że mając tak mało czasu, nie stracił głowy do reszty. Z opowiadań wiem, że kiedy ich powiadomiali o podwodach na wywózkę, należało wsiąść na furmankę i już odjeżdżali. A on znalazł siłę na pisanie listu i jeszcze myślał o rozliczaniu się z klientami. Odnoszę wrażenie, że naiwnie wierzył, że wróci i za

wszelką cenę chciał, żeby nikt nie pomyślał, że powierzone rzeczy zabrał ze sobą, by je sobie przywłaszczyć. Czy ty zwróciłaś uwagę na nazwisko osoby, „co ma sklep kolonialny”? W mieście żyły faktycznie trzy rodziny o tym nazwisku, on zaznaczył „sklep kolonialny”, żeby nie było pomyłki. Wyobraź sobie, że to chodzi o rodzoną siostrę mojego ojczyma – Reginę.

To mnie bardzo zdziwiło, bo w takie zbiegi okoliczności naprawdę trudno uwierzyć. A swoją drogą, ludzie powinni często rewidować swoje zatwardziałe przekonania, o czym świadczy i wyjątkowo przekonuje czyn Jagody. Dowcipkuje się o jakichś tam Ickach i powieła wiedzę, że Żydzi to przebiegłe sknery, a tu demonstracja rzetelności, na którą przeciętnego człowieka nie byłoby stać. To odkrycie dedykuję sobie, bo zdarza mi się powtarzać obiegowe opinie oraz zasłyszane u kogoś, nie do końca sprawdzone i prawdziwe wieści.

Zakończyłyśmy analizowanie listu i postanowiłam nikomu nie ujawniać jego treści do czasu wrześniowej imprezy. To mnie zobowiązuje do odnalezienia kontaktu z potomkami osób wymienionych w spisie i zaproszenia ich na imprezę. Jak ewentualnie odliczą się, to już widzę ich miny. Ale najciekawszą minę będzie miał tato, jak wróci z działki i zobaczy pod blachą ciemno, obiad w polu, domowe archiwistki zapatrzone w jakieś karteluszeki zapomniały o obowiązkach gospodyni. Ewentualne marsowe miny głodnego Henryczka i córeczki są na tyle mało przyjemne, że w jednej chwili poderwałyśmy się obie, by coś dobrego sklecić. Nie było to do końca prawdą, że byłyśmy takie nieprzygotowane, gdyż w lodówce stał wczorajszy makaron i rosółek, który przeznaczony został na przeróbkę w pomidorową. Ratowały nas też zrazy zawijane, co prawda odłożone na sobotę. Jedyna praca to wstawić gryczaną i wyskoczyć do sklepu po śmietaną. Rozpalenie ognia i wypad na miasto wzięłam na siebie, dołożeniem łopatkę węgla i wstawieniem kaszy zajęła się mama. Po dobrej półgodzinie nie było śladu po długiej absencji gospodyni domowej na wyznaczonym przez stulecia miejscu w kuchni. Wróciłam ze śmietaną i sprawunkami, lekko wytrawny zapach sosiku „na dziko” spod zrazów smakowicie zbombardował mnie już w korytarzu. Uspokoiliam się, że honor kobiet został uratowany, i dobrze pomyślałam, bo wprost za plecami usłyszałam rozmawiających już w podwórku stołowników. Nie wchodzili do środka, bo Kama – dając sobie za to rękę obciąć – powierzała dziadkowi jakąś swoją tajemnicę lub dzieliła się marzeniami, że chce mieć psa, kanarka, chomika, rybki, kota – tu można wymieniać cały zwierzyniec.

Zdążyłam wypakować wszystko z koszyka wraz z niespodzianką w postaci ośmiu przecenionych, wczorajszych paczków – po dwa na osobę, jak szaleć to szaleć. Świetlista wizja poobiedniej herbatki, słodkości, pogaduszek, śmiechu, opowiadań Kamy i ploteczek przywiezionych przez tatę oddalała wizję dzisiejszego pójścia do „pracy” w archiwum po drugiej stronie domu. Tata, przekonany, że dziś tam harowałam, będzie dodatkowo mobilizował, pytając: „to

już niedługo dostanę kufer?”.

Naszego mężczyzny, który już raz zawiódł, nie wtajemniczamy w szczegóły z listu. Nie przeczuwając naszych cnych planów, i tak czmychnął do pokoju z „Pomorską” w ręku. W to miejsce Kamie przekazałam wszystkie detale, co ją wyjątkowo zainteresowało, więc dla odmiany, nie po raz pierwszy, zamęczała babcię, wypytując o różne wydarzenia w mieście sprzed wojny, z wojny i o bardzo niechlubne czyny miejscowych „sprawiedliwych” po wyzwoleniu. Rozmawiałyśmy też o kształcie wrześnieowej wieczornicy i ona rzeczowo mnie zachęcała do przeprowadzenia wszystkich uzgodnień w szkole przed zakończeniem roku:

– Za dwa miesiące wakacje, a tam już jest luzik, a za parę tygodni nie będziesz miała z kim pogadać! Mojej pańci nie angażuj, bo wiesz, jak ona ciebie nie lubi – powiedziała.

Skarciłam ją spojrzeniem, ale przypomniałam sobie powtarzane mi przez jedną życzliwą, a podobno powiedziane w naszym kontekście, słowa wychowawczynie, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni”.

– Faktycznie, moja wyrodo, ale to nie zwalnia cię od napisania zadanego wypracowania! A sio do pokoju! – szepnęłam.

Ucichło nucenie smętnego przedwojennego szlagieru „Szkoda twoich łez”, a to znak, że mama zakończyła mycie i płukanie „statków”. Zgodnie z umową teraz ja wszystko szybciotko powycieram, ustawię i posegreguję ubrania do prania: jasne wrzucę do pralki i niech się pierze. Będzie czas na pieczenie – zupełnie nieplanowane zajęcie, wszak cała nasza czwórka, okrutnie pokarana czerstwymi pączkami, zamówiła *jabłecznik z cynamonem*. Obeszłam pokoje z pytaniem, czy ktoś ma jeszcze coś jasnego do prania. Wszyscy mieli: mama bluzkę w drobniutkie paseczki, tato spodenki, które dzisiaj ściągnął, a latorośl koszulkę „wuefową”. Przygotowałam dwa gary dosyć ciepłej, ale nie gorącej wody, która przyjaźnie połączyła się z „Cypiskiem”, bo jego zapas wreszcie trzeba było wykończyć. Na pierwszy ogień poszły najdelikatniejsze ciuszki wraz z bluzeczką mamy i Frania zawarczała całkiem umiarkowanie. Szykując następny wkład, sprawdziłam kieszenie, żeby nie stało się tak jak kiedyś – prałam bżową podomkę z czarnym mazakiem w kieszeni. I okazało się, że czasem lepiej nie być zbyt pedantycznym – z kieszonki beżowej džinsowej spódniczki Kamy wytrząsnęłam niedopalonego papierosa! Nie, nie będę robiła głośnej afery na cały dom, nie miałam nastroju nawet na małe awantury. Porozmawiam o tym w odpowiedniejszej porze. Popeliłam błąd pedagogiczny. Córka nieraz widziała, jak ja palę swoje mentolowe zefirki, a dziadek Henryczek mocne. Moja mama często mi powtarzała: „Dziecko na ciebie patrzy, chcesz, żeby ona cię naśladowała?”. Nie czekałam długo na skutki, już widzę twarz mamy z wymalowanym na niej triumfem z powodu jej jasnowidztwa.

Wyżymałam w rękę, gdyż bałam się o drobnutkie guziczki w pranych bluzkach, więc nie ryzykowałam i nie włożyłam ich do naszego nowego nabytku – szybkoobrotowej wirówki. Wykorzystałam mydlinkę na drugi wrzut brudnych fatałaszków. Woda na dwukrotne płukanie podgrzewała się na płycie, więc miałam jeszcze pół godziny, zanim wzięłam się za rozwieszanie.

Ostry odgłos upadającego pogrzebacza zwabił Kameę.

– Co to za hałasy? Teraz kuję słówka z niemca i ani mi się waży zakłócać spokój – zbesztła mnie ze śmiechem. Byстрыm okiem zerknęła na stertę z upranymi rzeczami i zamarła.

– Uprałaś spódnice razem z papierochem i na pewno jest teraz na niej plama! – powiedziała. A widząc moją zdziwioną minę, uspokoiła mnie, szepcząc: – Wczoraj uratowałam dziadka! Palił przy telewizorze. Babcia przyniosła kompot i wciskała mu szklankę w rękę. Dziadek ratunku szukał u mnie, upuścił niedopałek koło mojej nogi i jak gdyby nigdy nic wyciągnął obie ręce po picie. Przykucnęłam niby podnieść pyłek z podłogi i schowałam peta do kieszonki. Myślisz, że to był koniec? Jeszcze dostało się dziadkowi za smród papierosowy, który nie wywietrzył od wczoraj! Od wczoraj! Sama widzisz, jak u nas jest wesoło.

Wreszcie Kama spytała, czy z jabłecznikiem to prawda, a upewniwszy się, że tak, dodała: – Zrobię ściągę i pomogę obierać i kroić jabłka.

* * *

Wiedziałam, że to się tak skończy! Wpadłam w dół i nie wiem, jak mogę się z tego wygramolić o własnych siłach. Czuję, że zawładnął mną wisielczy humor, robiłam wszystko, aby widzieć pozytywy w tym przymusowym urlopie. Niestety, tak się nie da żyć, nie da się żyć bez pracy. Każdy chce być potrzebny, ważny i wartościowy – ja bardzo chcę. Ciągłe zadawanie sobie pytania „dlaczego ja?” jest już bezzasadne, bo nie uzyskam sensownej odpowiedzi. Żeby się pocieszyć, wymyśliłam, że nie był to zamach na mnie, że ofiarami są dzieci i młodzież, ci najbardziej potrzebujący. Kultura w gramatyce jest kobietą, więc nic dziwnego, że nie obroniła się przed nożycami oszczędności. Jaka zatem przyszłość czeka naszych młodych? Zabijam czas przepierkami, pieczeniem, sprzątaniami i grzebaniami w przeszłości. Ale ile można rzeć z dowcipów, które nie śmieszają? Powinnam skorzystać z porady psychologa, ale jak to zrobić? Zaraz się rozniesie: pani Ewie siadły nerwy, a miejscowi powiedzą – zwariowała! Ja wam jeszcze udowodnię, stanę na nogi, stanę jeszcze mocno. Tylko wcześniej ktoś musi mi podać rękę – proszę! A może przyczyną złego nastroju jest zbliżająca się wizyta w pośredniaku?

Tak czy inaczej muszę... No właśnie, co ja muszę? Do czego mam się jeszcze zmusić? Co ja, my tu jeszcze robimy? Uciec stąd daleko, jak najdalej – póki czas. Kama, córko, uciekajmy stąd! Ładujmy (dysponuję bajkową karetą

z dyni) nasz dom (czy podczas załadunku nie rozsypie się?), dziadków (musiałabym użyć siły), działkę (ostatecznie można sobie ją darować) i uciekajmy, nie oglądając się za siebie. To mówi serce – wredne możliwości stawiają barykadę nie do przebycia. Bezsilna wracam do punktu wyjścia. Sypnę na garstkę dwie pastylki Bellergotu i spać – byle do jutra.

* * *

Minęła dziewiąta. Kama w szkole będzie tylko cztery godziny. Rodzice, jak nigdy o tej porze, wyszli razem ubrani jak na niedzielną mszę. Nie mam pomysłu, co upichcić, i nie wiem, co mama zaplanowała na obiad. Nic mi się nie chce – mycie naczyń po śniadaniu połączę z szorowaniem tych po obiedzie – czas przecieka mi przez palce. Chcę przemilczeć dzisiejszy dzień, zaliczone czterdzieści pięć lat to nie powód do radości. Jedyne, na co mnie stać, to włożyć rzadko noszoną białą bluzkę z koronkowym kołnierzykiem. Tak odświeżnie ubrałam tę drugą część Ewy, która jeszcze wierzy w siebie. Niech ma dziewczyna święto!

Telefon? Niechętnie podnoszę słuchawkę. Po moim „słucham” nikt się nie odzywa, więc siłą się na milutką córkę, powtarzam przekonana, że to kumple taty z przytępionym słuchem. I po drugim „słucham” słyszę głos mojego ulubionego Stevie’ego Wondera. Co to jest? Znam, znam, ale nie mogę przypomnieć sobie tytułu. Wiem... to jest... tak, to „I Just Called To Say I Love You”. Jeszcze raz powtarzam „słucham”, ale kiedy rozbrzmiewa znajomy refren, już domyślam się, kto jest autorem tej muzycznej przesyłki. Świetnie pamiętam słowa refrenu tej oscarowej piosenki Wondera z filmu „Kobieta w czerwieni”.

To nie jest dla mnie już zwykła, nic nieznacząca piosenka. Z jednego tylko się cieszę: że nie padło żadne słowo, że anonimowa słuchawka opadła wolniutko po ostatnim dźwięku... Ale ten urodzinowy upominek nie cieszy mnie. Nie chciałam tego. Przypomniałam sobie naszą podróż taksówką, właśnie ta piosenka towarzyszyła nam przez całą drogę. Czasem nie mogę sobie spojrzeć w twarz. Myślałam, że wszystko już minęło, że jestem rozgrzeszona... Rafał, dlaczego to zrobiłeś? Poczulałam się podle... Ale przewrotnie też jestem mu wdzięczna – za pamięć. Huśtawka nastrojów jak u starej panny – chciałabym, a się boję.

Jakiś ruch pod drzwiami – nasłuchuję. Najpierw wchodzi bukietek frezji dzierzony przez mamę. Następnie zza drzwi wychyla się patera z bezowym tortem – to tata. Kama z pomarańczowym woreczkiem z organzy zamyka pochód. Moje ukochane trio, dyrygowane przez tatę, odśpiewuje „Sto lat” i tym sprowadza mnie na ziemię – połowa życia już tuż-tuż. Całusom i cudownym życzeniom nie ma końca. Woreczek kryje porcelanowego aniołka, który, jak to powiedziała moja pierworodna: „niech cię pilnuje” (ona też?). Zabrzmiało trochę dwuznacznie w kontekście wcześniejszego upominku, który nadszedł po drucie. Niespodziane wejście Mariusza utwierdza mnie w przekonaniu, że jesteśmy opoką, której niech

nikt nie waży się tknąć. Okazało się, że to on był kurierem tortu zamówionego przed tygodniem w ciechocińskiej orbisowskiej cukierni. Dodatkowo cieszy mnie też to, że Kama nie uparła się na świece urodzinowe. Bo kto to widział, żeby koszt świeczek przewyższał cenę tortu.

Tato w białej koszuli z trochę za dużym kołnierzykiem, mama w bluzeczce w drobniutkie prążki z żabocikiem i Kama ubrana jak na szkolny apel prezentują się bardzo odświętnie. Cieszę się, że nie tylko ja jestem odstrojona jak stróż w Boże Ciało. Po paru minutach część damskiej delegacji przegrupowuje się i maszeruje do kuchni. Panowie dzielą się zadaniami – podejmują się ustawienia przygotowanych kieliszków i wyjmują ukrytą w głębi barku butelczynę szampana. Już wiem, że przygotowali elegancki obiad urodzinowy. Ekspresowo dotarł do mnie aromat pieczonego kurczaczka z nadzieniem, który, jak się okazało, w elektrycznym piekarniku, pod zamkniętą pokrywą dochodził już od godziny. Mizeria pod śmietanową kołderką z koperkiem już wjeżdża na sam środek stołu. Talerze rozstawione i tylko czekamy na górkę purée ziemniaczanego i półmisek z rumianym kurczakiem, które staną tu przygotowane w ostatniej chwili.

Możemy rozmawiać spokojnie, bo kartofelki potrzebują jeszcze dziesięciu minut, aby się dogotować, a Mariusz „wziął wolne” tylko na dwie godziny. On jednak kategorycznie odmawia siadania do stołu, po kilku zdaniach zamienionych z każdym po trochu, już szykuje się do odwrotu. Kama na boku kredensu ustawia szklane deserowe talerzyki, łyżeczki od niedzielnego kompletu i ładne szklanki ze złożonym szlaczkiem kupione przez tatę podczas pobytu w połczyńskim sanatorium. Czy to tylko święto? Czy może usypiająca moją czujność maskarada? Co by nie było, udaje się im konsekwentnie zasypywać mój osobisty dół i czuję się pewniej. Mama często powtarza: „Co jest komu przeznaczone, to na drodze rozkraczone” – poeta tego nie wymyślił, ale wymowna jędrność sentencji przekonuje. Pierwszym moim przeznaczeniem są niewątpliwie oni! Mojemu scenarzyście zawsze daję wolną rękę, mówię: Panie Boże, zaskocz mnie czymś miłym. Dziś mu się naprawdę udało!

* * *

Przedwczorajsza uroczystość zostawiła u mnie pozytywne ślady. Nie tylko w postaci kalorii dostarczonych przez rewelacyjny deser zwany tortem Pawłowej. Wyjątkowy nastrój, radosna atmosfera jeszcze teraz utrzymują się, a ja z entuzjazmem przygotowuję się do pracy w moim archiwum. Ubieram się starannie i dokładnie, kitel przepasałam parcianym paskiem, zabieram wszystko to, co jest mi tam nieodzowne, i chcąc być wobec siebie dowcipną, pukam do drzwi „ostatniego”. – Halo, halo! Czy mole mnie słyszą? Jak się mają stuletnie grzyby? Czy pajęczki jeszcze żyją, a jeżeli tak, to po co? – pytam. Wiem, że nikt mnie nie słyszy, ale chcę wykazać się skrzącym dowcipem. Na dzień dobry natychmiast

dobieram się do kolejnej warstwy kufru, która wyjątkowo rozsypuje mi się w rękę, więc od razu przekładam do cna zleżały papier gazetowy do pudełka z napisem „do spalenia”. Duży pugilares męski ze sztywnej skóry w bocznych przegródkach kryje jakieś kwity, zupełnie nieczytelną legitymację i wyblakłe zdjęcie kobiety. Trudno mi przeglądać przegródki portfela, bo zsuwające się lateksowe rękawiczki utrudniają operację. W następnej warstwie trafiam na coś dużego i prostokątnego. Płaskie drewniane pudełko ma swoją wagę. Przecieram jego wierzch ściereczką i widzę wyjątkowej urody intarsję, układającą się w regularny geometryczny wzór. Z trudem uwalniam zardzewiały, maleńki haczyk zamocowany z boku wąskiej części pudełka i z zachwytem patrzę na garnitur sztucców ze srebrnymi rękojeściami. Nie należy on do kompletów lekkich, są to łyżki, widelce i noże z wyjątkowo bogatą ornamentyką i wypukłym inicjałem. Ciężkie, ale i tak, mimo wyraźnej patyny, wyglądają fantastycznie. Następny tajemniczy przedmiot to kartonowe pudełko. Zawiera mało zagadkowe buteleczki i metalowe pojemniczki od leków, więc w niektórych z nich widać ślady po pastylkach. Jest też wysuwane pudełeczko z dużymi, opłatkowymi kapsułkami i jakieś nieduże przedmioty związane z leczeniem. Odkładam wszystko kolejno na stół i, sięgając, trafiam na okładkę dużej pluszowej książki. Biorę do ręki dziwny wolumin, oprawiony w kwiecisty welur z odcieniami beżu i jasnej zieleni. Na okładce zdobi go umocowane lustro o nieregularnym kształcie. Po sekundzie widzę, że to nie jest książka, tylko album zamykany z boku na wymyślny zatrzask z drucianą podpórką ułatwiającą przeglądanie stron. W środku wszystkie fotografie umocowane są i wpasowane w odpowiednio wyciętych okienkach na stronach koloru intensywnego bordo. Są to doskonale czytelne, sepiowe wizerunki wspaniale ubranych kobiet z epoki, wyprostowanych jak struny mężczyzn i zastygłych w wymyślnych pozach dzieci. Intryguje mnie jeszcze brązowy zeszyt z tłustymi plamami. Otwieram go i na pierwszej stronie widzę odręczny napis: „Moje przepisy”. Kartkuję. Czytam ze zdziwieniem: „kwartę przesianej mąki rozczynić dobrze ciepłym mlekiem, trzema łutami drożdży...”. Ciekawe do kogo należał? Czyżby były to przepisy babci Florentyny? Już chcę, wbrew zaleceniom sanitarnym wyznaczonym przez Rudą, wynieść to wszystko i podzielić się wiadomością z mamą. Wtedy przypominam sobie o nierozpakowanej jeszcze, miękkiej paczuszce odłożonej na oknie. Trochę z ociąganiem, ale pobudzona ciekawością jednym ruchem przecinam wypłowiałą różową wstążeczkę. Dwie warstwy papieru skrywają jeszcze pergamin, którym owinięte jest coś miękkiego. Odwijam ostatnią warstwę, która wydaje chropowaty i szorstki odgłos łamiącego się pergaminu i na dłoni zostają mi równiutko poskładane maleńkie ubranka jak dla lalki, przepasane... szeroką czarną wstążką. Układam wszystkie dzisiejsze „wykopki” w specjalnym pudełku i postanawiam wynieść to natychmiast, oczywiście wcześniej spryskując preparatem. Zabezpieczam kufer, zrzucam kitel

i już w progu „wąskiego” zamieniam buty na domowe. Od drzwi krzyczę: „Mamuś, przygotuj stół w herbaciarni”. Wybieram to pomieszczenie, gdyż tam jest stół z marmurowym blatem, krzesła tylko z drewnianymi siedziskami i goła posadzka. Nie ma tkanin, więc łatwo będzie wszystko wypuścić, gdy zakończymy nasze archeologiczne badania. Zakładamy gumowe rękawiczki i siadamy przy stole.

Z ciekawością patrzę na mamę – najpierw dotyka pudełka ozdobionego okładziną z różnych gatunków drewna. Kiedy zachęcam ją do podniesienia haczyka i otwarcia, oniemiała patrzy na zawartość. W mocnym świetle lampy piękne sztuczki ukazują się w całej krasie. Ułożone są niczym wachlarz, na przemian zagłębione po trzy sztuki w sześciu aksamitnych rowkach. Dopiero teraz dostrzegamy, że wypukłe inicjały „FR” są połączone. Brakuje nam lupy, więc nie jesteśmy w stanie rozszyfrować wytłoczonego znaku firmy. Mama odsuwa pudełko na bok, ale nie zamyka go, tylko ciągle zerka w jego kierunku. Przyznam szczerze, że ja wyjątkowo chytrze patrzę na ten komplet, chciałabym go zagarnąć dla siebie, więc bezceremonialnie przesuwam pudełko w swoim kierunku. – Oczyszczę je pastą – rzucam jakby od niechcenia.

W następnej kolejności oglądany jest album, który kiedyś musiał być bardzo piękny. Wzór weluru jeszcze dzisiaj ma wiele uroku, a barokowy motyw mosiężnej oprawy małego lusterka na tytułowej stronie to kunsztowne dzieło. Mamie udaje się uporać z wymyślnym zameczkiem i otwiera album. Kolejno przegląda strony, nerwowo poprawia okulary i w pewnej chwili dotyka jednego zdjęcia.

– To moi dziadkowie, Florentyna i Tymon Sobańscy – mówi. Wreszcie widzę, jak wyglądała osławiona Florentyna i mój „pra”. Delikatnie wyjmuję fotografię z owalnego okienka wyciętego w stronie. Nie są to zdjęcia takie jak współczesne, każde z nich to dość gruby, sztywny kartonik. Za chwilę, po przewróceniu kilku stron, mama odnajduje i wskazuje palcem fotki z dzieciństwa swojej matki. Mama jako dziecko, panna, wreszcie zdjęcia ślubne i jakieś inne rodzinne pamiątki. Jednak większości fotografii z pierwszych kart albumu nie potrafi zidentyfikować. – Kto to może być, kto to jest? – powtarza. Z zainteresowaniem patrzymy na ozdobne wzory w esy-floresy na rewersach zdjęć. Odczytujemy nawet nazwy zakładów fotograficznych, na większości widnieją nazwy miast: Radom i Warszawa. Kobiety z naszych fotografii ubrane były we wspaniałe suknie, bardzo podobne do tych z kart kolorowego żurnala, który, zniszczony, wylądował kiedyś na śmietniku. Mężczyźni odziani bardzo starannie i elegancko, fotografowani najczęściej w pozycji siedzącej ze wspartymi o nich kobietami, z dziećmi siedzącymi u stóp. Sielskie obrazki z życia moich przodków.

– O, Boże kochany! Jak przez sen pamiętam ten album, w saloniku babci leżał na małym stoliczku ustawionym między oknami. Obok stała donica z szerokimi, zwisającymi zielonymi liśćmi. Zapamiętałam to, bo kiedyś przez

nieuwagę rozbiłam filiżankę i skorupę ukryłam w donicy właśnie pod nimi – opowiada. Ilekroć przynoszę mamie te wszystkie rzeczy, staje się ona bardziej milcząca. Myśli, zastanawia się, smutnieje. Szczerze, to nie znam jej przemyśleń, wspomnień, refleksji. Czasem zdaje mi się, że czegoś się boi.

Moja ostateczna diagnoza: ten stan rzeczy trwa od dziesiątków lat, jest wynikiem braku szczerych rozmów, zwierzeń, dzielenia się przeżyciami i zmartwieniami przez wszystkie kobiety tego rodu. Mama również jest zamknięta, nieufna, lubi uchodzić za Zosię Samosię. A ja? Nieodrodna córka, niestety, oczywiście mam opory, aby zwierzyć się, poradzić, zapłakać w czyichś ramionach. Zawsze „sama chcę nieść swój tornister”. Nawet o niedawnym spotkaniu z Rafałem powiedziałam tylko tacie.

Już kończyło się nasze posiedzenie, więc w kierunku mamy przeciągam po stole stosik z lalczynymi ciuszkami. Szarobure ciuszki-maluszki z kolorową pikotką, równiutko ułożone jeden na drugim. Nie jest to nic interesującego, raczej siermiężne, nie jak te, które przed laty kupowałam w bydgoskim komisie dla Kamy, więc nawet nie wyciągam ręki, żeby ich dotknąć. Mama odwrotnie – kolejno rozkłada, ogląda i pod trzecim kaftanikiem natrafia na jakąś złożoną na czworo kartkę. Na samym dole widnieje okrągła pieczęć z wizerunkiem krzyża. To jakiś dokument pisany ręcznie, wydany przez parafię w Hrubieszowie. Staram się czytać dokładnie, ale nie każdy wyraz jest do rozszyfrowania. Z tekstu wyławiam nazwisko pogrubione piórem: „Radomska”, które na tej płachcie papieru wymienione jest trzy razy. Pierwszy raz występuje wraz z imieniem prababci Florentyny, innym razem obok nazwiska stoi imię Emilia i bliżej końca też, ale z tego imienia zostało tylko Wi..., a dalej już jest nie do odczytania.

– To akt urodzenia Emilii Radomskiej, córki Florentyny i Cezarego Puzyny. Boże, Florentyna z tym Cezarym od bransolety byli rodzicami? Florentyna została matką, będąc panną? To nie jest możliwe. Ewo, to było nie do przyjęcia. Dobrze, no dzisiaj tak, ale wtedy? Pierwsze słyszę, że coś takiego miało miejsce. Pamiętasz, na bransoletce jest jego imię! Czy to znaczy, że bransoletka jest od ojca Emilii? Dlaczego ja nic o tym nie wiem? Musiałam czekać tyle lat, żebym odkrywała coś, co się nie mieści w mojej głowie? – nie może się nadziwić mama.

Natychmiast przypominam sobie, że po rozpakowaniu zawiniątka z papieru rzuciła mi się w oczy ciemna, a może czarna wstążka. Zdziwiło mnie to, ale nie na tyle, by zastanawiać się głębiej. Odszukujemy daty wypisane na dokumencie i z obliczeń wynikało, że Emilka urodziła się w Hrubieszowie półtora roku po ukończeniu przez Florentynę pensji. Co ona robiła w Hrubieszowie? Kto to był ten jakiś tam Puzyna?

Przypominam sobie, że popełniłam wiele błędów – zleżałe luźne kartki niszczyłam bez zastanawiania, nie wnikając, co one przedstawiają. Widać, muszę się przyłożyć, bo kufer jeszcze niejedno może ujawnić. Czuję, że zasiałam

w maminej głowie wielki niepokój i trochę ją zasmuciłam. Jakby odczytała moje myśli, bo mówi:

– Przykro mi, ale okazuje się, że nie znam mojej rodziny! Dawno czułam, że moja matka ukrywa jakieś sprawy. Jestem przekonana, że kochała moją babkę i jednocześnie jakby jej nienawidziła. Z perspektywy dziecka pamiętam, że między nimi ciągle były jakieś niedopowiedzenia, przykre rozmowy, płacz. Wiesz, jedno jest niepodważalne: to były silne kobiety i po kądzieli przekazały geny betonowej mocy. – Tu wskazuje na siebie i uśmiecha się trochę po łobuzersku, klepiąc mnie po ramieniu. Nie daje za wygraną i konsekwentnie dopytuje się: – Prawda, córka, że się nie mylę? – Pytanie podkreśliła mocnym tonem.

Cholera, ma rację, ja i Kama bluszczami nie jesteśmy!

Ta szczerza wypowiedź kosztuje ją dużo zdrowia. Teraz rozumiem, skąd u niej to częste rozdrażnienie. Zawsze wtedy, kiedy zadawałam różne pytania o naszych przodków, odpowiadała „nie wiem”. Teraz dociera do mnie, że naprawdę nie wiedziała, że sama chętnie chciałaby posiadać większą wiedzę. Umawiamy się, że jeszcze zostanie w herbaciarni i przejrzy album, a ja pójdę pogrzebać w kufrze. Zmieniam jednak plan, myję starannie ręce, ubieram się i wychodzę na powietrze.

Zatrzymuję się nad rzeką. Lubię tak stanąć i patrzeć od lewa do prawa na roztaczający się widok. Wiatr nie przeszkadza mi wcale w zbieraniu myśli. Zastanawiam się, co mnie jeszcze czeka, nim dojdę do dna kufra. Wystawiam twarz w kierunku wiatru, tak jakbym chciała dopuścić do mojej głowy więcej ożywczego powietrza. Rozmyślam o maleńkiej Emilii. Jeżeli mama nie słyszała o jej istnieniu, to może dziecko zmarło? No dobrze, tylko dlaczego robiono z tego tajemnicę? Jednak niezbędne będzie zrobienie notatek, przecież można się pogubić w tych naszych koneksjach. Co najważniejsze, to pozwoli odtworzyć nasze prawdziwe drzewo genealogiczne. Dotychczas niewiele interesowałam się przeszłością, byłam wyrazicielką poglądu, że liczy się tu i teraz. Zresztą nie miałam przykładu, że można inaczej postępować. Tato został wcześniej sierotą, jego najbliżsi rozpierzchli się po świecie. Wychowująca go ciotka zmarła młodo i nie zdążyła przekazać żadnych detali o rodzinie ani pamiątek. Później wojsko, wojna i utracił kontakt z rodzinnymi stronami. U mamy, jak teraz się okazuje, wszyscy robili wszystko, żeby nikt nic nie wiedział. Jak we włoskiej rodzinie, panowała omerta! Tajemnica na śmierć i życie. Trochę to dla mnie zagmatwane, ale nie poddam się i dotrę do źródła. Nasze drzewo genealogiczne, dla ułatwienia, zaczęć tworzyć od wierzchołka, a nie klasycznie od korzeni.

* * *

Wielkanoc tuż-tuż. Efektywnie wykorzystałam pierwszy słoneczny dzień – dom przewietrzony, dywany potrzone, okna umyte i podstawowe sprawunki

zrobione. Z Kama ustaliliśmy, że prawdziwe przygotowania do świąt rozpoczniemy od zasiania rzeżuchy i spaceru po bazie. Świeta mnie trochę przygnębiają i trochę... uskrzydłają, ale co tam, tradycja jest tradycją. Będzie uroczyście i radośnie, ale też przychodzi zasmucenie, i to wtedy, kiedy uzmysławiam sobie, że nie ma z nami Artura. Chociaż to nie jest takie oczywiste, często zdaje mi się, że tylko wyszedł, wyjechał i wróci, zadzwoni, zapuka lub wejdzie. Za chwilę jednak trzeźwieję i dociera do mnie, że to nie stanie się już nigdy. Jest też coś, co raduje mnie wyjątkowo – wiekowi moi – Zochna i Henryczek, są jak zdrowe rzepy i oby to się nie zmieniło. Kama jest wspaniałym, kochanym i kochającym dzieckiem, ale żeby jednocześnie nie było zbyt miło, to ubolewam, że Artur tego uczucia nie doświadczy i że nie usłyszę, jak o niej mówi „moja wspaniała córka to... czy tamto...”.

Dokonałyśmy z mamą podziału prac. Działania artystyczne – upieczenie ciasta, pasztetu, *schabu ze śliwką* – mimo moich podchodów pozostały pod rządami mamy. Ja mam przydział do prac fizycznych. W piątek zmienię pościel z czterech legowisk, przygotuję obrusy i zawieszę firanki. Kama sama zgłosiła odpowiedzialność za wytarcie kurzu we wszystkich pokojach, przygotowanie koszyczka wielkanocnego i zanieśenie go w sobotę do poświęcenia. Henryczek ma stanąć w kolejce po białą kiełbasę, mięso i chleb, a na wypadek chłodu – rozpaść w piecach. Przy tak napiętym harmonogramie zdecydowanie muszę zrobić przerwę w moich pracach badawczych i rozszyfrowywaniu naszej rodzinnej sagi. Jeszcze jednym zadaniem jest kupno świątecznych „zajaczków” dla moich najbliższych i tego muszę dokonać najpóźniej w czwartek.

* * *

Gdy dziś rano spojrzałam na nasz nakryty do śniadanka wielkanocnego stół, wiedziałam, że zarusieńko we wtorek będę musiała zacząć się odchudzać. Zapachy, kolorowe sałatki — a w tym moja ulubiona *sałatka z selera i orzechów*, faszerowane jajka, apetyczność maminego *schabu ze śliwką* i *pasztetu z królika* — już od samego patrzenia człowiekowi podbija się waga. Późny trzydaniowy obiad też wspomagał wcześniej nabite kalorie. Talerz uroczych, kolorowych pisanek, malowanych własnoręcznie przez mamę, dawał mi jak gdyby dyspensę. Każde jajeczko mówiło: nie przejmuj się, kochanie, nie wojuj z tradycją. Przysięgam, że tak słyszałam! Wykorzystałam okazję, że mazurek kajmakowy, sernik ani babka drożdżowa nic do mnie nie mówiły, ani tak, ani siak, więc późnym popołudniem to i one niepodzielnie królowały na naszym stole. Wieczorem tato zorganizował konkurs: kto wcześniej podniesie rękę, myje naczynia — przyłożył się i wygrał. Kama dotrzymywała dziadkowi towarzystwa i po płukaniu wycierała zastawę. Miałyśmy z mamą czas na rozmowy, wspomnienia i oglądanie koralu, albumu, a nawet bransoletki. Poganiała mnie z ukończeniem zajęć przy kufrze, co również

argumentowała:

– Zrobimy porządek w „ostatnim”, co trzeba wyrzucimy, szafę przejrzymy, kufry oddamy na działkę i pięknie pomalujemy ściany. Tak jak ona będzie chciała. Tato powiedział, że poprosi Kmiecia i jak wszystko wyjedzie z „ostatniego”, razem odświeżą podłogę — zarządziła mama. Musiałam mieć zdziwioną minę po słowie „ona”, bo dodała: – Mówię o Kamie, musi mieć osobny i wygodny pokój!

Chciałam krzyknąć z wrażenia, ale zrezygnowałam z tych efektów specjalnych i tylko powiedziałam najszczerzej, jak czułam, że ogromnie się cieszę. Z mamy w jednej sekundzie spadła śniedź i wieloletnia zatwardziałość. Bidulka, przeszła siebie! To niebywałe! Coś mi się zdaje, że to tato też urabiał mamę i długo przekonywał. Ustaliliśmy, że o tej niespodziance nic nie mówimy Kamie, chociaż właśnie to byłoby dla niej najcudowniejszym wielkanocnym zajęczkiem od dziadków. „Ostatni” pokój, właśnie dziś przypisany Kamie, to taki lukrowany migdałek na świątecznym mazurku. Chyba nie wytrzymam i powiem...

* * *

W ramach zrzucania nadwagi szybkim krokiem przeszłam przez nasze podwórko, otworzyłam furtkę i skierowałam się nad rzekę. Wiatr wiał, więc zapięłam płaszcz pod szyją i mimo wyjątkowo rozwianego włosa z przyjemnością patrzyłam na znany nadwiślański pejzaż. Nie mogę się nadziwić, że ten widok się mi nie znudzi, że ciągle dostrzegam coś nowego. Obejrzałam się i u wlotu uliczki zobaczyłam znajomą niebiesko-białą ukrainę prowadzoną przez tatę. Umocowane na siodelku i kierownicy deski uniemożliwiały manewr skrętu. Domorośli działkowicz będzie się bawił w cieślę i wymieniał łaty na dachu altanki. Dobrze, że tato ma swoją pasję, a jednocześnie nie ma nic z odkrywcy rodzinnych tajemnic. Zresztą i tak nie skusiłby się na analizowanie dzisiejszego kufrowego „urobku”.

– Córka, co tak się wietrzysz? Pewnie wyszłaś naprzeciw listonoszowi – dodał z udawanym lekkim przekąsem, bo opowiadałam mu o spotkaniu z Rafałem, moich rozterkach i liście, który wysłałam do Szczecina. Nie zabierał głosu, nie radził i nie odradzał, ale swoje wie. – Wszystko sto razy przemyśl, pamiętaj o Kamie, ale też nie zapominaj o sobie – powiedział wówczas między innymi mądrościami.

Gadaliśmy jeszcze chwilę i tak rozćwierkani przeszliśmy razem do końca nadwiślańskich bulwarów. Pieszy rowerzysta ruszył przed siebie zdecydowanym, szybkim krokiem, ja przez chwilę odprowadzałam go wzrokiem i zawróciłam do domu. Snułam się, bo nie byłam przekonana, czy dzisiaj będę chciała iść na „wykopki” w tej zatechłej starzyźnie. Z jednej strony, chciałabym jak najszybciej rozwiązać rodzinną zagadkę i wierzę w odnalezienie jakichś następnych ogniw. Żal mi naszej Florentyny i myślę, że lekko to nie miała. Z opowiadań mamy jawi się jako tajemnicza, smutna, nieszczęśliwa i zgorzkniała kobieta.

Mama zwolniła mnie nawet z pomocy w kuchni, a co tu mówić o pracy... Wykorzystałam ten czas, by usiąść z filiżanką kawy (ostatnia mocca z paczki od Basi), w której najbardziej mnie bawi sam aromat. Blok papieru listowego i długopis wylądowały obok albumu, niemowlęcych ubranek i ślicznej intarsji na znalezionym pudełku. Teraz to wszystko nabiera zupełnie innej wymowy, czuję w nich moc najprawdziwszych pamiątek. Jeżeli przyjąć, że największą niewiadomą jest moja „pra”, to najwyższy czas, aby przestudiować jej curriculum vitae. Co wiem na pewno? Florentyna Radomska urodziła się w Radomiu, była córką zubożałego ziemianina i właściciela młyna, ukończyła warszawską pensję i coś tam jeszcze pedagogicznego czy medycznego. Teraz muszę postawić pytanie, czy pracowała w Radomiu. Niewiadoma! Co robiła w Hrubieszowie? Wiem, że była pielęgniarką w warszawskim szpitalu Dzieciątka Jezus. Gdzie poznała Cezarego Puzynę? W Warszawie, w Radomiu, a może w Hrubieszowie? W Hrubieszowie urodziła Emilkę. Co się z nią stało, nie wiemy. Kim był tajemniczy Cezary? Duża biała plama! Absolutnie pewne jest to, że będąc już w stolicy, poznała i pobrała się z lekarzem Tymonem Sobańskim, została matką Zofii i Józefa. Jaką była żoną? A jaką matką? Niestety, na podstawie opowiadań mamy i wysnutych wniosków wciąż nie mogę sklecić pełnego obrazu. Wiem bardzo dużo i zarazem niewiele.

Ślęczałam nad tymi notatkami i oczywiście, jak często mi się zdarza, nie wypiliśmy mojej kawy. Zimnej nie lubię, więc „szatan” wylądował w zlewie. W to miejsce zrobiłam sobie kanapki, które połknęłam w pośpiechu, popijając gorącą herbatą. Jak planowałam, założyłam skoroszyty, do których będę odkładała to, co w znalezionych rzeczach jest związane z poszczególnymi osobami. Pierwszą teczkę oznaczyłam „Florentyna i Tymon Sobańscy”, do której na początek włożyłam świadectwo szkolne i portfel „pra” Tymona (mama rozpoznała zdjęcie żony z dedykacją), drugą założyłam dla maleńkiej Emilii, z aktem urodzenia i kaftanikami, następną, już awansem, dla tajemniczego Cezarego Puzyny. Oczywiście, nigdzie nie włożyłam bransoletki, ale o niej pamiętam. Ostatnią zatytułowałam „korespondencja z herbem – listy nieznanego nadawcy i nieznanego adresata”. Bez lupy nie rozszyfrowałabym z nich ani zdania. Pozostałe te czki odłożyłam, niech czekają na swój tytuł.

Poszłam jednak do „ostatniego” – tylko krowa nie zmienia zdania, jak cytował w swojej publicystyce Stefan Kisielewski. Zabrałam czwartą teczkę wraz z dodatkowym kartonikiem usztywniającym, który zapobiega ewentualnym załamaniom i tak kruchych listów, tych z herbem.

Niespodzianie usłyszałam radosny głos taty. Opowiadał mamie, że coś na działce wykiełkowało, a coś zakwitło. Muszę dopytać, co go tak ucieszyło. Za moment poleciały nieparlamentarne słowa na temat pamięci, a właściwie niepamięci – zapomniał gwoździ, które kupił przed wyjściem. Kiedy weszłam, tato, już w fotelu, koił zdenerwowanie lekturą gazety. O roślinkach dumny Miczurin

powiedział krótko: – Te niebieskie kwiatki już kwitną, sałata ma już centymetr.

Zajrzałam do mamy i upewniłam się, czy nie potrzebuje mojej pomocy w kuchni. Po otwarciu drzwi znalazłam się w oparach gotującego się *bigosu* i osobno duszonego boczku, dostarczonego przez naszego tajnego dostawcę. Mój nos się trochę zdziwił, bo nasza gospodyni jeszcze wczoraj wspominała o makaronie z sosem pomidorowym. Szczerze mówiąc, na ten smakołyk szczególnie ostrzyłam apetyt. Za chwilę wyjaśniło się, że menu będzie, jak ustaliłyśmy, ale zdobycie mięsa natchnęło mamę do ugotowania kapuchy i zawekowania w postaci staropolskiego jadła. Tym bardziej, przewidując huk pracy, pytałam, w czym mogę pomóc. Mama pokazując na umyte weka, kuchnię zastawioną parującymi garami i obsuszające się na sznurze płaty ciasta makaronowego, gestem poinformowała mnie, że wszystko zrobione i w to miejsce zaproponowała:

– Odkroję ci kawałeczek gorącego mięska, idziesz grzebać i zejdziesz ci tam sporo czasu.

Odmówiłam, bo, po pierwsze, już zapchałam się kanapkami, a po drugie, mięsko jest zbyt banalne, ja lubię gotowy, gorący bigos na pajdzie *chleba gryczanego!* Ale na to musiałam jeszcze troszkę poczekać, grzybki dopiero się moczyły, a inne ingrediencje czekały na swoją kolej. Najmniej godzina pitraszenia. Mama świetnie zna moje kulinarne upodobania i konspiracyjnie, prawie szeptem obiecała:

– Odłożę w miseczce.

– To znaczy, że zrobię sobie bigosową ucztę po „wykopaliskach” w „ostatnim” – odpowiedziałam.

Przebrałam się w służbowy uniform i kiedy już byłam w przedpokoju, rozległ się dzwonek. Po charakterystycznym dwukrotnym sygnale już wiedziałam, kto jest jego autorem. Z listami w garści, przygotowanymi do wręczenia, mundurowy z trąbką w klapie wszedł do korytarza. Bez słów wyciągnął długopis i dopiero wtedy zakomunikował: – Pani Ewo, polecony z pieczętką ze stolicy. – Postawiłam zgrabną parafkę i już mniej oficjalnie, w telegraficznym skrócie, pogadaliśmy o niczym, czyli o... zeszłorocznym śniegu. Odczekał i jakby od niechcenia, puszczać oczko, dopowiedział: – Drugi ze Szczecina. – Zrobiło mi się gorąco i wzięłam do ręki list z eleganckiej kremowej papeterii. Wróciłam do herbaciarni, klapnęłam na krzesło, by w spokoju przeczytać ten z pieczętką. Treść listu z Warszawy ucieszyła mnie ogromnie. To może nie do wiary, ale cała rodzina Jagody przeżyła wojnę. Ich najstarsza wnuczka Estera, urodzona i mieszkająca w Hajfie, w 1978 roku przebywająca z wycieczką w Polsce, złożyła odpowiednie świadectwo. Napisała: „Podczas postoju pociągu w Kutnie, pod osłoną nocy, oboje dziadkowie wraz z córkami – moją matką i ciotką Trudą – po oderwaniu kilku desek z podłogi wydostali się z wagonu wiozącego ich do obozu. Po miesiącu

wędrówki lasami przedostali się do Stanisławowa i tam doczekali końca wojny”. Tę radosną informację kończył smutny dopisek: „Dziadkowie zmarli w 1967 roku”.

Świeżutkimi wieściami poszłam podzielić się z rodzicami, którzy, słuchając treści listu, nie kryli wzruszenia. – Przeżyli i to jest najistotniejsze – powiedział krótko tato, bo więcej słów nie mógł z siebie wydobyć. Po chwili głośno zastanawiał się, jaką też drogą przedostali się na wschód, a później do Izraela, do Hajfy. Cieszę się wraz z nimi fartem Jagodowej rodziny i oczami wyobraźni widzę, jak we wrześniu po wieczornicy pakuję mezuzę, łączę list i w imieniu organizatorów wysyłam tę pamiątkę na adres w Hajfie.

Za dużo emocji, więc list od Rafała zostawiłam sobie na wieczorną porę. Może trochę ze strachu, a może potrzebuję wyciszenia i szczególnych warunków? Już wyszłam, już miałam otworzyć drzwi do „wąskiego”, a za plecami wyrosła zziębnięta Kama, która tylko zdołała powiedzieć: – Zeszyt z rolą. – Wiedziałam, o co chodzi, bo dzisiaj miała być próba generalna. Za chwilę z powrotem minęła mnie jak huragan, z pełną buzią, dodatkowo zaopatrzona przez babcię w minikanapkę z parującym mięsnym wkładem, i z nieszczęsnym zeszytem w ręku. Po przełknięciu, ale już od bramy, zawołała: – Mamuś, na jutro trzy razy kwiaty.

* * *

Nareszcie koniec roku. Bilans: Kama – siódmoklasistka – ma załatwione w sanatorium zabiegi i basen, jej matka – zapracowana bezrobotna, rodzice na szczęście zdrowi, Mariusz z Julią i dziećmi w drodze na wczasy.

Kamę wyprawiłam z kanapkami i owocami do Ciechocinka. Najpierw zajmie się nią pani Grażynka Dziennik – rehabilitantka o anielskiej cierpliwości. Oczywiście później pójdzie na basen solankowy. Dla porządku spytałam, czy chciałyby, żebym z nią jeździła. Zgromiła mnie spojrzeniem.

– Mamusiu, chyba żartujesz! – powiedziała. Tej samodzielnej podróży, jak się można było spodziewać, babcia nie akceptowała. Po jej twarzy widziałam, że zaostrzyła czujność i okaże wkrótce swoje niezadowolenie. Pamiętam, że przy każdej okazji powtarzała, żebym nie wypuszczała Kamy z rąk, tylko że wtedy moja córcia miała rok, pięć, dziesięć... Ale teraz? Zapanowała nad sobą, a później co parę minut sprawdzała na zegarze wędrówkę wskazówek i z dezaprobatą kręciła głową. Za jakiś czas jednak nie wytrzymała.

– Czy Kama nie powinna już wrócić? – pytała jakby siebie, ale tak głośno żebym słyszała. Wiedziałam, że tak będzie, ale i tak zwała mnie z nóg. Chciałam odpalić, że według moich wyliczeń, to ona jeszcze nie zdążyła wejść na basen. A sama trzydziestominutowa kąpiel, wycieranie się, osuszanie, ubieranie i dojście na przystanek, powrotna jazda autobusem to się nie liczą? Moja małostkowa mama denerwuje mnie czasem swoją nadopiekuńczością. Kama musi uczyć się samodzielności, a nasz babiniec wcale nie jest dobrym przykładem dla rozwoju

dziewczyny. Jakoś to musimy przetrzymać. Sprawdzony sposób na mamuścię to nie wdawać się w dyskusję. Przecież mogę czegoś nie dosłyszeć, prawda? A co najważniejsze, mam zaufanie do Kamy.

* * *

Coraz bardziej lubię wyprawy do „ostatniego”, może dlatego że ten swoisty kilkugodzinny azyl mnie wycisza i uspokaja. W tych czterech ścianach ciągle się dzieje coś zaskakującego i rozczulającego. Cokolwiek biorę do ręki, to już w głowie, jak na luźnych fiszkach, kreślę historię moich najbliższych. Prawie codziennie dodaję jakiś szczegół i dostrzegam zarysy pogmatwanej sagi. Właśnie gdy jestem tam, dociera do mnie, jak wiele spraw przez dziesiątki lat zostało w naszej rodzinie zamiecionych pod dywan. Tak bardzo chciałabym zabrać mamę do Warszawy, liczę się jednak z tym, że taki powrót do korzeni byłby dla niej zbyt męczący i wzruszający. Wciąż pamiętam, jak przed laty codziennie oglądała nowo wydany album o stolicy, skonstruowany tak, że lewa strona przedstawiała ruiny jakiegoś zakątka miasta, a prawa tę samą część, ale już odbudowaną. Gładziła fotografie pokaleczonych kikutów miasta i płakała. Każdorazowo po powrotach z Warszawy opowiadałam o pięknym starym mieście, nowoczesnych gmachach, szerokich alejach, trzydziestopiętrowym pałacu z iglicą. Nie lubiła tego słuchać i nie chciała się z tym pogodzić. – Tam była Chmielna i stał dom cioci Frydrychowskiej! – mówiła z ogromnym wyrzutem, jakby ten fakt był czymś istotnym dla architektów, którzy zbagatelizowali naszą rodzinę i tam właśnie uparli się wytyczyć plac Defilad. Dla rozprężenia atmosfery opowiadałam o spektakularnym przesunięciu o dwadzieścia jeden metrów kościoła na Lesznie i o obróceniu o siedemdziesiąt cztery stopnie pałacu Lubomirskich. Dopiero takie szczegóły arcytrudnej operacji technicznej potrafiły udobruchać mamę. Czy wierzyła, że takie skomplikowane prace przeprowadzono, nie byłam do końca przekonana.

Na pierwszy ogień wzięłam się za ułożenie listów w teczce i odłożyłam ją daleko, żeby nie miała kontaktu ze świeżo wylawianymi z kufra rzeczami. Najwięcej miejsca zajmują w tej przepastnej pace gazety i niestety bardzo skruszałe albumy z arkuszami pokrytymi ślicznymi kolorowymi rycinami ubrań damskich. Na wszystkich sześciu egzemplarzach widnieją daty z przełomu wieku. To prawdziwa pamiątka z domu rodzinnego prababci, między kartami są powkładane odręczne notatki zawierające dane dotyczące ilości materiałów (muślin, tafta, mora) i kolorów: „tafta w kolorze ciemnej brzoskwini, spódnica i gorset z lamówką”. Na rycinie cudnie się prezentuje suknia z wydatnym spiętrzeniem z tyłu bioder – tiurniurą. I następny dopisek, chyba ołówkiem kopiowym: „lamówka ciemnoniebieska i także jak suknia sakiewka i kapelusz”. Gdzieniegdzie skrawki materiałów dobranych kolorystycznie, pospinane zardzewiałymi szpilkami

z różnokolorowymi szklanymi łąbkami. Kto by się spodziewał takich eleganek w naszym rodzie?

Gdy patrzę na ten kufer i wyciągane z jego czeluści pamiętki po moich antenatach, to przypominam sobie zgrabne zdanie: „Nie patrz wielce w przeszłość, która przeminęła i nie zwracaj sobie głowy przyszłością, która nie nadeszła. Żyj teraźniejszością i spraw, by była warta wspomnień”. Myśl Scotta Taylora może nie powala mnie na kolana, ale ma drugie dno i to mnie bawi. A z jej ostatnią częścią zgadzam się w zupełności. To zadanie od dzisiaj!

Zawartość pudła z rzeczami do spalenia wypełniła się błyskawicznie luźnymi stronami starych gazet, zapisków, zeszytów. Było to bezużyteczne papierowe próse, które całymi dłońmi przesypywałam do kartonu. Zaintrygowały mnie jednak trzy grube zeszyty, wielkością przypominające współczesny format A5, każdy opasany gumką. Poznałam, że to gumka, bo przy dotknięciu pękła, a jej resztki były jak wrośnięte w kartonową okładkę. Po przetarciu wierzchu dłonią widać zielono-złoty marmurek i ozdobną naklejkę z napisem „Mój manual”. Nie bardzo wiedziałam, co to znaczy, ale coś podpowiadało mi, że to może być coś osobistego. Nie wytrzymałam, rozchyliłam zeszyt, przerzuciłam strony i zobaczyłam ręczne pismo. Znaleźisko położyłam na stole i puściłam na nie porządną porcję mgiełki preparatu. Przewróciłam na drugą stronę, psiknęłam mocniej. Każdy osobno zapakowałam do dużych kopert. Coś mi mówiło, że zapis zeszytu przypomina niewątpliwie... pamiętnik. Czułam moje różowiejące się policzki, nienaturalne ciepło i krew odpływającą od głowy. Cholera, to na pewno jest sztambuch, ale czyj? Wyciągnęłam jeden z zeszytów i zorientowałam się, że charakter pisma zupełnie mi nie mówi, kto jest jego autorem. Ale wielość ozdobników i zawijasów przekonywała, że pisała go dziewczyna. Chciałoby się obejść procedury odkażania, już sięść, czytać, ale rozsądek wziął górę i zaklejone trzy koperty odłożyłam daleko od siebie. Z tego wszystkiego nawet nie wpatrzyłam się, na ile ten tekst jest czytelny. Trudno, już za późno – zeszyty zaklejone i odłożone.

Nie wytrzymałam długo z tą nowiną, więc otworzyłam drzwi do kuchni i, wkładając tylko głowę, zakomunikowałam mamie o znalezisku w postaci zapisanych zeszytów. Wyrecytowałam również treść naklejki, na co mama rezolutnie powiedziała, że to bardzo stara nazwa i znaczy brudnopis, notatnik czy tam coś jeszcze innego. Informacja ożywiła mamę na tyle, że nie zadała mi pytania o przyjazd Kamy. Wyprzedziłam taką ewentualność i nim wycofałam głowę z drzwi, powiedziałam na wyrost, że za sześćdziesiąt minut zameldujemy się obie przy stole. I z mojej strony to była najprawdziwsza prawda, bo bardzo zgłodniałam, ale musiałam zakończyć pracę i jak zawsze zabezpieczyć kufer. Obmyśliłam, że papierzyśk z pudła nie wyniosę do drwalni, tylko natychmiast wrzucę je do metalowej beczki i spalę. Niech nic, co ewentualnie przeżyło – sama nie wiem, co

to mogłoby być – „nie rozłazi się” po budynku, czy też w jakiś sposób go nie zainfekuje.

Gdy wróciłam do „ostatniego”, nosiło mnie, żeby jeszcze raz sięgnąć do wnętrza kufra. Po krótkich wahaniach odgarnęłam warstwę rozsypującego się w dłoni papieru z kilku gazet i trafiłam na pudełko. Bardzo płaski prostopadłościan, tak jakby z zamszu niewiadomego koloru. Kiedy uniosłam ją na wysokość stołu i jedną ręką rozciągałam stare lniane prześcieradło, z niefortunnie trzymanej kasetki odleciały dwie ścianki. Z wewnętrznej strony wieczka odkleiło się lustro, które spadło na ziemię, ale na szczęście się nie stłukło. Ten zamsz okazał się zakurzona bają, która oklejała tekturowe pudełko. Ze środka podzielonego przegródkami jak w typowej kasecie na biżuterię wypadły: sznur dużych kul z najprawdziwszego koralu, dwie ozdobne agrafy oraz (chyba jest to srebro) owalny wisior z zapięciem. Jedno naciśnięcie paznokciem pozwoliło rozchylić go i ukazało się wnętrze. Byłam przekonana, że znajdę tam malowaną miniaturkę zdjęcia jakiegoś tajemniczego mężczyzny. Zawiodłam się i zobaczyłam coś jasnego, przypominającego kłaczek włosów. Reszta wypadłej z pudełka drobnicy składała się z pięknych, ozdobnych... nie wiem, jak to nazwać, może guzów – czyli rodzaju ozdobnych guzików – i garści bardzo ładnych innych: szklanych, z masy perłowej i kościanych. Ułożyłam na kupkę, zdezynfekowałam, okręciłam prześcieradłem i zostawiłam na środku stołu. Zawołanie mamy „Ewuniu, obiad na stole” przyśpieszyło zakończenie prac. Zabrałam pełnusieńkie pudło papierów do spalania, dołożyłam drugie rozpadające się, które jeszcze chwilę temu było kasetą na biżuterię, i dokładnie zamknęłam drzwi.

* * *

W całym domu panuje cisza nocna, jedyny odgłos to natarczywy tykot zegara. Ciemno pod blachą kuchni, więc gotuję szklankę wody małą grzałką i zaparzam melisę. Biorę do ręki dzisiejszą gazetę, trochę poplamioną i upstrzoną dziwnymi notatkami na boku. To oczywiście tato, czytając artykuł Michnika, coś obliczał i notował. Na drugiej stronie duże zdjęcie radosnego Jacka Kuronia – co on się tak śmieje? Z podpisu pod zdjęciem wynika, że fotograf uchwycił moment, kiedy szczerzył rząd mocnych zębów podczas spotkania z czytelnikami w warszawskim EMPiK-u. Faktycznie, Jacek Kuroń wydał książkę *Wiara i wino. Do i od komunizmu*. Czytałam, że to zgrabnie napisana autobiografia. Lubię tego faceta, muszę sięgnąć po tę książkę, jak będę gdzieś w księgarni. Na tej samej stronie jest krótka wzmianka o spotkaniu pomiędzy Helmutem Kohlem a Michaiłem Gorbaczowem w Stawropolu. Poniżej spory artykuł o konferencji dwa plus cztery, dotyczącej zjednoczenia Niemiec, która odbyła się w Paryżu. Dobrze, że o tym piszą, w końcu wzięła w niej udział także Polska. Na następnej stronie trafiam na wydarzenie, którym żyje cały kraj: „(...) katastrofa kolejowa w Ursusie

– śmierć poniosło szesnaście osób, a czterdzieści trzy zostały ranne”. Tragedia goni tragedię: „(...) trzęsienie ziemi w Iranie o sile 7,4 stopnia w skali Richtera spowodowało śmierć kilkudziesięciu tysięcy ludzi”. Co się dzieje na tym świecie? Odkładałam tę lekturę i rezygnuję nawet z przekartkowania mojego nowego ulubionego miesięcznika „Twój Styl”. We wszechobecnej ciszy kuchenny zegar wydaje dziwnie głośny tykot. Sięgam do kieszeni swetra i wyjmuję złożoną na pół kopertę.

Myślę, że dla kogoś patrzącego z boku odkładanie lektury listu od Rafała i strach przed jego otwarciem nabiera kształtu karykatury. Trudno, niech to wygląda, jak chce, ale ja zwyczajnie, po ludzku się boję. Może napisał mi, że kogoś poznał, lub odwrotnie, że chce się spotkać ze mną. To pierwsze, sama nie wiem czemu, byłoby dla mnie prztyczkiem w nos, a drugi wariant może byłby interesujący, chociaż nie do końca jestem do tego przekonana. Biorę list do ręki, niby się uśmiecham, ale tak naprawdę jestem bardzo zdenerwowana. Podważam nożem podklejony dodatkowo taśmą brzeg listu i z duszą na ramieniu rozkładam kremową kartkę zapisaną ręką Rafała:

*Czemu ja ciągle drzę o ciebie,
Czemu ja ciągle się boję –
Czemu po całej ziemi, po niebie
Szukam cię, szczęście moje!
Przebiegam długą twoją drogę,
Którą mi w oczach wiatr rozmiata,
Szukam i zgłębić cię nie mogę:
Z którego jesteś świata.
Kiedyż ogarnę cię, pochwycę,
Na wieki przy sobie zatrzymam –
Zgaś wszystkie gwiazdy i księżyce,
Świeć mi swoimi oczyma.
Niech nic nie widzę prócz ciebie,
Niech nie wiem nic, co robię –
Na całej ziemi i na niebie*
Jest tylko jedna światłość: w tobie.[3]

Chyba jestem zbyt stara na takie zaloty i niedomówienia. Może on tylko stara się być miły? Zawsze był romantykiem, choć nie należał do szalonych czy impulsywnych. Na urodziny wysłał mi piosenkę Stevie’ego Wondera, teraz przemawia Wierzyńskim. Przed laty robiłoby to na mnie piorunujące wrażenie, teraz doszukuję się drugiego dna. Ale i tak moje ciśnienie podniosło się niepokojąco. Dobrze, że stygnie melisa. Mimo że go przeprosiłam, moje sumienie wciąż się rumieni. Wolałabym, żeby Rafał podczas naszego spotkania wyraźnie

powiedział, że zachowałam się po świńsku, że byłam egoistką i że moje postępowanie było zwyczajnie nieuczciwe. Niby słuchał, co ja mam do powiedzenia, ale milczał i nie odnosił się do tego. Nie zgodził się na to, bym oddała mu pierścionek i tak głupio powiedział: „noś go dalej”. Ja zdjęłam go z palca natychmiast po poznaniu Artura i, jakby mnie uwierał, nigdy później nie nosiłam. Ale niestety, nie szukałam okazji do oddania. Wstydziłam się, a może nadal go kochałam? Może tylko sprawdziło się powiedzenie „co z oczu to z serca”? Myślę, że dużo w tym mądrości, ale wszystko działo się tak szybko – poznanie szarmanckiego Artura, jego uczucie i nieopisana radość z ciąży przysłoniły mi świat. Zapomniałam o choćby napisaniu lub przeprowadzeniu rozmowy z daleko mieszkającym Rafałem. Nawet nie zdobyłam się na to, by poinformować go o ślubie. Myślę, że jest nam potrzebna długa, poważna rozmowa. Uczono mnie, że należy szanować ludzi, bo ten szacunek do nas wraca. Tyle tylko, że teorię miałam wykutą na blachę, ale nie zastosowałam jej w praktyce. Najkrócej, to właśnie zabrakło mi odwagi i zwykłego poczucia przyzwoitości!

Tak sobie myślę, że gdybym teraz chciała ułożyć sobie życie na przykład z Rafałem, to strach myśleć, co zrobiłabym w istniejącej sytuacji. Czy mogę wyjechać, zostawić moich osiemdziesięciolatków samych? Pozbawić ich kontaktu z ich ukochaną Kama? A może to tu ściągnąć pana inżyniera? Paranoja, sytuacja bez precedensu!

Z drugiej strony, nie muszę jeszcze rwać włosów z głowy – to tylko piosenka przez telefon i tylko wierszyk! No właśnie, historia się powtarza, Rafał wówczas był jeszcze na etapie wzdychania, zbierania muszelek i przesyłania w listach zasuszonych kwiatków, a Artur po prostu był szybszy... A kto szybko daje, dwa razy daje!

* * *

Kama dzisiaj wyjątkowo pojechała wcześniej – zmiana turnusu, więc wyłoniła się możliwość przedłużenia jej zabiegów i ćwiczeń. Umówiliśmy się na spotkanie punkt trzynasta przy dworcu kolejowym i zaplanowałyśmy zakup spodni i lupy. Nie obejdzie się, co jest już regułą pobytów w Ciechu, bez przyjemności pójścia na lody i zamówienia wuzetki z herbatą w kawiarni „Orbis”. Do odejścia autobusu mam dużo czasu, więc wałkonię się, siedząc na tapczanie z czekającym na przeczytanie „Twoim Stylem” w ręce. Ten kolorowy, nowy na polskim rynku miesięcznik to prawdziwy powiew Zachodu. Lubię przewracać śliskie strony pisma, patrzeć na piękne makijaże i najpierw czytać tytuły artykułów – mniej lub bardziej wydumanych. Można w swoich czterech ścianach, na swój sposób, zazdrościć bohaterom cudownego, kolorowego jak ich make-up, bezstresowego życia. Oni tam nie mają żadnych zmartwień, kochają się namiętnie i zmieniają partnerów jak rękawiczki. W założeniu czytelnik ma gryźć palce ze wściekłości

i przysięgać sobie w duchu: jeszcze was przeskoczę! Ostatecznie na wieczorne czytanie wybieram sobie dwa duże artykuły, a teraz układam się wygodniej, aby przeczytać o nowościach filmowych. Zdążyłam przeczytać zaledwie dwa pierwsze zdania, kiedy słyszę pukanie do drzwi i jednocześnie zapraszający głos mamy: „proszę wejść”. Jakaś cicha wymiana zdań i okrzyk mamy, z którego wyławiam tylko pojedyncze słowa: „O mój Boże... to nie może być prawdą... nie żyje, a jeszcze wczoraj...”. Słyszę, że mama jeszcze coś dopowiada, więc doskakuję do okna, aby zobaczyć, kto mamie przyniósł hiobową wieść, i od razu domyślam się, o kogo chodzi. Narzucam podomkę, wychodzę do nadal stojącej na progu mamy. Widzi, że patrzę za odchodzącą kobietą, więc mówi:

– Ewuniu, czy wiesz, co się stało? Pani Konieczko była z wieścią, że Marychna Zarychta nie żyje! Stara Olejniczakowa rano przyniosła mleko i odkryła jej ciało leżące w przedpokoju. O mój Boże kochany, a wczoraj jeszcze planowała, co upiecze na sobotę. Jakie to kruche jest życie człowieka, jakie kruche – lamentuje. Za chwilę przychodzi tato z pieczywem i też opowiada, co usłyszał o nagłym końcu życia pani Marii.

To nici z wyjazdu, nie zostawię mamy takiej roztrzęsionej, trzeba to wszystko ogarnąć rozumem. Co najważniejsze, muszę zadzwonić, najlepiej natychmiast, do gabinetu fizjoterapeutów, aby przekazali pacjentce Kamie powód zerwania umowy o naszym spotkaniu. Wstawiam wodę na herbatę i zagarniam staruszków do pokoju. Mama wyskakuje z pomysłem wyjścia i osobistego zainteresowania się, czy syn Marii już jest zawiadomiony, ale kolejne przybycie Konieczko wyjaśnia wszystko.

– Pani Zosiu, przyjechał Stach, jest zupełnie trzeźwy. Nasza Marysia ucieszyłaby się, że jednak potrafi być człowiekiem, gdyby go takim widziała. Jest też jego Alicja z dziećmi i już wszystkim się zajęli. Jak oni wrócą z plebanii i będą znane ustalenia o pogrzebie, poinformuję państwa – przekazuje nam sąsiadka.

Osobiście dziękuję jej za fatygę i informacje, a jednocześnie cieszę się, że mama nie ma żadnych zadań specjalnych związanych z tą sprawą.

Pod pozorem gwałtownej potrzeby wietrzenia kuchni zapraszam ich do pokoju na czekającą na stole herbatę, nie wspominam o śniadaniu, bo nikt z nas nie mógłby teraz nic przełknąć. Dłuższą chwilę siedzimy razem przy stole i milczymy, ale dla rozładowania atmosfery i żeby coś powiedzieć, sięgam po wór z moimi retrospekcjami ze szkolnych czasów i wspominam, jak to było na próbach kółka teatralnego, które prowadziła pani Maria. Przypominam rodzicom, jak przyswajając sobie tekst roli prosiaczka, uczyłam się chrząkać. Z kolei mama wspomina, że upierałam się, aby do tej roli mieć umalowane na różowo usta, bo małe świnki są różowe. Niewiele to wszystko dało, atmosfera nadal minorowa. Chwilę później przynoszę gazetę i proponuję im godzinę dla prasy, z czego oboje korzystają, rozdzielając sprawiedliwie dziennik na pół. Ja tymczasem wyteżam

umysł, ostatnio daleko odsunięty od spraw kuchni, i układałam menu dzisiejszego obiadu. Zaglądam do lodówki i zastanawiam się, co z tego, co tam jest, można zrobić na obiad. Po oglądzie zarządzam sama sobie – zupa jarzynowa na rozmrożonym przed chwilą rosolu i naleśniki z serem. Wrzucam opakowanie mieszanki do małej ilości wody, po ugotowaniu chlupnę dla lepszego smaku mocny wywar wołowy i śmignę do sklepu po śmietanę do zupki i ser. Wcześniej jednak rozrobię ciasto, żeby miało swój czas na odstanie. Trzy całe jaja rozbijam mikserem i za pamięci solę. Dosypuję mąkę i wolno dolewam mleko. Moją dobrze roztrzepaną mieszankę, przypominającą gęstniejącą śmietanę, wzbogacam łyżką oleju i odstawiam. Uff, kuchnia to nie moja bajka! Ale jak dotąd idzie mi zgrabnie.

W sklepowej kolejce wszyscy rozmawiają o zgonie zasłużonej nauczycielki, byłej więźniarki obozu koncentracyjnego i udręczonej matki. Są wśród nich i tacy, którzy pomstują, że była niedostępną paniusią zadzierającą nosa – pewnie to ci, co pamiętali jej dwóje ze swojej nauki. Kiedy wracam do domu, jarzyna jest dogotowana, a właściwie uparowana. Dolewam rosółek i całość doprawiam śmietaną z mąką, a moja jarzynowa staje się aksamitna. Już wypalona, a właściwie wysmażona patelnia pomaga mi upichcić stertę złotych naleśników. Jeszcze dokładam serowe nadzienie i już składam je w książeczkę, a w ostatniej chwili podsmażę na rumiano.

Kiedy za jakiś czas uchylam drzwi, wcześniej dokładnie domknięte pod pretekstem lecącego śwędu smażeńiowego, widzę moich staruszków przy wystygłej herbacie, z gazetą odłożoną na kolana, i zaraz się domyślam, że powrócili do wspomnień o świętej pamięci przyjaciółce. Jestem przekonana, że nadchodzące dni będą trudne...

* * *

Żeby zagospodarować ranek, zaplanowałam przejrzenie raptularza z kufra pramatki. Sama nie wiem, czy tych kilka dni w trującej kąpieli ze spreju wystarczyło za wymaganą kwarantannę. Według tego, co mówiła Ruda, dezynfekcja, jaką stosuję, daje dużą gwarancję wybicia w pień tego, co tam ewentualnie jeszcze mogłoby żyć. Szczerze mówiąc, zżera mnie tak wielka ciekawość, że z narażeniem życia wezmę się za ten rękopis. Tym bardziej że domyślam się, kto jest jego autorem.

Kajet sprawia wrażenie wysuszonego po wcześniejszym zawilgoceniu, a jego kartki lekko się zmarszczyły. Odór starzyzny dominuje nad zapachem specyfiku na grzyby. Mięciutką ściereczką usuwam kurz z wierzchu, z grzbietu i brzegów. Zamiast szaroburej okładki jawi mi się twardy kartonik oklejony papierem o wzorze zielonkawo-szarego marmurka ze złotawymi żyłkami. Małe trójkątiki narożników i długość grzbietu zeszytu są zabezpieczone całkiem dobrze trzymającym się czarnym płótnem. Na tylnej stronie okładki widnieje plama, jakby

lekką zmarszczoną, z nalotem starej pleśni po czymś wilgotnym. Na przedniej – ledwie widoczna naklejka z tytułem zeszytu „Mój manual”. Trzeba przyznać, że nazwa nie ma w sobie nawet krzty pretensjonalności. Można przypuszczać, że jeżeli pisała go prababcia Florcia, to nie zakładała, że te jej pierwsze notatki w brulionie przyjmą formę pamiętnika, dziennika czy – tak jak ktoś nazwał – manualu. Ba, trzech jego części!

Gdy tylko otwieram tajemniczy dzienniczek, rozwiewają się wszelkie moje wątpliwości. W narożniku lewej wewnętrznej strony okładowej znajduję napis „*Florentyna Radomska, Warszawa*”. HUUURRA! Odnalazłam najważniejszą informację o autorce tych notatek. Chyba po raz pierwszy serdecznie ucieszyłam się ze znalezienia tej najprawdziwszej pamiątki, napisanej ręką mojego faktycznego przodka. Z pierwszych linijek starannie pisanych liter, kreślonych jeszcze nieporadnym kaligraficznym pismem, można wnioskować, że Florentyna była wówczas bardzo młodziutką dziewczyną. Absolutnym dowodem na jej młody wiek i nieporadność operowania piórem były rozsiane gdzieniegdzie... kleksy. Kolejne zapiski opatrywała nazwami dni tygodnia. W przypadku tej pierwszej notatki widnieje poniedziałek. Często pisała miesiąc cyframi rzymskimi i jaki jest kolejny dzień, ale brakuje roku. Pierwsze zdania poświęcone są atencji i wdzięczności dla kochanej ciotki Emilii Radomskiej-Klemensiewiczowej. Napisała: „*ciotunia najpierw klóciła się i klóciła, aż wreszcie przekonała papcia do pensji pani Sikorskiej w Warszawie. Kocham ją za to, bo chcę z całego serca się uczyć*”.

Ciocia Emilia to zapewne siostra ojca naszej Florci. Pierwsze kartki wypełnia pełen egzaltacji opis szkoły: „*nasza pensja jest wspaniała, stoi na rogu ulicy Marszałkowskiej i ulicy Królewskiej. (...) lubię chodzić razem Janeczką Dowggi... po szerokich schodach i słyszeć szelest naszych długich sukien, których falbana sięga do stopnia. Do internatu jest blisko, parę kroków na Królewską. Obok mnie z prawej śpi śmieszka Izabela, ona pochodzi z dużego majątku w Rzeczycy, a z drugiej strony swoje łóżko ma Janeczka. Ona tak jak ja pochodzi z Radomia, ale wcześniej jej nie znałam bliżej. Rachela Goldberg jest ze Lwowa i ma piękne czarne loki, ale nie może ich nosić rozpuszczonych, nawet jak jesteśmy w bursie, to musi je wiązać ciasno. Przyjechała dwa miesiące po rozpoczęciu roku i teraz nadrabia cały materiał. Każda z nas jej pomaga, bo jest bardzo miła i uprzejma. Jak stłukłam jej ulubioną filiżankę, to tylko powiedziała «mazel tow» i machnęła ręką. Pod samym oknem stoi łóżko Eli Kolskiej, ona nie jest grzeczna i ciągle chodzi naburmuszona. Jej nie podoba się nic, ani nasz pokój, ani sprzęty, nawet widok za oknem. Dąsa się na nauczyciela od nauk przyrodniczych (...) nie przystoi. Nawet (...) i ostre reprimendy nie pomagają*”. O proszę, jakaś zbuntowana małolata, a nasza Florcia tego nie pochwała!

Z wrażenia zaschło mi w ustach. Te zapisane w zeszycie spostrzeżenia,

tkliwość, wzruszenia, ekscytacja młodziutkiej dziewczyny obrazują atmosferę życia dziewcząt z końca wieku. Muszę zrobić sobie przerwę na szklankę kawy. Zrzucam rękawiczki, kitelek i planuję przestój. Oczywiście aż do jutra, dzisiaj o piętnastej odprowadzamy na cmentarz panią Zarychtę.

* * *

Płyta kuchni węglowej zajęta, mama pitrasi coś w trzech garnuszkach, więc całe pomieszczenie zaparowane po brzegi. Usiłuję wtajemniczyć ją w rewelacje odkryte z treści brulionu, jednocześnie włączając grzałkę. Nie dziwię się, że nie przejawia zbytniego zaciekawienia. Jest myślami daleko, daleko i nawet nie zachowuje pozorów zainteresowania. W to miejsce opowiada mi o swoich ustaleniach.

– Nie dokładam do ognia, niech wolniutko zgaśnie. Później obiad podgrzejemy na elektrycznej maszynce. Tato zaraz wróci z wiązanką kwiatów i idziemy na mszę razem. Ty zaczekaj na Kamę i spotkamy się przy bramie głównej przed wyjściem konduktu z kościoła. – I odchodzi do pokoju przygotować się do wyjścia. Na widocznym miejscu, żeby w pośpiechu nie zapomnieć, kładę dwa znicze, które zapalimy na usypanym świeżo grobie. To będzie dla nas wszystkich bardzo ciężkie popołudnie.

* * *

Pod koniec pierwszego miesiąca wakacji, a jednocześnie na początku turnusu w sanatorium i zabiegów Kamy, przyszedł czas, aby z mamą przysiąść i zaplanować termin podróży do Warszawy. Tyle spraw się nagromadziło i tyle zadań. W pierwszym rzędzie muszę sprawdzić finanse, płatności, bo wyjazd pociągnie sporo grosza. Uzbierało się tego trochę: lekarz, wycena bransolety, desa, wizyta u wujostwa. A może, korzystając z neutralnego gruntu, zaplanować także spotkanie z Rafałem? Bardzo ważne będą rozmowy w ŻIH-u, przecież wieczornica tuż-tuż. Trzeba wszystko mądrze zaplanować, przede wszystkim pamiętając, że ten wyjazd obiecałam Kamie, więc wówczas nici z randki. Jeszcze jest parę godzin, podpytam ją, czy upiera się na wyjazd do stolicy, czy jednak skorzysta z zaproszenia cioci Julii i wybierze się z kilkudniową wizytą do ich domu.

To wszystko będzie później, ale teraz znów siadam do rozgryzania pamiętnika. Trudno to nazwać czytaniem, raczej domyślaniem się, co jest tam napisane. Atrament, którym kreślono litery, na większości kartki jest mało widoczny i niewiele wersów można przeczytać w całości. Składałam poszczególne wyrazy, drogą dedukcji odgaduję, co autorka chciała donieść, i dopiero z kontekstu chwytam ewentualny sens. Żebym zapamiętała treść zapisu, postanowiłam robić notatki, więc sięgam do szuflady po zeszyt i długopis.

Nasza Florcia w sztambuchu sporo miejsca poświęciła opisowi radomskiego

domu, rodzinie, a szczególnie ojcu i braciom. To ich imiona wymieniane są najczęściej i najczulej – Piotruś i Pawełek. Na każdej stronie odczuwa się, jak tęskni za najbliższymi, ale „(...) ukochana ciotunia bardzo ociera mi łzy i mówi, że za parę lat będę się śmiała z tego, bo będę szczęśliwa i wielce wykształcona.

(...) najbardziej lubię nauki przyrodnicze, historię, geografię i literaturę naszą. Uczę się dużo i chętnie, czytam różne zadane książki”.

To kujon jeden, te geny przywędrowały aż do nas. Nie wiem, jak to było u mamy, ale ja jeszcze w liceum starałam się być nieprzemakalną na wiedzę i walczyłam z genami. Hola, hola... Gdyby nie Babuszka – jak zdrobniale i ciepło mówiliśmy o naszej nauczycielce francuskiego – mogłabym skończyć edukację na szkole podstawowej i wylądować w miejscowej przetwórni owoców i warzyw. Pani profesor Makarewicz wzięła mnie na stronę i powiedziała krótko: „Wstydz się!”. Nie tylko dała mi reprimendę, ale przede wszystkim wzięła sprawy w swoje ręce i całkiem bezinteresownie udzielała mi korepetycji z języka francuskiego. Dzięki niej nadrobiłam braki w edukacji i uwierzyłam, że mogę w życiu wiele osiągnąć. Kiedy zdałam maturę, uradowana pobiegłam do mojej najwspanialszej pani profesor, aby się pochwalić. Zaprosiła mnie do swego małego mieszkanka, w którym na honorowym miejscu leżały sterty egzemplarzy „L’Humanité”, i poczęstowała pierwszą w moim życiu lampką czerwonego wina.

U naszej Kamy nie widziałam walki wewnętrznej w sprawie szkoły i nauki, smarkata przejęła genotyp bez szemrania. Pokręcona rodzinka, muszę jej opowiedzieć, kto ją skaził i skąd u niej taka wielka ciekawość świata.

„(...) codziennie chodzimy parami na spacer do Ogrodu Saskiego” – czytam dalej.

Faktycznie budynek pensji usytuowany był vis-à-vis tego pięknego parku. Spacerujące dziewczęta, pięknie ubrane i eleganckie, robiły furorę wśród przechodniów. „(...) ludzie zatrzymują się, żeby nas obejrzeć od stóp do głów. Wszyscy uśmiechają się do nas, matki spacerujące w parku pokazują nas swoim dzieciom i mówią o nas tak śmiesznie, ale miło: to idą panienki Sikorszczanki. Na spacery chodzimy obowiązkowo w kapeluszach, żeby zbytnio słońce nas nie spaliło. (...) zawsze idę w parze z Janeczką. Opowiadamy sobie o Radomiu, naszych familiach, nauczycielach, o naszych rodzinach, które już się poznały. Ona tak samo jak ja lubi czytać, tylko więcej zna słówek francuskich i sprawniej pisze. Jak się podciągnę w nauce, to jak Janeczka będę mogła czytać takie duże wolumeny.

(...) ciotunia mi opowiadała, że o naszej pensji piszą w Kurjerze Warszawskim, chwalą piękną szkołę i ambitny program nauczania”.

To dlatego kufer wypełniało multum różnych starusieńkich gazet, widać, Flora zbierała takie różne informacje o otaczającym ją nowym świecie. A tak swoją drogą, widzi mi się, że mogła to być bardzo ekskluzywna szkoła. Na jednej ze stron notesu dopatrzyłam się daty: 1876, pisała wtedy o nadchodzącym Nowym Roku.

To znaczyłoby, że moja protoplastka miała dwanaście, trzynaście lat, jak rozpoczęła naukę! Nic dziwnego, że bidulka tak bardzo tęskniła za rodziną.

Parę kartek dalej odnoszę już wrażenie, że oczy naszej Florci obsychały bardzo szybko. Kiedyś napisała: „(...) wczoraj tj. w środę byliśmy na ślicznej wycieczce plenerowej, oglądałyśmy różne drzewa i krzewy. Wszystkie rośliny wyglądają inaczej jak pół miesiąca temu, cały ogród zasłany kolorowymi liśćmi. Najwięcej było żółtych i takie też zbierałyśmy i układałyśmy w bukiety. Najładniejsze zasuszyłam i włożyłam do zielnika, ile razy tam zajrzę, to będę wspominała naszą wycieczkę. Zamiaruję namalować taką aleję jak ta, którą szliśmy w parku”.

To wszystko, co dotychczas udało mi się przeczytać, a raczej rozszyfrować w tym pamiętniku, wyjątkowo ucieszyło mnie i potwierdziło, że geny naszej trójki są identyczne z genem Florci – moja mama malowała na zamówienia, nawet przynosiła jej to niewielkie, bo niewielkie, ale dochody. Ja porywałam się też na kopiowanie Noakowskiego i Rapackiego, ale trzeba przyznać, że Kamie wychodzi to najlepiej. Niech dowodem będzie wspaniały portret dziadka Henryczka, który wisi na poczesnym miejscu w salonie.

„Sobota (...) codziennie chcę całować ręce Mamie i kochanego Tatki, że mogę tu tyle rysować, a rysuję chętnie, bo to lubię najwięcej. Jestem też członkiem chóru, ale tylko dlatego, że Izabela mnie prosiła.

(...) Janeczka udziela się bardzo w naszej gazecie, która nazywa się Nasz Dzwoneczek.(...) Tu dzieją się bardzo ciekawe rzeczy ze sztuką, to co bardzo lubię i co jest twórcze dla każdego.

(...) W naszej szkole nawet mieszka pani Deotyma, ciotunia opowiadała, że ta artystka nazywa się naprawdę inaczej, ale przyjęła taki alias i (...) ponoć pisze piękne wiersze i jest bardzo szalona. (...) ma swój salon literacki.

(...) dziś była kolejna prelekcja o literaturze, (...) były u nas dwie panie studentki, które zajmująco rozprawiły o książkach polskich.(...) od tygodnia czekam na przyjazd tatki, umówione już jest z cioteczką, że spotkamy się w jej domu. Przed południem przyślą po mnie konie i stary Józefacki zawiezie mnie na miejsce, a co najważniejsze (...) nakazane jest, że zabieram z sobą pełną tekę, by moje szkice pokazać Jakubkowi i Misiowi.

(...) tatko się zdziwi (...) opowiem o naszej wycieczce tramwajem konnym od Dworca Warsza (...) – (...) deńskiego, przez ulicę Marszałkowską, Królewską, Krakowskim Przedmieściem i Most Kierbedzia do aż Dworca Terespolskiego. (...) podobne to trochę do tacinego breka, tylko dłuższe”.

Wreszcie w tym karkołomnym czytaniu, a właściwie odgadywaniu, nabrałam wprawy. Z kilku dobrze zachowanych sylab składam wyrazy, trafiając w kontekst, trochę domysłu i wreszcie tworzę pojedyncze zdania. Tak też było z tym, jak to ona napisała, że Józefacki w koniki przyjechał po nią na stację.

W jednym zdaniu rozszyfrowałam „...facki”, a w innym „kochany nasz Józe...”. Jak tak się czyta, to w sumie są to dyrdymałki, pokazujące ciąg pozornie bez trosk dnia jeszcze dziecka, sporo smutku związanego z rozstaniem z domem rodzinnym przeplata się z fascynacją pensją, ale również pokazuje panujący tam dryl. Zauroczenie nowym miejscem, podziw dla nauczycieli i poznanie nowych koleżanek, to wszystko na szczęście troszkę rekompensowało rozstanie z domem rodzinnym. Ni mniej, ni więcej – światowe życie połączone było z ciężką pracą, wieloma obowiązkami i tęsknotą – dziecko weszło w nowy, nieznany świat. Przewracając kartki, natrafiam na fragmenty zasuszonych listków, których właściwie domyślałam się po zachowanych żyłkach. Są też jakieś byłe kwiatki – wyglądem przypominają przezroczyście skrzydła zasuszonego motyla. Jedna część, ni to transparentna roślina, ni celofan, przypomina bratka i o dziwo nawet zachowała anemiczny kolor błękitu. Reasumując, ten zeszyto-notatniko-pamiętnik jest zapisany dłuższymi i krótszymi wpisami. Zdarza się wyrwana kartka, jakaś fiszka z krótkim zapiskiem lub rysunek. Trzymam w ręku opisany przez moją „pra” kawał jej młodziutkiego życia. Przez chwilę porównuję ją z Kamą – to prawie równolatki, chociaż diametralnie różne czasy.

Jak tylko wzięłam do ręki następny kajet, niestety o ostrym zatęchłym fetorku, i spojrzałam na pierwszą stronę, rozczarowałam się. Nie jest to rękopis młodziutkiej Florci, tylko kogoś zupełnie obcego. Pismo kształtne, wyrobione, dla mnie – niechlujnej bazgrały – absolutna kaligrafia. Więc z podziwem patrzę na krój poszczególnych liter, a przede wszystkim na śliczne i wyjątkowo wypracowane inicjały. Jedno, co jest pewne, to że autorem jest oczywiście kobieta. Widzi mi się, że jest dużo starsza – może być nauczycielką, guwernantką opisującą różne fakty, jakie miały miejsce w dworku koło Hrubieszowa.

„Mimo że zbliża się koniec lata, jest to bardzo ciepły dzień. Po ukończonych kursach (...), przyjechałam tu pociągiem, na stacji kolejowej w Zamościu czekała na mnie kolaska w dwa konie (...). Droga dłużyła się okrutnie, pod wieczór robiło się już chłodno, okryłam się peleryną i włożyłam rękawiczki. Póki nie zapadł zmrok, rozglądałam się z uwagą i podziwem dla pięknej o tej porze roku przyrody. Nieliczne ogrody pełne owocu wyglądały jakby ich nikt nie zbierał. Hrubieszów ominęliśmy, tylko z daleka widziałam wspaniałe kopuły cerkwi i wieżę kościoła. Dwór stoi prawie na samej granicy z miastem. Państwo są bardzo sympatyczni, najpierw wypytywali mnie o moich rodziców i braci, a później pokazali mi cały dom z dużą biblioteką. Komplementowali też moje referencje – «właśnie szukaliśmy kogoś takiego» – powiedziała pani. Mój pokój jest na facjatce, bardzo widny, wchodzi się tam po wysokich schodach. Przed samą kolacją przedstawiono mi obu chłopców, którzy mają na imię Kosma i Damazy”.

Ten fragment czyjegoś pamiętnika przeczytałam nawet z zainteresowaniem. Czuję się jednak trochę jak podglądacz zupełnie obcej mi osoby i nie podchodzę do

niego tak emocjonalnie jak do pisaniny Florentyny – to znaczy z sentymentem. Właściwie to zupełnie bez sentymentu, zastanawiam się natomiast, co ten zeszyt robi w naszym kufrze, dlaczego babcia trzymała go wraz ze swoim manualiem. I już miałam go odłożyć na bok, do rzeczy mało ważnych, kiedy na jednej z przewertowanych kartek dopatrzyłam się nazwiska panińskiego babci. Zaczynam wertować kartki w przód, do tyłu i jestem już pewna, że to pamiętnik dorosłej, wykształconej mojej prababci. Wszystko zaczyna mi się wolniutko klarować.

„(...) pozwól Cezary, że przedstawię ci pannę Florentynę Radomską, nową guwernantkę chłopców – powiedziała pani Maria Kaczkowska do swojego młodszego brata rezydującego w domu.

(...) zobaczyłam go dopiero dzisiaj, od kiedy tu jestem nie wychodził ze swojego pokoju. Kosma powiedział, że wujek jest bardzo chory i wyjeżdża do wód. Przyszedł do biblioteki, (...) koniec lata, a on jest blady i przeźroczysty.

(...) bardzo lubię o nim rozmawiać z chłopcami. Ma bardzo ładne ręce, długie palce wyglądają jakby nie miały kropli krwi. (...) mówi z namysłem, wolno, cicho. Najczęściej siedzi w bibliotece, z książką w ręku i zatopiony w zielonym uszaku.

(...) całą sobą czułam, że w czasie lekcji przyrody stał pod drzwiami i słuchał. Kiedy Damazy wychodził, o mało drzwiami nie rozbił wujkowi głowy. Pan Cezary po tym incydencie czmychnął i już nie widziałam go do rana”.

Kilkanaście stron dalej, sprawy zaczynają się już krystalizować, a Florentynce pan Cezary wprost przesłania świat.

„Przyszedł do biblioteki, odłożył książki na półki i podszedł do stołu, przy którym siedziałam z chłopcami nad podręcznikiem z francuską czytanką. Ucałował ich głowy, Kosma natychmiast poderwał się z krzeselka i wraz z Damazym rzucili mu się na szyję. Nastąpił wielki rejwach, aż zląkłam się, że to wszystko usłyszy ich matka. Miło było patrzeć, jak przed wyjazdem serdecznie żegnał się z siostrzeńcami. Podszedł do mnie, ujął mnie za rękę i trzymając ją w swoich chłodnych dłoniach, całował długo, zbyt długo. Tak krótko go znam, a wiem, że od chwili, gdy wyjedzie z dworku, dla mnie zapanuje pustka. Czułam całą sobą, że wiele by dał, żeby nie wyjeżdżać.

(...) dziś rano odwieźli ich na kolej. (...) pan Kaczkowski towarzyszył mu w podróży do Druskiennik. Prokop znosił kufry i paczki, wyjątkowo okazały ekwipunek zdradza, że wyjeżdża na długo. (...) nawet duża skrzynia z książkami. (...) był bardzo smutny i słaby, aż strach myśleć, jak odbędzie tę podróż. Cały czas stałam ukryta za firanką i starałam się, aby nikt mnie nie zobaczył. On ciągle zerkał w kierunku mojego okna, nim wsiadł uniósł rękę i pomachał. Konie ruszyły, a wszyscy nadal stali przed gankiem, długo patrzyli za odjeżdżającymi. Pani starała się, żeby nikt nie widział jak wciąż ocierała oczy.

Ile razy spoglądałam przez okno mojego pokoju, to za każdym razem widziałam starego Prokopa, jak zerka w moim kierunku. Raz mi się zdawało, że pokazuje mi coś białego, co trzymał w ręku. Miałam poskarżyć się pani za to niestosowne zachowanie. (...) kiedy przechodziłam koło niego, idąc do kościoła, bez słów wcisnął mi złożony na pół list.

Boże, jestem taka szczęśliwa (...) Cezary mnie kocha! (...) nawet nie mogę o tym nikomu powiedzieć (...). Tacie takich rzeczy jeszcze pisać nie będę, najwyżej ciotuni...

(...) Nie mogę znaleźć sobie miejsca, cały czas myślę o nim. Nawet jak chłopcy go wspominają, panuję, żeby nie rozplakać się z tęsknoty. Żeby tylko wyzdrowiał biedaczek...”.

No, to jestem już w domu, przecież między nimi trwa najprawdziwszy flirt! Wszystko staje się jasne: Florentyna jest wyraźnie zainteresowana braciszkiem pani Kaczkowskiej, a Cezary wzdycha do Florentynki. To jest ten Cezary od bransoletki. Tylko co on taki słabowity?

* * *

Mama wyjątkowo i z ogromnym zainteresowaniem słucha moich relacji o rewelacjach z pamiętnika i nie może uwierzyć, że po tylu latach rozsypujemy węzeł tajemnicy. Tylko nie zaskoczyła jej nazwa miasta Hrubieszów. – Przypominam sobie, jak babcia kiedyś opowiadała mi o swojej młodości, skarżyła się, że szczęście omijało ją z daleka. Kiedyś powiedziała dziwne zdanie, coś w tym sensie: „Panie Boże, dziękuję ci za Hrubieszów, bo tam byłam najszczęśliwsza”. Ale za żadne skarby nie mogłam sobie przypomnieć szerszego kontekstu. Faktycznie, zapamiętałam tę nazwę miejscowości, chociaż nie wiedziałam, gdzie to miasto leży – mówi mama. Nie daje za wygraną i żeby jeszcze lepiej pojąć tamtą sytuację, liczy, liczy i wylicza, że moment wejścia Florci w próg dorosłości przypadał właśnie na okres przedhrubieszowski.

– Wiesz, Ewuniu, zgadza się, wtedy matka mojej babki już nie żyła. Pamiętam z opowiadań, że od dawna i z upoważnienia jej ojca opiekę nad jej nauką na pensji i dalszym kształceniem Florentyny sprawowała jej ciotka. Moja droga, ale to wszystko było do czasu, później miały miejsce wielkie zawirowania w tej rodzinie, nie wiedzieć czemu przyszła nienawiść, rozpacz, wielki żal i jakieś tajemnice.

* * *

Zbliża się nasz wyjazd do Warszawy. Kama, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, absolutnie nie chce jechać. Wybrała kąpiele solankowe i... pływackie spotkania z Piotrusiem i Pawełkiem Okuńskimi. Teraz już wiem, dlaczego jeżdżąc do Ciecha, codziennie bardzo starannie zmieniała kreacje. Wieczorem

porozmawiam telefonicznie z Rafałem, powiem mu o tym szczególe i ustalimy nowy plan pobytu, uwzględniając tę zasadniczą zmianę „dekoracji”. Albo nie... niczego mu nie zdradzę, niech to będzie niespodzianką. Odpada również dotychczasowy gwóźdź pobytu w stolicy – wizyta u wujostwa. Tylko co ja po powrocie do domu opowiem o... Józeczkach? Albo uruchomię bajkę wyssaną z małego palca, albo wtajemniczę wujostwo, że chcę pobyc z chłopem. Odwołując wizytę lekarską, muszę też wymyślić jakąś przekonującą wymówkę dla doktora Rozenka.

Z jednej strony się cieszę, że wreszcie będziemy mieli więcej godzin dla siebie, ale wciąż zastanawiam się, czy dobrze robię. Dziwnie się składa, ale natychmiast znajduję usprawiedliwienie: ktoś zaufany musi mi towarzyszyć podczas wyceny bransoletki i ewentualnej sprzedaży cacka. Z tego, co wiem o aktualnym rozkładzie jazdy pociągów, będę w Warszawie o cztery godziny wcześniej od przyjazdu pociągu ze Szczecina. W tym czasie odwiedzę ŻIH – planuję szefowi działu historycznego wręczyć zaproszenie na wrześniowe spotkanie. Wskoczę do Syreny popatrzeć na buty i oczywiście na kiecki do Domów Centrum. Hortex z orzechowymi rożkami zostawię na nasze wspólne z Rafałem buszowanie po stolicy.

* * *

Do Warszawy dotarłam – tak jak się spodziewałam – kilka godzin przed Rafałem. Zdążyłam więc pobiegać już po mieście i załatwić kilka spraw. I trochę się zagapiłam – o mały włos, a nie dałabym rady w porę podjechać na dworzec, żeby przywitać Rafała. W ostatniej chwili wbiegłam na peron Dworca Centralnego, pociąg ze Szczecina z piskiem wyhamowywał. Pasażerowie rozchodzili się w różne kierunki, ale nigdzie nie widziałam Rafała. Dopiero pocałunek odcisnięty na moim policzku przekonał mnie, że jest już ze mną. Wyjaśniło się też, dlaczego ten całus był taki niewinny. Rafał, przekonany, że gdzieś w pobliżu stoi Kama, zachowywał pozory. Wiedział też, że jest Panem Kontrolą, jak powiedziała o nim kiedyś moja córka. Na okoliczność spotkania z nią był dobrze przygotowany, trzymał w ręku torebkę upominkową, jak się okazało z bajeranckim srebrno-turkusowym walkmanem. Zaśmiałam się nerwowo i krótko wyjaśniłam powód absencji Kamy, a Rafał tylko uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Dobrze dziewczyna wykombinowała, jestem jej wdzięczny. A ty nareszcie jesteś sobą, lubię, jak się śmiejesz – powiedział i ujął mnie pod rękę. Ruszyliśmy do drzwi wyjściowych z dworca, a Rafał wypytał mnie o program dnia. Kiedy powiedziałam, że została nam tylko wizyta u „bransoletkowego” rzeczoznawcy, z radości ścisnął mi dłoń.

* * *

Cóż z tego, że zdecydowałyśmy się na sprzedaż naszego skarbu, skoro nie mam nawet wyobrażenia, jak dokonać tej transakcji. Przede wszystkim nie mam zielonego pojęcia, ile mogę za nią żądać. Ostatecznie poradzono mi spotkanie z gemmologiem współpracującym z galerią biżuterii dawnej i to był strzał w dziesiątkę. Ruszyliśmy w kierunku autobusu jadącego na Nowy Świat. Na miejscu przyjął nas bardzo dystyngowany pan o nienagannych manierach i „wielu twarzach”: rzeczoznawca, gemmolog, biegły sądowy i oczywiście jubiler. Lekko znudzony, patrzył mi na ręce, kiedy wyciągałam moją kosztowność z papieru, a następnie z flanelowego zawiniątka. Ożywił się dopiero, gdy wysupłaną z węzełka bransoletkę położyłam na wąskim kontuarze w jego mikroskopijnym kantorku. Przez kilka sekund patrzył na nią, później jakby pytająco na mnie. Zapalił lampkę z mocną żarówką, sięgnął po tackę wyłożoną welurem, wciągnął białe rękawiczki i dopiero wówczas delikatnie palcami ujął kosztowność.

Obsługa salonu podała nam różnokolorowe katalogi i wcześniej zaoferowaną kawę. My patrzyliśmy na ręce rzeczoznawcy, nie spuszczać naszego skarbu z oczu. Obracał tę ciężką biżuterię w dłoni, wpatrywał się w nią pod różnymi kątami, lupką zgłębiał centymetr po centymetrze, liczył kamienie i notował. Na końcu położył ją ostrożnie na szalkę wagi, przez chwilę dokładał i odejmował malutkie odważniki. Przy każdym ruchu jego ręki bransoleta efektownie połyskiwała. Twarz jego robiła się lekko zaróżowiona i spocona.

Nerwowo łypał w naszym kierunku, raz na mnie, później na Rafała, i czułam, że szykował się do rzucenia pytania z serii „skąd to macie, tacy to i owacy”. No, na właścicieli, którzy sobie ją kupili sami, na pewno nie wyglądaliśmy. Niepotrzebnie miałam te obawy, bo jednak nie powiedział nic takiego – był profesjonalistą.

– Chciałbym jeszcze skonsultować się z rzeczoznawcą z zaprzyjaźnionej Desy, gdyż moja opinia będzie miała tylko dziewięćdziesiąt dziewięć procent wiarygodności. W mojej ocenie, bransoleta pochodzi z pracowni Petera Carla Fabergé, złotnika Aleksandry Fiodorowny, żony Mikołaja II. Muszę przyznać, że bardzo rzadko widuję takie cacka. Jest to prawdziwy okaz z ujmująco pięknym i bardzo wypracowanym grawerunkiem wymownej dedykacji: „Ukochanej Florentynie – Cezary Puzyna”. Chcę zwrócić państwa uwagę, że grawerunek z całą pewnością został wykonany dużo później! – powiedział i ostrożnie ułożył biżuterię na wadze.

– Myślę, że z uwagi na wagę, bransoleta mogła nie być często noszona, była raczej szczególnym zamówieniem stanowiącym lokatę kapitału – dodał.

Żeby się lepiej poczuć, poinformowałam go, że obdarowana była moją prababką i to zrobiło na nim piorunujące wrażenie. Natychmiast zadał fachowe pytanie: czy po ekspertyzie bransoleta zostanie wystawiona na aukcję, czy tylko prywatnie robimy tę wycenę. Zaznaczył, że gdybyśmy zdeponowali ją do czasu

aukcji, wycena będzie gratisowa. Tym razem wtrącił się Rafał i poprosił o przygotowanie odpłatnej wyceny i na piśmie. Dodał: – Pani podejmie decyzję w późniejszym czasie.

Złapałam się na tym, że mówimy o wszystkim, ale nie usłyszałam nic o jej walorach. Fachowiec jakby czytał mi w myślach i informował: – Wagę już państwo znają, jest to wyrób złoty z końca dziewiętnastego wieku, próba 56, osadzonych jest trzydzieści osiem brylantów kameryzowanych w platynie o próbie 0,950 – ocenił. Tu zamarłam, gdyż nie zdawałam sobie sprawy, że te jasne obudowy dla kamieni to platyna. Ciągnął dalej: – Szlif kamienia to cenne rozety diamentowe. – Jeszcze coś dopowiedział o wspaniałym cyzelowaniu, osiemdziesięciu dwóch fasetach w rozecie, ale te wszystkie nowe dla mnie określenia mieszały mi się już w głowie. Tylko nasłuchiwałam, w którym momencie wreszcie padnie jej wartość. Nie padła jednak, bo teraz gemmolog uparł się, żeby nam ją opisać i zachwycać niespotykanym mechanizmem zapięcia. Oniemiałam, kiedy wskazał mi na zapince miniaturowe inicjały „F” i „C” – a ja do tej pory myślałam, że to jakieś nic nieznaczące esy-floresy.

Odłożył bransoletkę na turkusowy welur, rozejrzał się, jakby sprawdzając, czy w salonie nie ma nikogo postronnego. Do pomieszczenia wszedł jednak właśnie jakiś mężczyzna w kapeluszu i zatrzymał się przy szklanej gablocie, w której wystawione były zegarki na rękę. Rzeczoznawca pokręcił głową z niezadowoleniem. W końcu sięgnął po notatnik, który miał schowany pod ladą i na białej kartce zaczął pisać długi ciąg cyfr. Następnie podsunął notes w moim kierunku i, przybierając ton urzędnika, powiedział po cichu: – Na tyle wyceniam to cacko. Jeżeli ta bransoletka byłaby wystawiona na aukcji, to, rzecz jasna, osiągnięta cena może znacznie przewyższyć podaną przeze mnie estymację. Terminy wszystkich aukcji biżuterii, które odbędą się do końca tego roku, wręczymy państwu razem z wyceną i wszystkimi namiarami na nasz salon. Od wyceny do sprzedaży jest jeszcze długa droga, musi się znaleźć amator tego cacka. Życzę państwu powodzenia – ostatnie zdanie wypowiedział już normalnym tonem.

Swoją uwagą rzeczowo mnie ostudził, ale i tak byłam nienaturalnie spocona! Rafał zachowywał zimną krew, podziękował za jego pracę, poprosił o dokument – certyfikat, jak w międzyczasie poprawił go rzeczoznawca. Jednocześnie dopytał się o koszt wyceny. Znając mój charakter, łatwo się domyślić, że bransoletka zabezpieczona flanelową szmatką spocznie w mojej torebce i przejedzie się z powrotem na Kujawy. Oczywiście, że nie odbiorę naszej siwiutkiej luksusu podjęcia ostatecznej decyzji. Mama zaopatrzona w informacje i certyfikat, gdzie czarno na białym będzie widniała bajońska dla nas suma, sama zdecyduje, co dalej zrobić z bransoletką. Jedno jest pewne: że, podobnie jak mnie dzisiaj, mile zaskoczy ją proponowana cena. Jak powiedział rzeczoznawca, od kwoty wymienionej na kwicie wyceny do takich właśnie pieniędzy w ręku może być

bardzo długa droga. Nasz biegły od biżuterii dodatkowo wręczył nam elegancki katalog z kalendarzem najbliższych aukcji i poinformował, że za dwie godziny pełna ekspertyza będzie do odbioru – tu wskazał na przystojną i piersiastą blondynę – u pani Joanny. Widać było jednak, że coś go dręczy. Wszedł zza lady, poufale objął mnie ramieniem i szepnął, lekko nachylając się w moim kierunku: – Mili państwo, może nie powinienem tego mówić, ale nie warto się pozbywać takiego skarbu. Tylko desperat wystawiłby to teraz na aukcję, kiedy wartość złotówki taka niepewna. Ale gdyby szanowna pani chciała, mógłbym, już całkiem prywatnie, poszukać jakiegoś zagranicznego nabywcy. Proszę to przemyśleć – podsumował. I dodał głośno i ostentacyjnie: – Moje uszanowanie, miło było państwa poznać. Polecamy się na przyszłość. – I wycofał się na zaplecze.

Byłam zadowolona z przebiegu i efektu spotkania z gemmologiem, ale też nieco skonsternowana. Chciałam już być daleko stąd. Powód bardzo prozaiczny – byliśmy bardzo głodni. Ja po cienkiej herbacie wypitej w Warsie, Rafał nie jadł nic konkretnego od wczoraj, a było już popołudnie. Poszliśmy pieszo w dół, przeszliśmy Krakowskim Przedmieściem, Piwną i pokonując po dwa schody, dotarliśmy do upatrzonej wcześniej sali restauracyjnej. Dopiero teraz miałam chwilę, żeby popatrzeć na twarz Rafała. Wyglądał na bardzo zmęczonego, wprawnie kamuflował to uśmiechem i ciągłym zadawaniem pytań. Trzeba przyznać, że z ogromnym zaangażowaniem wszystkiego słuchał i odpowiadał na moje pytania. Niewątpliwie lubimy być ze sobą.

Szczęście, że na kelnera z menu nie czekaliśmy długo. Propozycje jadłospisu tylko przeleciałam wzrokiem i wyłowiłam barszczyk z krokietem. Zamówiłam dwie sztuki i pieczeń cielecą z dodatkami. Co głód robi z człowieka! Chciałam dodać, żeby tylko porcje były duże, ale nie wypadało robić aż takiej wiochy. Rafał powielił pomysł z barszczykiem, ale na drugie zamówił sznycel po wiedeńsku i marchewkę z groszkiem. Umówiliśmy się, że herbatę zamówimy w połowie jedzenia drugiego, żeby była gorąca. Zamiast delektować się daniami wcinaliśmy je, nie odkładając sztuców nawet na chwilę, nie rozmawialiśmy też za dużo. Dopiero po jakimś czasie tempo jedzenia normalizowało się, ruchy rąk powolniały i stawały się pełne gracji. Doszedł element wymiany poglądów na temat smaków, przypraw, szlachetnego aromatu herbaty i już wolniutko wkradał się pierwiastek melancholii, aż wreszcie obok tego bon tonu dostrzegliśmy za oknami... szarówkę. To nas zmobilizowało do natychmiastowego wyjścia z lokalu, bo do zamknięcia galerii zostało tylko trzydzieści minut. A tam czekał nasz certyfikat! Było wiadomo, że z Rynku Starego Miasta trzeba ruszyć biegiem i dalszy dystans, trzy przystanki, dla zyskania czasu pokonać autobusem.

* * *

Hotel Polonia wyglądał tak, jakby wcale nie minęło blisko szesnaście lat od

naszego ostatniego tutaj pobytu. Czas tu się zatrzymał, co poznałam po kolorze elewacji, charakterystycznym kształcie drzwi wejściowych, widnym holu, eleganckiej recepcji i szerokich schodach. W pokoju okazało się, że my też się nie zmieniliśmy, że chcemy trzymać się za ręce, bez końca przytulać, całować i raczej niewiele mówić. Zastanawiam się, czy to możliwe, że uczucie sprzed lat nigdy nie umarło. Argumentem może być to, że tamta iskra przetrwała i teraz przeradza się w najprawdziwsze zarzewie. Czyżbym nigdy nie przestała kochać Rafała? Jeżeli tak, to jak mam sobie wytłumaczyć fakt, że mój mąż – ojciec Kamy – był mi bardzo bliski i byłam z nim szczęśliwa?

Nasze plany, że tylko troszkę odpoczniemy i pójdziemy pospacerować, zawiodły. Tak naprawdę to nie chcieliśmy nawet schodzić do kawiarni, bo uznaliśmy, że szerokość stołów jest dla nas zbyt duża, że tam nie byłoby takiej bliskości, jakiej pragnęliśmy. Butelka Ciociosanu była dobrym pomysłem na ukoronowanie męczącego dnia, ale kiedy rozlaliśmy aromatyczny płyn do ostatniej kropli, to już nie chciało się nam nawet podnosić z fotela. Doskonałe horteksowskie rożki, przemycona przeze mnie turystyczna grzałka i rozpuszczalny szatan pozwalały na stworzenie własnej zacisznej kawiarenki. Może nie było to tak, jak podczas pobytu w kawiarni, ale ja nie zamieniłabym naszej spontanicznej atmosfery na żadną inną. Tam dodatkowo ktoś plumkałby na fortepianie, uwijałyby się kelnerki, ktoś wchodziłby i wychodził, a tu tylko my i do tego bez butów. Rafał ćmił fajkę nabitą aromatyczną mieszanką tytoniów z przewagą „Kapitana”, opowiadał o swojej pracy i ambitnych planach zawodowych. Dzięki jego spokojowi, naturalności czułam się doskonale, bezpiecznie i na luzie. Konsekwentnie nie wracaliśmy do przeszłości, Rafał był absolutnym mistrzem omijania tego tematu, gorzej było ze mną. Nawet przez chwilę nie pomyślałam o bransoletce, dotychczasowej bohaterce dnia, tylko od czasu do czasu jednak zerkałam, czy torebka leży na swoim miejscu.

W pewnym momencie przypomniałam sobie o panu Benedyckie. A może rano kupię coś słodkiego, wpadnę na Kopernika, porozmawiam z nim chociaż pół godziny? Tym nagłym pomysłem podzieliłam się z Rafałem. Wysłuchał, ale nie był nim zachwycony.

Złapaliśmy się na tym, że przez namiętne witanie się na dworcu zupełnie zapomnieliśmy sprawdzić połączenia powrotne. Trzeba to naprawić i mimo małego rauszu zdecydowaliśmy się zrobić tych kilka kroków na dworzec i spisać godziny odjazdów. Wchodziliśmy na halę główną trzymając się za ręce, rozbawieni i z rozwianym włosiem. W rozsuwanych automatycznie drzwiach minęliśmy znajomo wyglądające twarze. Odruchowo skinęłam im głową i niepewnie pozdrowiłam, bo byli do kogoś podobni, ale ich czarne ubrania zaskoczyły mnie i traciłam pewność, czy to na pewno ci, o których myślę. Oni minęli nas i gwałtownie się zatrzymali. Wówczas z całą pewnością rozpoznałam

w nich rodzinę Mroczkowskich, którzy pewnie przyjechali na jakiś pogrzeb. Kiedy przystanęliśmy przed tablicą z rozkładem jazdy, oni tkwili w tych rozchylnych drzwiach, z dużym wieńcem na przodzie, trzymanym przez najstarszego syna Waldka. Łypali swoimi oczkami w naszym kierunku z wielkim zainteresowaniem. Nawet moje taksowanie ich wzrokiem nie robiło na nich żadnego wrażenia, gapili się nadal. Po powrocie pani Helena będzie wszystkich informowała, kogo to spotkała w stolicy w męskich objęciach i z dobrze zaróżowionymi policzkami. Jestem pewna, że widzieli błysk w moich oczach, i zrozumiałam, że obaliłam mój dotychczasowy obraz statecznej wdowy. Stało się!

Poszukaliśmy na rozkładzie takiego pociągu, który w południe jedzie do Szczecina przez Kutno, Poznań, Szamotuły. Ostatecznie uzgodniliśmy, że do Kutna pojedziemy razem i tam przesiądę się na jeden z pierwszych pociągów do Aleksandrowa Kujawskiego. Wracaliśmy do hotelu noga za nogą, w mniej radosnym nastroju, bo niestety jutrzejsze rozstanie w Kutnie było tuż-tuż i już bolało. Rafał jednak nieoczekiwanie powiedział: – Więc zdążymy odwiedzić wdowca. Ale tylko na kilka minut. „Dzień dobry” i „do widzenia”, pamiętaj! – Ucieszyłam się serdecznie. Cały Rafał! Pocałowałam go tak, jak już dawno tego nie robiłam. Namiętnie i bardzo długo, aż się sama zawstydziałam.

* * *

Rano kupiliśmy w delikatesach duże paczki herbaty Lipton, nowy smak Earl Grey, kawę Lavazza, bombonierkę – oczywiście od Wedla – i butelkę winiaku Calvados. Całość dostała ładne opakowanie z firmowym logo. Nie było czasu na pieszy spacer, wskoczyliśmy do autobusu 175 i za pięć minut wysiedliśmy przy pomniku Kopernika. Kilka kroków w dół, gdzie stoi kamienica pana Benka. I już od wejścia miłe zaskoczenie, bo zobaczyłam u niego nowe drzwi z szybką. Zapukałam i w sekundę później otworzył mi jakiś młody chłopak. W pierwszej chwili pomyślałam, że pomyliłam drzwi, ale jednak wymieniłam nazwisko pana Benka i jakoś tak uniosłam torbę, akcentując, że my do niego z załącznikiem. – Spóźniła się pani, zaraz po jego śmierci mnie przydzielono ten lokal – powiedział. Oniemiałam i nie mogłam pojąć, jak to jest możliwe. Nowy lokator dopowiedział, że zmarł nagle, blisko dwa miesiące po swojej żonie. Szok, tylko tak mogę określić mój stan. Wyszliśmy przed dom i mimo że mijali nas przechodnie, nie mogłam opanować łez. Jak ja to powiem moim staruszkom?

* * *

Dochodziła osiemnasta, autobus z dworca zatrzymał się na rynku, kilka minut później byłam już w domu. Mój rodzinny komplet zastałam przy stole zastawionym szklankami z dopiero co wlaną herbatą. Tylko przed Mariuszem stała szklanka z mleczną kawą. Dobrze się złożyło, że na stole nie widziałam nic

słodkiego, więc kolorowa paczuszka z cukierni Bliklego zrobiła furorę. Kama zajęła się odwiązywaniem sznureczka i wyjęciem talerzyków. Tato poderwał się po szklankę dla mnie i za sekundę parowała aromatycznym napojem. Odświeżyłam się i dołączyłam do ciastkowych smakoszy. Zdawałam relację z wyjazdu, na zmianę wysłuchując zachwytów nad wyrobami renomowanej cukierni. Wszyscy byli jednak jakoś niezdrowo podekscytowani, a Kamie aż błyszczały się oczy. Mama zaczęła nas uciszać i wreszcie powiedziała: – Ewuniu, oni już wszystko wiedzą, nie mogłam dłużej trzymać tej sprawy w tajemnicy. Powiesz nam wreszcie, czego dowiedziałaś się w Desie?

Trzymałam ich w napięciu dość długo, chyba do skończenia drugiego ciastka, i wreszcie podałam wartość bransolety. Patrzyli na mnie z ogromnym niedowierzaniem i prawie przerażeniem. Niestety musiałam ich ostudzić i dodałam mądrość zasłyszaną od warszawskiego rzeczoznawcy, że należy się modlić, aby na aukcji znalazł się prawdziwy koneser i sypnął taką kwotę. Najtrzeźwiej zachowywał się tata, bo kiedy uzmysłowił sobie jej wartość, zapytał z przerażeniem w oczach: – Nie bałaś się, że ktoś może cię napaść i odebrać to cudo?

I to był właściwy moment, żeby dobrowolnie „przyznać się”, że właśnie przewidziałam takie okoliczności i tak się dobrze złożyło, że Rafał był moim osobistym bodyguardem. Mama spytała tylko: – Ten Rafał? I on chce cię jeszcze znać?

Potwierdziłam i już nikt tej wieści nie komentował, tylko Kama spojrzała na mnie wyjątkowo wymownie, jakby pytała, czy to ten Pan Kontrola, który wtedy był w Domu Kultury. Mama jednak nie wytrzymała i za chwilę filozoficznie i z przekąsem spytała mnie, czy spotkałam go w Warszawie przypadkiem. Byłam już trochę zła i tylko odpowiedziałam, że już dawno byliśmy umówieni na to spotkanie. I tym akcentem postawiłam kropkę nad „i”. Mariusz po bratersku, dla załagodzenia sytuacji, zapytał, czy bardzo się zmienił i że chętnie spotkałby się z nim i pogadał. Pamiętam, że bardzo się obaj lubili. Ale kopnęłam go lekko pod stołem, chcąc już zakończyć temat. Wyciągnęłam bransoletkę wraz z dokumentem i oddałam mamie. Przechodziła z rąk do rąk, oglądana ze zdwojonym podziwem, szczególnie dla jej największego waloru – twardo określonej wartości. Lampa nisko zawieszona nad stołem doświetlała kamienie, które wyjątkowo skrzyły i puszczały zajączki po całym pokoju. Dodatkowo wtajemniczyłam ich w procedury związane z udziałem i przebiegiem każdej aukcji, właściwie powtórzyłam tylko to, co usłyszałam w galerii.

W środku byłam jednak bardzo przygnębiona. Trudno było mi utrzymać fason i nie wyjść z roli. Siliłam się, by pokazać, że jestem radosna jak skowronek, nic się nie dzieje i wszystko jest cudownie. Wnikliwiej patrzyłam na moich seniorów i sama się do siebie uśmiechałam, widząc ich jędrność i witalność. Jedno

było pewne – na razie o panu Benku nic im nie powiem.

Oczywiście w pierwszej kolejności pamiętałam, aby upchnąć w kredensie kupione wczoraj dla pana Benedykta delikatesy. Nawet jest mi przykro na nie patrzeć.

Za chwilę skorzystałam z okazji, że Mariusz podniósł się od stołu, szykując do odjazdu, a mama, okryta chustą, wyszła odprowadzić go do furtki. Zrobił się ruch przy stole, więc mówiąc wszystkim dobranoc, skinęłam na dąsającą się Kamę i poszłyśmy do pokoju. Z walizeczki wyciągnęłam firmową torebkę Sony ze srebrno-turkusowym walkmanem w środku i podałam córce. Oglądała go na wszystkie strony, jednak jej zachwyty osiągnął apogeum wtedy, kiedy okazało się, że załadowany jest kasetą z jej ulubioną piosenką „Sen o Warszawie”. Pamiętam, jak wiele lat temu na okrągło słuchaliśmy z Rafałem płyty Niemena właśnie z tym utworem. Później zawsze przechodził mnie dreszcz, kiedy tylko usłyszałam ten utwór, a teraz wyszło na to, że ten przebój ma dodatkową zaletę – łączy pokolenia. Nie wiedziałam, że Kama zna słowa piosenki, z przyjemnością dołączyłam, najciszej jak można było o tej porze śpiewać, i *ad hoc* powstał rodzinny duet.

„Wydzierałyśmy” się szeptem. Kama dodatkowo „grała” przerywniki na gitarze prowadzącej – sądząc po karkołomnych chwytach po całym niby gryfie. Korciło mnie zawtórować jej „solówkę” na saksofonie, ale pomyślałam, że nie mogę się tak zupełnie błąźnić.

Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki piosenki, Kama z uśmiechem zapytała: – Ta taśma też od pana Rafała? – Kiedy przytaknęłam, odpała: – Coś mi się zdaje, że Kontroler ostatnią zwrotką chce ci przekazać jakąś wiadomość, jawnie zachęca cię do... ponownego spotkania w stolicy.

Przemilczałam tę mało taktowną złośliwość, ale zrobiło mi się trochę głupio. Inteligentna smarkata, rozszyfrowała mnie.

* * *

Niby zasnęłam natychmiast i mocno spałam, a obudziłam się jakaś zmęczona i rozdrażniona. Wiadomo, nie mogę zapomnieć o biednym Benedycku. Najchętniej obróciłabym się na drugi bok, nie myślała o niczym i o nikim albo pospała ze dwie, trzy godziny. Słyszałam, jak Kama z dziadkami świergotała w kuchni, więc nic dziwnego, że za chwilę otworzyły się drzwi i zobaczyłam w jej dłoni kubek parującej kawy z mlekiem. Tak naprawdę to tego mi było trzeba dla pełnego rozbudzenia. Wróciła do kuchni po swoją filiżankę z kakao, usiadła na brzegu tapczanu i przymilnie powiedziała: – Wczoraj byliśmy z dziadkiem u Wesołych, przywieźliśmy jajka i kaczkę. A wujek Mariusz kupił torbę chrupiących bułeczek. Tylko nie wiem, czy jest jeszcze boczek.

Po tym opisowym wstępie wiedziałam, że to ja muszę sprawdzić obecność boczusia w lodówce, bo na śniadanie marzą się jej sadzone – sama też nabrałam na

nie chęci. Gdyby nie ten gwałtownie wzmożony ślinotok, zamierzałam pogadać z Kamą o Rafale. Może jednak spacer będzie czasem odpowiedniejszym, więc sprawę odłożyliśmy.

Smakowite sadzone szybko znikwały z talerzy. Kiedy wycierałyśmy bułkami nasze talerzyki do czysta, mama przezornie doniosła masło, powidła i dosiadła się do nas. Z apetytem dopychałyśmy się słodką bułeczką i dolewkami napitków. Kama po ostatnim kęsie rozdała nam całusy i udała się do pokoju na... walkmanowy koncert T.Love. Mama natomiast zdała mi relację z tego, co się działo w domu, kiedy byłam w stolicy.

– Ewuniu, wczoraj, korzystając z tego, że przez kilka godzin nikogo nie było w domu, rozłożyłam się na stole z tym trzecim brulionem. W tym czasie przyjechała Julia, więc chwilę pogadałam, zaparzyłam jej kawę i zaangażowałam do przeprowadzenia dochodzenia. Wiesz, jaka ona sprytna i szybka, więc jej przydzieliłam czytanie, a ja robiłam notatki. Ciężko było jej rozszyfrowywać te hieroglify, ale się zawzięła, sylabizowała, a ja przelewałam sylaba po sylabie, wyraz po wyrazie na papier. Myślę, że to ją bardzo zafrapowało i w sumie dokonaliśmy epokowego odkrycia. Posłuchaj, co nam się z tego udało odszyfrować. – Spojrzałam na mamę i dostrzegłam dobrze zaróżowione policzki.

– Najpierw pokrótce ci streszczę, bo ta część pamiętnika była wyjątkowo czytelną. Więc tak: po powrocie tego Cezarego z kuracji uczucie między nimi wybuchło ze zdwojoną siłą. Same „ochy” i „achy”. Przez kilka kartek nic innego tylko Cezary i Cezary. Czuło się z tych zapisów, że jego siostra i szwagier im sekundowali, ale ni stąd, ni zowąd stan jego zdrowia gwałtownie się pogorszył i to jej lekarz tłumaczył, jak i co mu podawać. Przypomniam sobie, że babcia Flora, po ukończeniu pensji, kończyła też jakiś kurs sanitarny i trochę można ją usprawiedliwić, że przestała być nauczycielką chłopców, bo to ona pielęgnowała Cezarego oraz wykonywała zalecenia jakiegoś doktora. Z opisu wynika, że ten biedak cierpiał na białaczkę. W którymś miejscu przytacza ona w pamiętniku przebieg rozmowy z jakimś doktorem Marliczem i pada łacińska nazwa choroby, o tu zapisałam: „*leucaemia*”. Była poduczona, więc wiedziała, co to za wredna przypadłość. I teraz posłuchaj dalej:

„Nawet nie wychodzę za próg, zimno i śnieżnie. Dzisiaj Cezary czuł się jakby lepiej, był ożywiony i długo siedział oparty o poduszki. Rano spotkał się sam na sam z jakimś eleganckim mężczyzną, którego dobrze znała jego siostra. Mnie przy rozmowie nie było, bo poproszono mnie, abym zabrała chłopców do miasta. Nie mogłam odmówić, bo zaprzężone sanie już czekały...

(...) ciągle jestem senna i zmęczona. Jeszcze trzyma się mnie to zatrucie, pewnie po śniadaniowej wędlinie albo jajkach.

(...) zapachy z kuchni nigdy mi nie przeszkadzały, teraz mnie okrutnie męczą i aż kilka razy dziennie muszę wyjść na powietrze, zaczerpnąć powietrza”.

Takich wpisów i o takiej tematyce jest więcej i tu nam się objawił jej stan błogosławiony! Poczytasz sobie, to wypowiesz swoje zdanie.

Albo to, posłuchaj:

„(...) wszystko mnie boli, czuję się jak spuchnięta. Cezary bardzo niewiele mówi, a mnie jest nawet trudno koło niego siedzieć. Często krwawi, a ja nie znoszę tego zapachu. Coraz częściej rozmawiają z siostrą, coś uzgadniają. Kiedy wchodzę, jakby cichli... Mają przywieźć moje zamówione sukienki i mufkę futrzaną”.

Spotkałyśmy też w tekście pojedyncze zdania mówiące o ślubie, przygotowaniach do uroczystości i te tematy przeplatały się niestety z jego postępującą niemocą.

Posłuchaj Ewuniu:

„(...) kiedy indziej szalałabym z radości. A ja ze smutkiem patrzę na pierścionek, który właściwie to nie Cezary, ale jego szwagier pomógł mu wczoraj w zakładaniu mi na palec. Oczy mu błyszczały i cieszył się, że wszyscy najbliżsi byli wokół łóżka, ale samodzielne założenie było ponad jego siły. Wierzę w to, że dobry Bóg pomoże i Cezary wydobrzeje do czasu naszego ślubu”.

Kilka kartek dalej doczytałyśmy się nowych wieści i myślę, że one dotyczyły ciąży:

„(...) Byłam przerażona (...) powiedziałam mu o wszystkim najdelikatniej jak potrafiłam. Rozplakał się i tylko ścisnął moje ręce, gładził i całował na zmianę. Nie mówił nic, bo mu nie wolno się męczyć. Wyjątkowo zjadł cały obiad i obyło się bez gorączki. Czytałam mu (...), ale nie wiem, czy słuchał”.

Powtórzę ci swoimi słowami. Cezary nie chce iść do szpitala, „ona” – myślę, że chodzi o siostrę – jest dla niego bardzo pobłażliwa i na wszystko się zgadza. Nawet szwagier, pan Kaczkowski, jest mu uległy i tylko ciągle konferuje z lekarzami. *„Wszyscy go bardzo kochają, ale nikt tak bardzo jak ja”* – na końcu tak napisała.

Albo słuchaj tego: *„Dwaj lekarze na zmianę siedzą przy jego łóżku, (...) w nocy kolejny krwotok był tragiczny. Trzymałam go za rękę i to wszystko, co mogłam dla niego zrobić. Doktor Hermanowski zabronił mi przesiadywania przy Cezarym, polecił brak wzruszeń, spacerów i picie koziego mleka. Wreszcie przestały mnie męczyć nudności. Staram się nie płakać, bo wierzę, że on kiedyś będzie zdrowy. Temperatura go zabija, tak ciężko oddycha...”*

„(...) śniła mi się moja matka. Szła niosąc na wyciągniętych dłoniach czarną suknię (...) powiedziała, że będzie mi niedługo potrzebna. Nie chciałam jej przyjąć, ale mama przekonywała mnie, żebym odwiesiła ją do swojej szafy i niech sobie tam wisi”.

Ostatnia kartka na wpół wydarta, jakby kiedyś była mokra, zawiera czytelne tylko trzy wyrazy: *„...nie obudził się!”*. Myślę, że one dotyczą śmierci Cezarego. Nie doczytałyśmy się jednak, kiedy Cezary zmarł, nigdzie nie odnotowała ani

słowem o narodzeniu Emilii. Dziewczynka imię zapewne dostała po Klemensiewiczowej, ciotce Florentyny, której przecież tyle zawdzięczała. Jedno jest pewne: że ta jej córeczka była pogrobowcem, a ona była ni panna, ni wdowa, a na pewno nie mężatka. Jest jej zapis w pamiętniku, że w jakimś momencie do Hrubieszowa przyjechali z Warszawy wujostwo Klemensiewiczowie, jej ojciec i bracia. Musisz to sama sprawdzić, przekartkuj starannie ten pamiętnik i myślę, że odniesiesz takie samo wrażenie jak ja. Emilia zmarła, bo być może urodziła się przedwcześnie, a jeżeli w terminie, to mogła odziedziczyć tę nieszczęsną chorobę. Te wszystkie okoliczności i śmierć dziecka mogły być przyczyną wspomnianego zjazdu rodzinnego – skonkludowała.

Mama dobrze kojarzyła, nawet jej to szło lepiej niż mnie. Ale miała takie same trudności ze składaniem faktów, bo wyjątkowo zmurszałe brzegi, na których były daty, są absolutnie nieczytelne.

– Julia mi to podpowiedziała, a ty sama osądź: czy to wszystko nie układa się w całość? Przypominasz sobie tajemniczą wizytę mężczyzny w pokoju Cezarego? Przecież ona kilka stron w pamiętniku dalej zaowocowała zaręczynowym pierścieniem, zgadza się? To mógł być jubiler i to on został poproszony o wykonanie grawerunku na bransoletce – prezencie ślubnym. Wszyscy dopilnowywali, żeby w tym czasie Florentyna była z daleka od domu. Tak sobie myślę, że mimo ciężkiego stanu, z którego on może nie zdawał sobie do końca sprawy, chciał, aby to była dla niej niespodzianka. I teraz to, co najważniejsze, reasumując: można domyślać się, że bliscy nie oddawali Cezarego do szpitala, gdyż jego stan od dawna był prawdopodobnie beznadziejny i nie było dla niego ratunku. Po drugie, wiedząc, że babcia Florcia spodziewa się dziecka, wszyscy jego bliscy oszczędzali jej przeżyć i ukrywali przed nią najdrastyczniejsze szczegóły. Po trzecie, przeżycia przyszłej mamy w czasie ciąży i prawdopodobieństwo choroby odziedziczonej po ojcu mogły być główną przyczyną zgonu dziecka. Przyznasz, Ewuniu, że dla takiej młodziutkiej kobiety przeżyć dwa pogrzeby, nawet gdyby była heroiną, to ogromny stres – podsumowała mama.

* * *

Dzwonek telefonu sprowadził nas na ziemię, przerwał nasze rozważania i stawianie odważnych hipotez. Poderwałam się, bo domyślałam się, kto wykręcił ten numer i się nie pomyliłam. Stęskniony Rafał dziękował mi za warszawskie spotkanie i już układał plany na następne. Nie ciągnęłam tematu, zdawało mi się, że mama nadstawia ucho, więc jak panienka złapana na gorącym uczynku obiecałam mu tylko, że zadzwonię wieczorem i wróciłam do przerwanej rozmowy.

– Mamo, detektyw Borewicz to przy tobie pikuś! I zrobiłaś kawał dobrej roboty, tak powiedziałby sekretarz Gierek – skwitowałam z niekłamany podziwem. – A nasza Julia jaka zdolna – tu dodałam trochę z przekąsem, bo

w sumie nie byłam zadowolona z jej pomocy. Trzeźwo spytałam, myśląc oczywiście o bransoletce, czy czasem nie wtajemniczyła jej we wszystko. Mama uspokoiła, że to Mariusz wcześniej zastrzegł, żeby nie „rozpowszechniać tego tematu”. Uspokojona, ale nie do końca, zapytałam, jakie niespodzianki ostatecznie kończą ten pamiętnik i czy wiadomo, co działo się dalej z prababcią.

– Można się tylko domyślać, że po obu pogrzebach wyjechała z Hrubieszowa, razem z wujostwem Klemensiewiczami i zamieszkała w Warszawie. Ciotka zastępowała jej matkę i do niej miała największe zaufanie, a z drugiej strony, to po tych przeżyciach ktoś bardzo bliski musiał roztoczyć nad nią opiekę. Jak kiedyś opowiadała moja mama, babcia oddała się pracy z chorymi dziećmi. Kształciła się i ostatecznie pracowała jako dyplomowana pielęgniarka, chyba była siostrą przełożoną. Wspominałam ci, że zatrudniono ją w szpitalu Dzieciątka Jezus, ale nie mówiłam, że kiedyś było tam „okno życia”, pozwalające matce anonimowo i bez rozgłosu oddać dziecko. Sama widzisz, że to „okno” to dawny wynalazek. Pamiętaj, że właśnie w tym szpitalu leczył doktor Tymon Sobański herbu Junosza i oni tam się poznali i... pobrali – dopowiadała mama.

– Aż szkoda, że to już koniec, kod szyfru tajemnic rodzinnych złamany i trzeba się wziąć za remont „ostatniego” pokoju – dodałam z niekłamana radością.

– Tło historyczne dla naszej bransoletki jest już bardzo przejrzyste i czytelne. Domyślałam się, że Kaczkowscy, co prawda, nie musieli tego robić, ale byli prawymi ludźmi honoru i na odjezdnym wręczyli babci tę dedykowaną jej ślubną bransoletę, co było zgodne z wolą Cezarego.

– Masz rację, Sherlocku, że tak to wszystko mogło przebiegać. A sądząc po osobnym pakiecie listów słanych do Warszawy od Kaczkowskich z Hrubieszowa, utrzymywali nadal kontakt. Dla porządku trzeba zadać sobie trochę trudu i spróbować je rozszyfrować. Wiesz, dajmy je Julii, ona jest już zaprawiona w „czytaniu” pamiętnika.

Nie wiedziałam, jak dotknąć tematu sprzedaży bransoletki, ale teraz, po w miarę uporządkowanym tle historycznym i znanej proveniencji tej cennej biżuterii, zaryzykowałam: – Mamo, a kiedy chcesz sprzedać tę bransoletkę?

– Ja nie planuję jej teraz sprzedawać i to nie jest tylko moja, ale nasza wspólna decyzja. Zdecydowałam tak razem z tatą, Mariuszem i koniec. Bransoletka jest przeznaczona dla najmłodszego członka naszej rodziny, dla Kamy.

Nie kryłam piorunującego wrażenia, jakie zrobiła na mnie wypowiedź mamy.

– Dla Kamy? – naiwnie upewniałam się.

– Tak, Ewuniu. Jak sama się przekonałaś, bransoletka ma konkretną wartość i zabezpieczy jej start. Przed nią jeszcze tylko ostatnie klasy szkoły podstawowej, potem liceum, zleci ten czas jak z bicza strzelił, więc wówczas ją sprzedacie i pomożesz jej kupić mieszkanie, żeby nie musiała korzystać z akademika. Marzy

o dziennikarstwie, więc niech dopnie swego.

Chciałam oponować, ewentualnie jeszcze upewniać się, ale mama miała w planie kontynuowanie swojego monologu.

– Trzeba myśleć realnie, ty romansujesz z Rafałem i można domyślać się, że ten szczeciński szkutnik nie przyjedzie mieszkać tutaj. My z tatą jesteśmy bardzo starymi ludźmi, więc w przyszłości sprzedacie tę schedę i podzielicie się. Jesteś jeszcze młoda, a Kama dorośleje, więc ułóżcie sobie życie i bądźcie szczęśliwe. Tak naprawdę to Mariusz jest głównym tego wnioskodawcą, a ja i tata się pod tym podpisujemy.

Sama nie wiem, kiedy spod moich powiek wytoczyły się łzy. Nie podnosiłam ręki, żeby je wytrzeć, bo nie chciałam, żeby mama widziała, jak bardzo jej słowa mnie poruszyły. Po drugie, nie wiedziałam, co właściwie powiedzieć, bo decyzja moich najbliższych zaskoczyła mnie bardzo. Jednak największe wrażenie zrobiło na mnie stanowisko Mariusza, ale jednocześnie rozumiałam go – poczuł się odpowiedzialny, gdyż jest ojcem chrzestnym Kamy.

Dla rozładowania gęstej i poważnej atmosfery musiałam zmienić gwałtownie temat, więc wymyśliłam pytanie z tych „od czapy”: czy w naszym domu będzie jakiś obiad? Mamie też była na rękę zmiana tematu i odpowiedziała dowcipnie:

– Chodź, zrobimy jakieś kanapki.

Kiedy przeszliśmy do kuchni, okazało się, że na jej straży siedzi przy stole zaczytany tato, a w elektrycznym piekarniku... dochodzi kaczka z jabłkami – wynik wizyty Henryczka u Wesołych. A kiedy mama wysunęła brytfannę i uniosła pokrywę, zobaczyłam, że wokół tuszki pyszną się pięknie lekko pomarszczone jabłka pieczone w całości, nazywane „na jarzynkę” – wyjątkowy przysmak taty. Nasza gospocha postawiła na płytę przygotowane do gotowania ziemniaczki i podgrzała wczorajszą ogórkową.

– Zosiu, myślałem, że wypisałaś mnie z rodziny i pozbawiłaś wikt. Tylko ten zapach pieczonych jabłek trzyma mnie tu przy życiu – zażartował ojciec.

Faktycznie, zapach był zniewalający, rozszedł się po całym domu i nic dziwnego, że znęcona nim Kama wparowała do kuchni i zupełnie nieproszona rzuciła się do rozkładania sztućców. Było to jednocześnie sygnałem do grupowego mycia rąk, bo kaczuszkę, jak zwykle, będziemy pałaszować palcami. Na środku stanęła osobna miseczka na obgryzione kostki, żeby na talerzu były warunki do swobodnego tyłtania ziemniaczków w sosiku i miejsce na aromatyczne jabłuszka. Wszyscy przełtykaliśmy ślinkę i żalowaliśmy, że wcześniej trzeba jeszcze zjeść zupę. No, niech ktoś spróbuje postawić się mojej mamie!

Ja wciąż nie mogę się zdobyć na przekazanie smutnych wiadomości o panu Benedyckie. Myślę, że to będzie dla nich obojga bardzo przygniatająca wieść. Jeszcze przed moim wyjazdem do Warszawy wspominaliśmy człowieka, tato przypominał o wspólnie obalonym jarzębiaczkę, mama, że on zawsze taki

kulturalny i prawy człowiek. Oboje, że oni z Inką bardzo się kochali. Jak teraz moim starszkom powiedzieć o jego śmierci? A ja, jak sobie jeszcze przypomnę, że od pewnego czasu planowali go zaprosić, to sztywniej. Tak, tak... życie ludzkie można przyrównać do stąpania po kruchym lodzie. Nie jestem gotowa na tę rozmowę, więc jednak odłożę to na rano.

* * *

Rano, rano, wszystko na rano. Teraz dopiero do mnie dotarło, ile mam jeszcze pracy związanej z przygotowaniem wieczornicy. Tak to jest, jak w babie hormony buzuja i wybiera stołeczne romanse zamiast wywiązywać się z obowiązków. Dzisiejsze zebranie organizacyjne u kombatantów pomoże nam dokładniej podzielić zadania. Dowiem się, jak pan Józef Musiał planuje przygotować część oficjalną. Boję się jakiegoś długiego przemówienia, ale zobaczymy. Dla mnie najważniejsza i najtrudniejsza do przygotowania jest wystawa fotogramów, bo wszystko muszę skompletować: zamówić w zakładzie fotograficznym powiększone odbitki archiwalnych zdjęć, pożyczyć sztalugi, zrobić podpisy.

Przyglądałam im się – dziwne te zdjęcia – ludzie zatrzymani w kadrze mają uśmiechnięte twarze. Polacy i Żydzi wspólnie kopią rowy przeciwlotnicze i są przekonani, że wojna potrwa tylko kilka dni, jak się mówiło wówczas. Widać u nich, że traktują to zadanie *pro forma*. Może jednak nie do końca, bo to ich patriotyzm, nie tylko lokalny, nakazuje im manifestowanie postawy „to jest mój kraj, moje miasto i od nich wara!”. Jak wiemy, Niemcy się tym nie przejęli!

Ta rocznicowa wieczornica to wyjątkowa okazja do zaprezentowania właśnie tych zdjęć, pokazania wyjątkowej komitywy dwóch nacji. Rozczulam się, bo żywe twarze tych ludzi to już odległe wspomnienie. Dzisiaj to już przeszłość – ale oni byli wśród nas.

Prezentacja przedmiotów ukrytych i znalezionych w nogach stolika jubilera Jagody to bardzo prosta sprawa – ułożę je właśnie na tym stole. Sam mebel i oczywiście te jego skrytki będą właściwą ciekawostką. Kama z koleżankami z klasy zobowiązała się przygotować dekoracje na scenie, ja kupię kwiaty do wazonu na stół prezydialny. Mama zapowiadała, że na wypadek gości upiecze coś słodkiego do herbaty. Myślę, że zupełnie niepotrzebnie, bo żony kombatantów przygotowują poczęstunek, jak to powiedziały: „będziemy wspominać naszych Żydów, to zrobimy poczęstunek z kuchni żydowskiej”. Pani Ania puściła farbę i szepnęła mi: „zrobimy prawdziwy *kugel* i słodziutki *hamantasze*”. Cieszę się bardzo! To będzie taka lekcja historii z wkładką.

Ciekawa jestem, czy na nasze zaproszenie zareagują kuzyni – jakby powiedział Jagoda – „zacnej pani Głowackiej”. Oczywiście w liście nie pisałam, że czeka na nich „zerwany złoty łańcuszek i zegarek nie do naprawy” ich

ciotko-babci, więc zobaczymy. Wystarczająco tajemniczo brzmiało dla nich zaproszenie, więc to będzie sprawdzian, czy z niego skorzystają. Lubię ich obu, więc miło byłoby się spotkać.

Dziś ukazał się wielgaśny, okolicznościowy artykuł w gazecie. Redaktor „Pomorskiej” stanął na wysokości zadania i fantastycznie nakreślił tę historię, zadał sobie dużo trudu i odbył wiele rozmów z wiekowymi mieszkańcami miasta. Ludzie chętnie wspominali swoich dawnych sąsiadów. Wypowiadali się też tacy, którzy pamiętali Żyda Jagodę. Zgrabnie wplótł temat znaleziska i informacje o naszych dalszych poszukiwaniach właścicieli bądź ich krewnych. Ciekawie byłoby, gdyby tak zgłosił się ten Niemiec od zwitka niemieckich banknotów.

* * *

List od Rafała ucieszył mnie i dodał mi skrzydeł. Wreszcie był taki, jakiego go zapamiętałam, jakim był w Ciechocinku i Toruniu. Ani razu nie wspominał o tej swojej polityce. To końcowe: „Ewuniu, ogromnie tęsknię! Wymyśl coś, proszę! Spotkajmy się, proszę! Obiecałaś, że przyjedziesz!”. Te króciutkie zdania polechtały mnie i przekonywały, że jestem mu nadal bliska.

Obiecałam! Kiwałam tylko głową, bo nie wiedziałam, jak mam to zrobić. Co mam wymyślić? Co mam powiedzieć w domu? „Kochani, wyjeżdżam do Szczecina, bo Rafał mnie pożąda!”. Albo prościej: „Chcę się przespać z moim pierwszym chłopakiem!”. Wymyślę coś! Nawet mam pomysł!

* * *

Kwartet smyczkowy z toruńskiej szkoły muzycznej przyjechał prawie godzinę przed imprezą. I dobrze, bo mieli dużo czasu, aby nastroić instrumenty. Akurat zdążyli skończyć próbę, kiedy zaczęli przybywać ludzie. Pan Józef stał w drzwiach i wszystkim serdecznie witał. Nawet nie przeszło nam przez myśl, że pojawi się tyle osób. Cieszę się, że przezornie przygotowaliśmy więcej krzeseł. Przede wszystkim dotarli rozmówcy dziennikarza, z którymi teraz pan redaktor bardzo wylewnie się witał. Wystawa ustawiona w holu cieszy się dużym zainteresowaniem, wiele osób rozpoznaje na tych fotografiach swoich bliskich i znajomych. Co chwilę słyszę: „O, pani Wikcia”, albo: „Ten w czapce to Kubacki”. Z drugiego końca ekspozycji dotarły do mnie słowa: „Poznałam krawca Żyda Kowalskiego, a za nim stoi młody Graubert”. Ktoś głośno powiedział z niedowierzaniem: „To młoda Siwoniowa. Córka właściciela olejarni też kopała rowy?”. I ktoś odpowiedział: „Wszyscy kopali!”.

Zanim zaproszeni goście zajmą miejsca siedzące, podziwiają drugi ważny eksponat na tej sali – stół Jagody i przedmioty, które były w nim ukryte. Wpatrują się w te drobiazgi, jakby faktycznie szukali czegoś swojego. Zaskakujący jest udział młodzieży szkolnej i dla odmiany oczywisty – członków rodzin

kombatantów. Źle byłoby, gdyby te tłumy przybyły tylko na wieść o... degustacji kuchni żydowskiej. Ale jednocześnie pocieszam się, że sam temat spotkania jest wystarczająco ciekawy.

Większość obecnych tu osób jest mi znana, ale zobaczyłam też kilka twarzy zupełnie obcych. Wyjątkowo wyróżniała się bardzo ekscentryczna brunetka, dziewczyna o fryzurze przypominającej kanadyjskiego piosenkarza Charlebois, i druga – chuda jak modelka Twiggy. Na pewno to jakieś zabłąkane kuracjuszki z Ciechocinka. Są też chłopaki-kuzyniaki i to jest dla mnie najważniejsze, bo po imprezie zaproszę ich do domu. Antoś wyjątkowo posunął się w tuszy i łysinie, Tomek odwrotnie, ciągle wygląda młodo, krzepko. Kiedy dotarli moi rodzice, natychmiast zostali wyściskani przez naszych „przyszywanych” kuzynów.

Dostrzegłam, że zapas krzesełek niepokojąco szybko się wyczerpuje, a my czekaliśmy tylko na burmistrza i mieliśmy rozpocząć imprezę. Wystąpienie szefa kombatantów, ubranego, jak wszyscy jego koledzy, w uroczysty mundur, było wygłoszone z dużą znajomością rzeczy, ciepło i wyczerpująco. Podkreślał, znając fakty z autopsji, poprawne stosunki sąsiedzkie w mieście między Polakami, Niemcami i Żydami, mówił o szczególnych przyjaźniach wśród młodzieży tych nacji. Denerwowała mnie, co prawda prowadzona szeptem, rozmowa tej wyglądającej jak Afrykanka z tą chudą. Nawet dzieci nie rozmawiały, a tamte dorosłe owszem. Po referacie rozległy się brawa słuchaczy i pan Józef udzielił głosu mnie.

Pokrótce przytoczyłam historię mebla, który pół wieku stał na strychu mojego domu rodzinnego. Mówiłam o tym stole, który do wybuchu wojny był własnością naszego jubilera-zegarmistrza, opowiedziałam o jego nieznanym losie i o szukaniu pomocy w Żydowskim Instytucie Historycznym. Gwoździem wystąpienia była prezentacja skrytek w nogach stołu i wszystkich znalezionych tam drobiazgów. Z ogromnym zaciekawieniem słuchano tłumaczenia listu Jagody kierowanego do jego klientów na wypadek, gdyby on tu nie wrócił.

Zbliżał się najciekawszy moment. Wymieniłam nazwiska według spisu, który znalazłam w liście, i zadałam pytanie obecnym, czy na sali jest ktoś z rodziny. Z góry wiedziałam, że jedynymi osobami będą chłopcy – kuzyni Reginy Głowackiej – więc zaprosiłam ich na środek, by wręczyć złoty łańcuszek i zdezelowany damski zegarek. Byli tak zdziwieni i wzruszeni, że musiałam jeszcze raz odczytać ten fragment listu, w którym wyraźnie odnotowane było nazwisko ich krewnej. Z innych rodzin nikt się nie zgłosił. Na koniec wyjątkowo opowiedziałam o rodzinie zegarmistrza, oczywiście, powołując się na wspomnienia mojego taty i pana Leona Dłużewskiego. Różne szczegóły dopowiadała siedząca na sali pani Ania, żona pana Leona. Na koniec pokazałam wszystkim wartościową i rozczulającą pamiątkę – mezuzę z drzwi mieszkania Jagody. Te dwie rozgadane aż podniosły się z krzesełek. Poinformowałam słuchaczy, że oddam ją do

warszawskiego muzeum. Po tych słowach obie ruszyły prosto do mnie – wysoka dziewczyna właściwie podbiegła jako pierwsza. Rzuciła mi się na szyję, rozplakała się i ani myślała wypuścić mnie z tego kleszczowego uścisku. Wszyscy w osłupieniu obserwowali tę scenę, a ja nie śmiałam jej odsunąć. Zwariowała! Wiedziałam, że zaszło jakieś nieporozumienie, tym bardziej że ona zaczęła mówić po... angielsku. Właściwie w kółko mówiła: *I am so happy, so happy, thank you for everything* i ścisnęła moją dłoń. O co jej chodzi? W tym czasie chuda rozmawiała z panem Józefem i razem do nas podeszli.

– Pani Zyta Wielowiejska jest tłumaczką – powiedział szef kombatantów i wskazał na tę chudą. – Przyjechała do nas z Tylą Spinadel.

Musiał zobaczyć moje zdziwione oczy, bo natychmiast dopowiedział z triumfem:

– Pani Ewo, przytula pani samą wnuczkę naszego Jagody!

Wyglądał tak, jakby sam nie wierzył w to, co powiedział.

Ostatnio w moim życiu wydarza się wiele zaskakujących sytuacji, ale żeby coś tak niesamowitego mogło mieć miejsce, to w żadnych snach nie przewidziałabym tego. Wszyscy, którzy patrzyli na nas i dosłyszeli, co powiedział pan przewodniczący, zaczęli bić brawo, śmiać się, zbliżać do nas, zacieśniając koło. Tłumaczka opowiedziała, jaki to zbieg okoliczności spowodował, że Tyla znalazła się tu i właśnie teraz. Dowiedzieliśmy się, że przyjechała do Polski z Hajfy, gdzie się urodziła, i że będzie brała udział w warsztatach artystycznych towarzyszących warszawskim wrześnieowym Dniom Kultury Żydowskiej. Dodała, że jest studentką akademii artystycznej. To jest jej pierwszy pobyt na ziemi przodków, a dzień wcześniej, będąc na spotkaniu młodzieży w ŻIH-u, zupełnie przez przypadek trafiła na właściwą osobę. W rozmowie z tłumaczką, wymieniając nazwę naszego miasteczka i charakterystyczne nazwisko dziadków, zwróciła na siebie uwagę szefa działu historycznego i to on jej opowiedział o naszych poszukiwaniach poprzez Instytut, o tajemniczych pamiątkach, tłumaczeniu listu dziadka i jego treści, wreszcie o naszej dzisiejszej uroczystości.

Ktoś patrzący z boku mógł być przekonany, że bierze udział w jakiejś wyreżyserowanej inscenizacji. To wszystko było nie do ogarnięcia rozumem. W tym czasie Tyla oswobodziła mnie z uścisku i podeszła do stołu swojego dziadka, wyciągnęła rękę po mezuzę i przycisnęła ją do policzka. W jej kierunku przedostali się panowie kombatanci i jeden przez drugiego zaczęli słowami i gestami opowiadać Tyli o jej dziadkach. Widać, że nie przeszkadzała jej bariera językowa, bo kiwała tylko głową i każdego z nich ścisnęła, całując ich poorane zmarszczkami policzki.

Za chwilę zabrała głos Tyla. Opowiedziała wojenną historię swoich dziadków. Pod pozorem, że jadą do pracy, zostali wywiezieni do obozu. Po kilku godzinach podróży w nieoczekiwanie cudowny sposób udało im się wydostać

z wagonu i uciec na Wschód. Osiedlili się w rodzinnych stronach dziadka w okolicach Lwowa i tam pod zmienionymi nazwiskami przetrwali całą wojnę. Później przedostali się do Ameryki i następnie do Hajfy. Miłą wiadomość przekazała, kończąc swoje wystąpienie.

– Moi dziadkowie żyli do lat sześćdziesiątych, ciągle wspominali swój dom w Polsce i marzyli, żeby go odwiedzić – ekspresowo przekładała jej słowa Zyta.

„Jagodowie przeżyli wojnę” – podawano sobie tę wiadomość i przyjęto ją z wielkim aplauzem i radością.

Zaczęły się tworzyć rozgadane grupki, burmistrz gawędził z kombatantami, młodzież otoczyła Tylę. Szlifując swój angielski, z ciekawością pytali ją o Izrael. Chłopcy rozmawiali z moimi rodzicami, Kama i jej koleżanki nadal oprowadzały po wystawie, tylko kwartet nie mógł się zdecydować, czy już może rozpocząć występ. Wreszcie, przekrzykując gwar, zaprosiliśmy wszystkich do ponownego zajęcia miejsc i wysłuchania skrzypków. Występ był rewelacyjny, okazał się prawdziwą uczcą duchową.

Redaktor Adam Kunicki nie kontemplował muzyki, tylko zarekwirował śliczną Tylę ściskającą w rękę mezuzę, aby przeprowadzić z nią wywiad rzekę. Wcześniej obfotografował ją w różnych konfiguracjach.

Pani Ania z pomocą młodzieży w mgnieniu oka przygotowywała stoły nakryte śnieżnobiałymi obrusami, na których postawiono wielką brytfannę zapowiadanej żydowskiej potrawy, plastikowe miseczki i sztuce. Panie kombatantowe były dumne, że wszyscy degustowali to wymyślne danie – najpierw ostrożnie, tylko z ciekawości, za chwilę z ogromnym apetytem i prośbą o repetę.

Tyla, rozpromieniona po wywiadzie, też jeszcze trafiła na ostatnie porcje kugła. Uradowana kulinarną niespodzianką osobiście dziękowała paniom kucharkom. Kiedy podano na deser Uszy Hamana, popularnie zwane hamantaszami, zachwycona ich smakiem, czuła się w obowiązku opowiedzieć historię związaną z żydowską tradycją przyrządzania tych ciasteczek. I co najciekawsze, wszyscy słuchali jej, a właściwie tłumaczenia Zyty, z wielkim zaciekawieniem.

– Ja piekę takie ciasteczka na święto Purim. Przygotowuje się kruche ciasto, wałkuje i wycina sporej wielkości kwadraty. Na każdy nakłada się nadzienie z dosłodzonych powideł i mielonych orzechów włoskich, składa na pół, zlepia brzegi i tak powstaje poduszeczka w kształcie trójkąta. Ciasteczka pieczemy na złoty kolor i jeszcze gorące posypujemy cukrem pudrem.

* * *

Już szarzało, a my dziękowaliśmy sobie nawzajem i wzruszeni żegnaliśmy się z naszymi niecodziennymi gośćmi tak serdecznie, jakbyśmy znali się od dawien dawna. Wszyscy wylegli przed budynek, żeby Tyli, wnuczce naszego Jagody,

pomachać na pożegnanie.

– Wróć tu za rok – odrzyknęła już z taksówki Tyla, perfekcyjnie po polsku powtarzając słowa po pani Zycie i uśmiechając się z oczami pełnymi łez.

– Było wspaniale i skończyło się – powiedziała trzeźwo Kama i z radości się uściskałyśmy serdecznie. Podeszłyśmy do stolika. Na bordowej serwetce, obok pękniętego pierścionka bez oczka, nadal bieliła się mała kamea browarniczki Szulcowej i zegarek retro żydowskiego krawca Kowalskiego.

– Córko, jak wiesz, to są pamiątki po sąsiadach twoich dziadków, tragicznych ofiarach wojny. Pielęgnuj pamięć o nich i opiekuj się tymi drobiazgami – powiedziałam uroczyście. Kama jednak zaśmiała się cichutko, burząc nieco powagę chwili i niemal krzyknęła:

– Mamo, ale ja się nie nadaję na strażniczkę dziedzictwa narodowego! Po pierwsze, nie planuję w przyszłości zostać w tej metropolii, a po drugie, te przedmioty nigdy nie należały i nadal nie należą do naszej rodziny. Najrozsądniej będzie je oddać do miejscowego muzeum. Nie uważasz, że to będzie dobry pomysł?

Moja córka nie po raz pierwszy mnie zaskoczyła. Trochę zasmuciło mnie to, co powiedziała, ale też ucieszyło. Jest silna, rozsądna i zdecydowana, jak wszystkie kobiety w naszej rodzinie.

Szkoda, że poczta nie przyjmie przesyłki dla Szulcowej i Kowalskiego. Mają argument, że w niebie, owszem, są listonosze, tylko że nie roznoszą przesyłek. Ale ja miałabym ten temat definitywnie zamknięty.

* * *

Gdy dotarliśmy do domu, rozsiadłam się wygodnie w fotelu. Miałam wreszcie chwilę dla siebie. Ni mniej, ni więcej, tylko caluśkie pół roku minęło jak z bicia strzelił! A ile się wydarzyło przez ten czas...

Dzięki cudem odzyskanej rodzinnej cennej pamiątce – bransolecie – poznałam historię mojej prababci Florentyny. I spadły mi klapki z oczu. Nareszcie dostrzegłam pewną prawidłowość w naszej rodzinie. Ciężko się przyznać, ale pod fasadą takich cech jak siła, rozsądek i zdecydowanie kryją się kruche i wrażliwe kobiety, dla których życie przygotowało bardzo podobne scenariusze. Począwszy od prababci aż po mnie. Niestety, nie spełniła się nam pierwsza miłość. Przecież zaręczynowy pierścionek ze szmaragdem w szufladzie mojej mamy to też pamiątka takiej miłości. – Zosiu, nie mogę myśleć jeszcze o małżeństwie, bo najpierw musimy wydać za mąż moją siostrę Amelię – powiedział jej ukochany Alfred Dobosz. Tym razem stara panna siostrzyczka była pretekstem ociągania się narzeczonego. Mama to odebrała jako... wielką uczciwość Alfredzia i szybciotko dała się uwieść oficerskiemu mundurowi Henryczka.

Bransoletka prababci Florentyny była uosobieniem jej ukochanego Czarka

i wiązała się z najpiękniejszymi wspomnieniami. Była czymś najważniejszym w życiu. Ale symbolizowała też poczucie wstydu, tajemnicę, smutek, dlatego była przez nią skrzętnie ukrywana przed oczami postronnych. Bransoletka stała się dla niej kajdankami, którymi była przykuta do wspomnień. Coraz częściej zastanawiam się, czy i ja nie zostanę zakładnikiem przeszłości?

* * *

Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu. To na pewno Rafał, który nie doczekał się wieści ode mnie. Wzdrygnęłam się na samą myśl, że będzie miał mi za złe, że nie oddzwoniłam kilka dni temu.

– Słucham?

– Ewa...

– Rafał... przepraszam, byłam taka zapracowana.

– Myślałem, że nie masz pracy...

– Rafał, nie musisz mi o tym przypominać!

– Ewa, posłuchaj, drugi raz nie pozwolę ci się wodzić za nos. Chciałbym, żebyś przyjechała do mnie na kilka dni do Szczecina. Porozmawiamy na spokojnie. Zobaczysz, będziesz się tu dobrze bawić.

– Nie wiem, Rafał, nie wiem... Nie mogę Kamy zostawić dziadkom na głowie.

– Ona nie jest już dzieckiem. Ewa, nie szukaj wymówek. Zastanów się i przyjedź. Zależy mi na tobie, ale nie chcę na ciebie czekać kolejnych czternastu lat. Rozumiesz?

Dobre pytanie! Szczerze mówiąc, tak niewiele rozumiem! Nie mogę pojąć ani motywacji Rafała, ani swego postępowania. Robię wszystko, aby jego temat zepchnąć na jak najdalszy plan. Nie jest to trudne, bo dzielą nas przecież setki kilometrów. To prawda – te krótkie spotkania w Ciechocinku czy w Warszawie pozwoliły mi znów poczuć się kobietą – atrakcyjną, adorowaną, ale czy kochaną? Boję się używać tak wielkich słów. Zresztą, czy my szpetni czterdziestoparoletni potrafimy jeszcze tak gorąco, namiętnie kochać? Wątpię. Nawet nie wiem, czy chciałabym na nowo się zakochać – nieważne, czy w Rafale, czy w jakimkolwiek mężczyźnie. Czy powinnam pojechać do Szczecina? Może lepiej nie dawać Rafałowi po raz kolejny złudnych nadziei? Nie wiem. Najlepszym doradcą jest podobno sen... Co za banał! Posłucham jednak trywialnych podszeptów intuicji i decyzję podejmę rano.

* * *

Kufer z „ostatniego” pokoju już załadowany na wózek i porządnie przymocowany do niego linką. Ojciec zawiezie go na działkę. Zaproponowałam mu, żeby zajął się tym Mariusz, ale tylko z rezygnacją machnął ręką.

– Wreszcie z narzędziami będzie porządek – wykrzykuje tato i już kieruje się w stronę furtki. Zatrzymuję go jednak. Słowa z oporem układają się w sensowną całość. Najgorzej idzie mi wstęp – łapię się na tym, że nie potrafię mówić o istotnych dla mnie sprawach. Wreszcie się przełamuję i opowiadam tacie o propozycji Rafała, moich wątpliwościach, rozterkach i podjętej decyzji. Tak, chcę pojechać do Szczecina! Słucha spokojnie. Nie przerywa. Ożywia się dopiero, gdy mówię, że poprosiłam o pomoc Mariusza.

– Chciałam, żeby zabrał na te dni Kamę do siebie, ale on odmówił – ostatnie słowa ledwo przechodzą mi przez gardło.

– Liczyłaś na braciszka? To się przeliczyłaś! On nie ośmieliłby się myśleć inaczej niż jego mamusia. Zosia samosia! Wszystkowiedząca! Ona nad wszystkim chce mieć kontrolę, a ciebie najchętniej zamknęłaby w złotej klatce. Nie myśl, że ja tego wszystkiego nie widzę! Widzę i krew mnie zalewa, ale wolę się nie odzywać. A co ty myślisz, że oddanie ostatniego pokoju dla Kamy to taka jej wspaniałomyślność? Ona chce zatrzymać przy sobie i ciebie, i ją. Mama jest dobrym człowiekiem, ale jej przekonanie, że tylko ona w naszym życiu pociąga najważniejsze sznurki, jest delikatnie mówiąc... denerwujące. Ale miarka się przebrała!

– Ale tato... – próbuję wejść mu w słowo.

– Zrobimy tak: ty zaplanuj ten wyjazd do Szczecina, a poważną rozmowę z mamą biorę na siebie. Wiem, że nie będzie łatwo, ale miej do mnie zaufanie. Kama jest dużą dziewczyną, trzeba ją wtajemniczyć w temat. Zajmę się nią przez te dni, przecież wiesz, że trzymamy ze sobą sztamę. A Mariuszowi wygarnę i go porządnie opier...

Ojciec na szczęście nie zdążył wyartykułować ostatniego, niecenzuralnego słowa, bo akurat naszą bramę mija stara Łozowska nieziemsko obładowana torbami. – Córnka, myśl o sobie, będzie dobrze! Jak wrócę z działki, to wszystko kolejno załatwię. Daję ci moje słowo, że kanapki na podróż już możesz robić – deklaruje zaaferowany, przyciąga mnie i mocno przytula. Poczułam się jak mała dziewczynka. Zupełnie jak wtedy, kiedy rozkładanym krzeselkiem przytrzasnęłam sobie paluszek tak bardzo niefortunnie, że omal go nie straciłam. Ojciec niósł mnie wtedy na rękach do lekarza, a czym mnie mocniej przytulał, tym mniej bolało.

* * *

Aksamitny głos, który płynie z głośnika przypomina o zabraniu bagażu. Wraz z podróżnymi opuszczam wagon i, stanąwszy na peronie, czuję, że moja dłoń natychmiast ginie w ciepłym gnieździe ręki Rafała. Kontroluję swoje gesty i tylko delikatnie cmokam go w policzek. On najwyraźniej uznał to jednak za preludium powitania i bez słów przytula tak mocno, że nie mam wątpliwości, że ogromnie cieszy się z mojego przyjazdu. Kiedy tylko opuszczamy dworzec, od razu czuję

powiew innego, świeżego powietrza, choć przecież morze jest oddalone od Szczecina o sześćdziesiąt kilometrów! Pozwalam się prowadzić Rafałowi i już nie denerwuje mnie, że holuje mnie pod ramię. Kilka minut później stoimy na parkingu przed maską popielatej, wiekowej skody. – To leciwa panna, ale nieodzowna na dojazdy do pracy – tłumaczy Rafał. Zupełnie niepotrzebnie się usprawiedliwia, potem otwiera drzwiczki, a mój neseser wrzuca na tylne siedzenie i ruszamy.

– Mój plan jest taki: jedziemy do mojego domu, odpoczniesz, ja przygotuję obiad i wyruszymy zwiedzać miasto – mówi Rafał. Aprobując kiwam głową, bo jest mi wszystko jedno, byle był blisko. Jedziemy na Sienną, ciekawa jestem jego mieszkania. Zaraz po wejściu zmieniam obuwie i zatapiam się w przepastnym fotelu. Z tego miejsca mam dobry widok na kuchnię i mogę obserwować krzątanie gospodarza. Rafał naprawdę dobrze wygląda, a bzowa koszula podkreśla kolor jego zielonkawych oczu. Muszę z lekkim rozbawieniem przyznać, że kiedy tak się krząta przy garnkach, wygląda wyjątkowo interesująco. Uśmiecham się do siebie. I wciąż nie mogę uwierzyć, że tutaj jestem. Rafał chyba również, bo mimo zajęć w kuchni często zerka w moją stronę, jakby chciał się upewnić, czy jeszcze nie zwałam. Centymetr po centymetrze lustruję pomieszczenie i zastanawiam się, czy to on lubi kwiaty, czy zostały mu w... spadku po rozwodzie? Jakby czytał w moich myślach, bo wskazuje na parapet z kwitnącymi storczykami i się odzywa: – Kupiłem przedwczoraj, uwielbiam rośliny w domu.

Z podziwem patrzę, jak przyrządza jakiś wymyślny sos, odcedza makaron i pobrząkuje naczyniami. Zrobiłam się strasznie głodna!

– Proponuję, żebyśmy nie tracili czasu i zaraz po obiedzie poszli pozwiedzać okolicę. Kawę wypijemy po drodze. – I wyciąga w moim kierunku rękę, w której trzyma ładnie zapakowaną paczuszkę.

– W ramach poobiedniego deseru, rozpakuj pudełeczko – zachęca.

– O, słodycze! – cieszę się i zaczynam rozrywać papier. „Słodyczami” okazuje się różowe cacko: Polaroid i paczuszka z papierem foto. Śliczny, metaliczno-różowy aparacik do natychmiastowego drukowania zdjęć. Skonfundowana spoglądam na Rafała, bo nie jestem przyzwyczajona do prezentów. Chcę odłożyć go na stół, ale zatrzymuje moją rękę.

– Nie rób mi przykrości. Przepraszam za kolor, ale wiem, że porobisz sobie zdjęcia i w końcu dasz go Kamie.

– Nie, nie, ja nie mogę tego przyjąć – walczę, ale Rafał tylko uśmiecha się z pobłażaniem. Mimo to czuję się nieswojo. Może powinnam zachować się naturalnie, pokazać, że naprawdę sprawił mi radość, i powiedzieć zwyczajnie „dziękuję”? Taki ze mnie stary dzikus z Kujaw!

* * *

Program mojego cicerone realizowany był z żelazną konsekwencją:

zwiedzanie zaczęliśmy od Rynku Siennego, Wałów Chrobrego, Zamku Książąt Pomorskich, a skończyliśmy na pięknych pałacach przy ulicy Staromłyńskiej. Potem wypiliśmy kawę i zajadaliśmy się eklerkami w nastrojowej kawiarence. Nie czułam zmęczenia, było mi bardzo dobrze, a pójście na kolację okazało się zbędne.

– Rafałku, kupmy butelkę naszej ukochanej Istry i wypijmy ją w domu – wypaliłam.

– Chciałem, żeby było elegancko i zarezerwowałem stolik w restauracji, ale myślę że twój pomysł jest lepszy! – zgodził się.

W domu przyrządziliśmy półmisek pysznych kanapek i wypiliśmy po szklance doskonałej angielskiej herbaty. Potem przyszedł czas na sączenie piołunowo-szałwiowo– goździkowego nektaru. Pobrząkujące kostki lodu przypomniały mi nasze dawne spotkania w Ciechocinku. Kelnerka Zofia, podając nam wino, zawsze puszczała do mnie oko. Chciała mi przez ten porozumiewawczy gest powiedzieć: „sąsiadka, nie powtórzę mamie o twojej zakrapianej randce”. Teraz, wiele lat później, znów rozlewaliśmy ten trunek, śmiejąc się i całując – albo odwrotnie. Z minuty na minutę robiłam się bardziej senna. Pomyślałam, że szybki prysznic postawi mnie na nogi. Kiedy wyszłam z łazienki, Rafał kończył zmywanie naczyń. Chciałam mu pomóc, ale powstrzymał mnie.

– Jesteś moim gościem! Odpoczywaj! – powiedział.

Przysiadłam na tapczanie, otworzyłam metalowe pudełeczko z kremem Nivea i odrobinę pachnącego specyfiku wtarłam w dłonie, a dwie krople ulubionej Antilope wylądowały za uszami i na nadgarstkach. Sama nie wiem, kiedy wygodną siedzącą pozycję zamieniłam na... leżącą i przymknęłam oczy.

Kiedy je otworzyłam, zdezorientowana spojrzałam w kierunku okna i zdziwiłam się, że za szybą jest jasno. To już rano! Po chwili usłyszałam spokojny i miarowy oddech Rafała. Leżał tuż obok mnie. Ja w podomce? Jak to się mogło stać? „Winnych” odszukałam na ławie: opróżniona butelczyna i dwa kielichy... Czułam się trochę zawstydzona. Na dodatek ścierpła mi ręka, więc bardzo powoli, żeby nie obudzić Rafała, zaczęłam zmieniać pozycję... Kiedy tylko się poruszyłam, Rafał objął mnie ramieniem, przyciągnął do siebie i mocno pocałował w usta. Oczy śmiały mu się przy tym filuternie.

– Śmiejesz się, śmiejesz się ze mnie? – zapytałam. I niby obruszona poderwałam się, by pierwsza wskoczyć do łazienki. Przez drzwi słyszałam, jak ustawia szklanki, nalewa wodę i zapala gaz.

– Łazienka wolna! – zameldowałam i już odświeżona weszłam do kuchni. Rafał poszedł wziąć prysznic, a ja w tym czasie przygotowałam używki: sięgnęłam z półki puszkę z kawą Lavazza dla Rafała i wsypałam dwie łyżeczki do błękitnego kubka, dla siebie przygotowałam torebkę aromatycznej herbaty. Wykorzystałam wolną chwilę i szybko się ubrałam. Wcisnęłam się w dżinsy, narzuciłam na siebie wielobarwną flanelową koszulę i pikowaną kamizelkę. O, gdyby teraz, w tych

opiętych spodniach, zobaczyła mnie mama, tobym się nasłuchała! Ale tutaj na szczęście mogłam się czuć bezkarnie. Oparłam się o kuchenny blat i patrzyłam na widok za oknem. Rafał niespodzianie objął mnie, aż podskoczyłam z wrażenia. Poranny pocałunek nie miał się skończyć. Utonęłam w oparach cudownej kolońskiej i delikatnego zapachu pianki do golenia. Było tak dobrze, że nie chciałam słyszeć narastającego i coraz bardziej ponaglącego nas gwizdka czajnika.

– Co ci się śniło na nowym miejscu? – zapytał. Nic nie odpowiedziałam. Zaskoczył mnie tym pytaniem, ale sama ze zwykłej ciekawości zaczęłam grzebać w pamięci. Wlewając wrzątek do szklanek, przypominałam sobie jakieś strzępy z mojego snu. Jakieś interakcje z mamą i Kamą. Tak, to działo się w naszym „ostatnim” pokoju. Tańczyłyśmy, a może się przepychałyśmy. Trudno określić. Hm, był płacz, ale też śmiech. Dziwny sen.

Gorące złociste grzanki zapraszały nas, żeby niezwłocznie usiąść do śniadania. Plastry wędzonego łososa, ser halloumi, ceramiczna miseczka z czarnymi oliwkami i słoiczek z egzotyczną konfiturą figową już stały na stole. Pałaszowałam z apetytem, ale mimo zażyłości z gospodarzem krępowalam się zrobić sobie następną kromeczkę z cudownym mazidełkiem. Po chwili wahania kolejna figa wylądowała na chrupiącej grzance. Rafał z zadowoleniem patrzył, jak pochłaniałam przygotowane przez niego smakołyki. I opowiadał o dostawcy tych frykasów – cypryjskim matrosie i niejednym z nim handelku.

– Czy moja wycieczkowiczka jest gotowa na zwiedzanie? – Tu Rafał precyzyjnie wyliczył, dokąd dotrzemy. Kiedy wymienił port, zaprotestowałam.

– Przecież ja padnę, a czeka mnie droga powrotna.

Objął mnie gwałtownie, mocno przytulając. Odwzajemniłam uścisk i pomyślałam, że może by tak zrezygnować z dzisiejszego łożenia i zostać w domu...

– Jeżeli będę chciała, to będę mogła tam chodzić codziennie – powiedziałam filuternie.

– Czy to naprawdę znaczy, że będziesz ze mną?

Nie odpowiedziałam, ale pocałowałam go namiętnie.

* * *

Pakowanie szło mi tak opornie, że omal nie spóźnił się na dworzec. Na szczęście poczciwa staruszka skoda dała z siebie wszystko i nas nie zawiodła. Ale na długie pożegnania, nie było już czasu. Może to i dobrze, bo niechętnie wyjeżdżałam ze Szczecina. Usiadłam w pustym przedziale, tuż przy oknie. Pociąg ruszył, a ja patrzyłam na uciekający za szybą krajobraz i coraz mniejszą postać Rafała. Czym bardziej się od niego oddalałam, tym bardziej przekonana byłam, że chcę tutaj do niego wrócić. Wciąż słyszałam jego słowa: „Mieszkanie zamienimy

z kimś na większe, znajdziemy dobrą szkołę dla Kamy, no i upragnioną pracę dla ciebie”. Chciałabym, żeby to wszystko było takie proste.

Ciągle zastanawiam się, czy mogę tak po prostu zostawić moich staruszków, zabrać Kamę i wyjechać do Szczecina. Już raz od nich uciekłam i wyjechałam za Arturem. Nie było to dla nas wszystkich łatwe. Czy powinnam raz jeszcze zawalczyć o własne szczęście? Naprawdę mogę pozwolić sobie na tę miłość? Czym bardziej zastanawiam się nad tym wszystkim, tym bardziej nie wiem, jak postąpić. Chcę wierzyć, że Rafałowi wystarczy cierpliwości i pozwoli mi podjąć dobrą decyzję. Pociąg miarowo toczył się i kołysał, powoli wyciszając wzburzone emocje. Nie czas na troski i rozterki. Przyjdzie jeszcze na nie pora. Teraz uśmiecham się do siebie na samo wspomnienie minionej nocy i wpatrzonych we mnie oczu Rafała. Przez tę krótką chwilę świat poza nami dwojgiem przestał istnieć. Sięgam do torebki i z małej bocznej kieszonki wyciągam pierścionek z rubinowym oczkiem. Wkładam złoty krążek na serdeczny palec. Niech mnie strzeże i przyniesie nam szczęście.

1 Stanisław Młodożeniec, „Śnieg”, [W:] *Poezje wybrane* (II), Wybór i przedmowa Tadeusz Burek, LSW, Warszawa, s. 31.

2 Tamże.

3 Kazimierz Wierzyński, „Jedna światłość”, [W:] „Dla zakochanych. Wiersze polskich poetów”, Iskry, Warszawa 1966, str. 127.



Przepisy
z „*Ostatniego pokoju*”



Babka piaskowa z polewą czekoladową

Składniki:

5 całych jajek

1,5 szklanki cukru pudru

1,5 szklanki mąki ziemniaczanej

3 łyżki mąki pszennej

1 kostka margaryny

sok i starta skórka z 1/2 cytryny

zapach cytrynowy

szczypta soli

bułka tarta do wysypania formy

Sposób przyrządzenia:

Ubijam jajka z cukrem pudrem. Dosypuję po łyżce mąki połączonej ze szczyptą soli, dodaję sok i skórkę cytrynową. Na końcu wlewam roztopiony i ostudzony tłuszcz, całość delikatnie mieszam. Przelewam do natłuszczonej i wysypanej bułką tartą formy. Piekę 50 minut w temperaturze 180 stopni C. Dla pewności robię test suchego patyczka. Po wystudzeniu, babkę umieszczam na szklanym kloszu i oblewam polewą.

Polewa czekoladowa

Składniki:

6 łyżek kakao

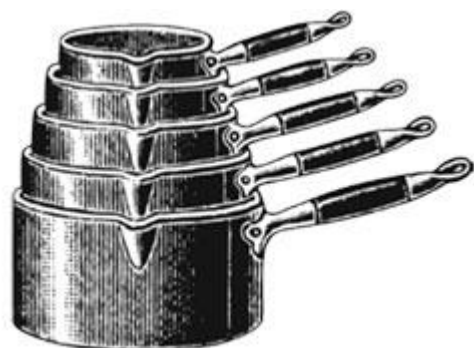
6 łyżek gorącej wody

1,5 szklanki cukru pudru

1,5 kostki margaryny

Sposób przyrządzania:

Tłuszcz roztapiam w rondlu i dodaję wodę. Mieszając, dosypuję cukier puder i na końcu kakao. Kiedy wszystkie składniki są połączone, powstałą polewą oblewam ciasto. Z tej proporcji polewa wystarczy na inne ciasta, ciasteczka. Pozostałą polewę przelewam do słoja, używam wg potrzeb – przechowując w lodówce.





Bezy czekoladowe

Składniki:

6 białek

szczypta soli

200 g cukru pudru

2 łyżeczki cukru waniliowego

150 g startej gorzkiej czekolady

Sposób przyrządzenia:

Jeżeli pozostały mi białka, np. po przyrządzeniu „Jaskółczych gniazd”, wykorzystuję je, przyrządzając pyszne bezy. Przygotowuję blachę wyłożoną papierem do pieczenia. Włączam piekarnik ustawiony na 130 stopni C. Schłodzone białka wlewam do miski, ubijam na sztywną pianę wraz ze szczyptą soli. Nie przerywając ubijania, dodaję po łyżce cukier puder i cukier waniliowy. Do lśniącej masy wsypuję startą czekoladę i całość delikatnie łączę. Łyżką nabieram pianę i układam na blasze około 20 sztuk bezików. Blachę wkładam do piekarnika i piekę około 1,5 godziny. Na ten czas pozostałą pianę umieszczam w lodówce, w oczekiwaniu na blachę. Dobrze upieczone bezy są kruche i lekko ciągnące w środku. Przechowuję je w dużym, szczelnie zamykanym słoju, który pięknie prezentuje się na stole.



Budyń orzechowy z pianą

Składniki:

1 budyń śmietankowy z cukrem

mleko

pół szklanki orzechów włoskich drobno mielonych

1 łyżka cukru pudru

2 białka

Sposób przyrządzenia:

Gotuję budyń wg przepisu i łączę z orzechami. Ubijam na sztywno pianę, dodaję cukier i przekładam do gorącego budyniu. Całość dokładnie, ale bardzo delikatnie mieszam. Podaję polane ulubionym sokiem lub mleczkiem waniliowym. Deser bardzo poprawia nastrój.





Jaskółcze gniazda

Składniki:

6 okrągłych dużych bułek pszennych

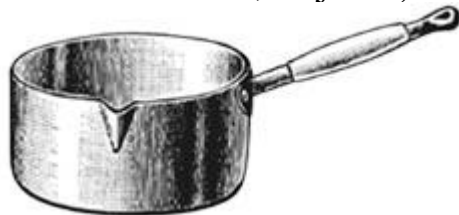
6 żółtek

sól

masło klarowane do smażenia

Sposób przyrządzenia:

Z dużej bułki odcinam wierzch i spód. W tak powstałym plastrze na środku robię otwór wielkości złotówki i układam go na rozgrzane masło. Kiedy bułka jest przyrumieniona, w otwór delikatnie wpuszczam żółtko, lekko solę i czekam, aby się ścięło. Wówczas przewracam bułkę na drugą stronę i przypiekam. Do tej przegryzki podaję ulubioną surówkę z drobniutko ciętego selera naciowego (jabłko, kukurydza, pestki słonecznika, majonez).





Konfitura aroniowo-gruszkowa

Składniki:

2 kg aronii

2 kg cukru

2 kg gruszki

Sposób przyrządzenia:

Przebiegam aronie i dokładnie płuczę dwa razy. Odsączone wsypuję do garnka i rozdrabniam blenderem. Stawiam na płycie, po doprowadzeniu do zagotowania, dosypuję cukier, mieszając, gotuję do rozpuszczenia się cukru i uzyskania szklistości masy. Odstawiam do następnego dnia.

Nazajutrz przygotowuję słoiczki i zakrętki. Obieram gruszki, ścieram na tarce z dużymi oczkami. Doprowadzam do wrzenia aronię, gotuję około 30 min. Ciągłe mieszając, dodaję startą gruszkę i całość gotuję na małym ogniu przynajmniej następne 30 minut – oczywiście ciągle mieszam. Gorącą konfiturę nakładam do słoiczków i dokręcam wieczko. Przewracam słoiczki do góry dnem.





Nóżki cielęce w cieście naleśnikowym

Składniki:

4 oczyszczone i wymoczone nóżki cielęce

włoszczyzna jak do rosółu

sól, pieprz

3 ząbki czosnku

liść laurowy

ciasto naleśnikowe

olej do smażenia

Sposób przyrządzenia:

Przygotowane nóżki zalewam w garnku wodą, dodaję włoszczyznę, czosnek i liść laurowy. Gotuję do miękkości. Z jeszcze ciepłych usuwam kości, staram się nie podjadać, formuję, układam na deseczce, obciążam dla spłaszczenia porcji i studzę. Każdą porcję zanurzam w cieście naleśnikowym i smażę na rozgrzanym oleju. Podaję z sałatką z ogórka kiszzonego z porem.





Pasztet z królika

Składniki:

mięso z królika

1 kg podgardla

włoszczyzna

1 cebula opieczona

sól

czerstwa bułka

25 dag wątróbki wieprzowej

2 jajka

sól, pieprz

bułka do wysypania formy

smalec

Sposób przyrządzenia:

Królika dzielę na porcje, mięso dokładnie myję. Przekładam do garnka i dokładam opłukane podgardle. Mięsa gotuję na wolnym ogniu. Obieram włoszczyznę, dodaję wraz z cebulą do wywaru i całość gotuję do miękkości. Pod koniec dodaję wątróbkę – tylko ją parzę. Po ugotowaniu wyjmuję mięso z wywaru, studzę. W chłodnym wywarze moczę czerstwą bułkę. Mielę mięsa, wątróbkę i odcisniętą z wywaru bułkę. Dodaję jajka, sól, pieprz do smaku i wszystko dokładnie łączę. Wąską blaszkę smaruję smalcem, oprószam tartą bułką i przekładam masę mięsną. Piekę 60 minut w temperaturze 180 stopni C.



Zupa ziemniaczana z pieprzem

Składniki:

1/2 kg ziemniaków łatwo się rozgotowujących

pieprz świeżo mielony

sól

słoninka

łyżka mąki na zasmażkę

Sposób przyrządzenia:

Ziemniaki gotuję do miękkości w odpowiedniej ilości wody (np. 1 litr na cztery talerze zupy). Ugotowane, rozdrabniam blenderem i dosmaczam solą. Przygotowuję złotą zasmażkę, łączę z powstałym kremem i dodaję pieprz (ja wsypuję dużo pieprzu). Po rozlaniu na talerze dokładam po garści gorących, chrupiących grzanek z chleba.





Czernina

Składniki:

1 oczyszczona kaczka z podrobami (wykrawam piersi i udka, odkładam do upieczenia na niedzielny obiad)

włoszczyzna jak do rosółu

kompot z suszu: śliwki bez pestek, gruszki i jabłka pokrojone

przyprawy – liść laurowy, sól, pieprz, ziele angielskie, majeranek, ocet lub marynata ze śliwek w occie

szklanka krwi z kaczki (wymieszanej z 2 łyżkami octu)

2 łyżki mąki

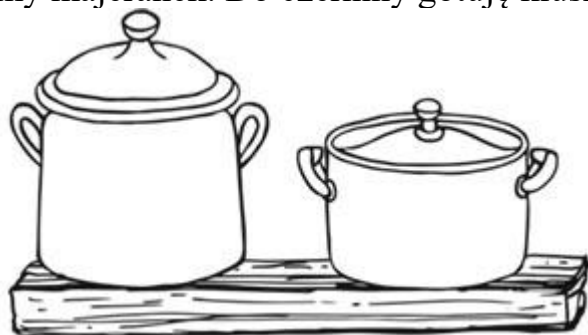
cukier do smaku

Sposób przyrządzania:

Mięso z kaczki wkładam do garnka, zalewam 2 litrami wody, gotuję na wolnym ogniu, co jakiś czas zbieram powstałą pianę i szumowiny. Jednocześnie w drugim garnuszku gotuję kompot z suszu z niedużą ilością wody. Do gotującego się na bardzo wolnym ogniu rosółu dodaję włoszczyznę, wszystkie przyprawy (bez

majeranku) i nadal gotuję do miękkości mięsa (ok. 1,5 h). Wyjmuję włoszczyznę, kaczkę, której korpus obieramy z mięsa.

W miseczce ucieram mąkę z krwią z kaczki i stopniowo, ciągle mieszając, wlewam mieszankę do odlanej części rosołu. Po sprawdzeniu, że krew nie zważyła się, łączymy ją z pozostałym rosołem. Mieszając, doprowadzam do wrzenia. Zupę łączymy z owocami z suszowego kompotu i jeżeli jest taka potrzeba, dosmaczamy octem z marynaty śliwkowej, cukrem, wrzucamy rozdrobnione mięso i na koniec wsypujemy majeranek. Do czerniny gotuję kluski ziemniaczane lub łazanki.





Schab z suszonymi śliwkami i morelami

Składniki:

1 kg schabu bez kości

15 dag suszonych śliwek

15 dag moreli

2 łyżki majeranku

sól

pieprz mielony

posiekany czosnek

2 łyżki oleju

3/4 szklanki ciemnego piwa np. „śliwkowego”

Sposób przyrządzenia:

Mięso płuczę w zimnej wodzie i następnie osuszam papierowymi ręcznikami. Oстрым, wąskim nożem, wzdłuż całego kawałka mięsa, na środku robię nacięcie i poszerzam je drewnianym trzonkiem od tłuczka. W powstały otwór o przekroju 50-groszówki z jednej strony wkładam suszone śliwki, a z drugiej morele. Mięso nacieram olejem, następnie mieszanką pieprzu, soli, posiekanego czosnku i majeranku. Tak przygotowane mięso zawijam w folię spożywczą i odkładam do lodówki na 24 godziny.

Po tym czasie mięso odwijam z folii i umieszczam w rękawie do pieczenia, który ma już jedną stronę zamkniętą klipssem, wlewam piwo i drugim klipssem dokładnie zabezpieczam rękaw. Piekę 1 godz. w temperaturze 180 stopni C.

Po upieczeniu mięsa, np. z morelami, odkrawam, odkładam do wystudzenia i wykorzystania na kanapki. Drugą, gorącą część schabu porcjuję i podaję na obiad. Powstały sos przelewam do garnuszka, łączę z łyżką powideł, 2 łyżkami śmietany i łyżeczką mąki – mieszam i doprowadzam do zagotowania.





Butersznyty cioci Steni

Składniki:

2 bułki grahamki

masło

własnoręcznie przyrządzony schab ze śliwką lub morelą pokrojony w plastry

opłukane liście sałaty masłowej

2 łyżeczki majonezu

Sposób przyrządzania:

Przekrojone bułki smaruję masłem, kładę listek sałaty i po plastrze piezonego schabu. Całość wieńczy kleksik majonezu.

Wersja uwspółcześniona:

2 bułki grahamki

masło

własnoręcznie przyrządzony schab ze śliwką lub morelą pokrojony w plastry

opłukane liście rukoli

2 łyżeczki majonezu wymieszanego ze szczyptą curry

kilka plasterków świeżej czerwonej papryki

Przekrojone bułki smaruję masłem, kładę po plastrze pieczonego schabu, smaruję majonezem, kanapki obkładam listkami rukoli i plasterkami papryki.



Torcik bezowy z kremem kawowym i sosem malinowym

Składniki na krążki bezowe:

6 białek

1 łyżeczka mąki ziemniaczanej

200 g cukru pudru

1 łyżeczka soku z cytryny

Składniki na krem:

400 ml śmietanki kremówki 30%

250 g serka mascarpone

2 łyżki cukru pudru

2 łyżeczki kawy naturalnej bardzo drobno zmielonej w młynku

drobno mielona kawa – 2-4 łyżeczki

Blaszki wykładam papierem do pieczenia.

Rysuję (np. za pomocą talerza) dwa okręgi o średnicy 22 cm.

Sposób przyrządzania bezy:

Białka ubijam na sztywną pianę, dodając po 1 łyżce cukru pudru. Na końcu bardzo delikatnie wsypuję mąkę ziemniaczaną i dodaję sok z cytryny. Pianę przekładam na blachę. Piekę przez godzinę w rozgrzanym do 140 stopni C piekarniku. Po upieczeniu blatów, lekko uchylam piekarnik i zostawiam do wystygnięcia.

Sposób przyrządzania kremu:

Śmietankę ubijam na sztywną pianę, stopniowo dodaję do niej serek, cukier puder i kawę. Pyszną kremową masę wykładam na jeden blat bezowy, przykrywam drugim, a wierzch smaruję pozostałą częścią kremu. Torcik przed podaniem delikatnie, przez siteczko oprószam kawą.



Sos malinowy

Składniki:

400 g świeżych malin

60 g cukru

Sposób przyrządzenia:

Maliny płuczę i przesypuję do rondelka. Dokładam cukier, sok z cytryny i gotuję tak długo, aż maliny się rozpadną, a cukier rozpuści. Jeżeli chcę uzyskać gęstszy sos, to gotuję go dłużej. Ja lubię sos z pestkami, ale można też przygotować sos aksamitny, wówczas wystarczy go dokładnie przetrzeć przez sitko.



Makaron domowy

Składniki:

5 żółtek (które nie zostały wykorzystane do tortu bezowego)

2 jajka

60 dag mąki pszennej

Sposób przyrządzenia:

Na stolnicy usypuję kopczyk z przesianej mąki. Robię dołek, w który wbijam jajka i dokładam żółtka. Zaopatrzona w nóż, energicznymi ruchami łączę składniki, sukcesywnie dodając mąkę. Zagniatam ciasto makaronowe, dbając, aby miało konsystencję zbitą, ale elastyczną. Ewentualny nadmiar mąki odsuwam, a ciasto nakrywam ściereczką, aby nie wysychało i pozostawiam na 30 min.

Środek stolnicy podsypuję mąką, odrywam część ciasta i rozwałkowuję na bardzo cienki płat. Zwijam w rulon i kroję na bardzo cienkie nitki. Makaron przesuwam na skraj stolnicy i wałkuję następny płat ciasta. Można kroić grubsze kluseczki bądź łazanki. Tak przygotowane kluski pozostawiam do całkowitego wysuszenia, przekładam do słoika, wykorzystuję w awaryjnych sytuacjach.



Nadzienie do kurczaka

Składniki:

25 dag wątróbki drobiowej

1 bułka czerstwa

1,5 szklanki mleka do namoczenia bułki

1 jajko

1/3 kostki miękkiego masła

duży pęczek natki pietruszki

sól

1/3 łyżeczki gałki muszkatołowej

Sposób przyrządzenia:

Umytego i osuszonego kurczaka oprószam wewnątrz solą i pieprzem. Można również natrzeć czosnkiem. Odstawiam do lodówki.

Ubijam masło na puch, dodaję żółtko, odcisniętą i rozdrobnioną bułkę,

drobniutko posiekaną wątróbkę i natkę. Dosmaczam solą, gałką i wszystko mieszam. Ubijam pianę i bardzo delikatnie całość mieszam. Takim nadzieniem faszeruję kurczaka, zszywam lub spinam wykałaczkami i umieszczonego w brytfance, okrytego folią aluminiową, wstawiam na 50 minut do piekarnika nagrzanego do 200 stopni C. Po tym czasie zdejmuję folię i pozwalam, aby skórka tuszki się zrumieniła.



Sernik Zofii na kruchym

Składniki na kruche ciasto:

1 kostka zimnego masła

4-5 żółtek (białka odstawiam do lodówki na torcik bezowy)

3/4 szklanki cukru

3 szklanki mąki krupczatki

4 łyżki śmietany 30%

łyżeczka proszku do pieczenia

Składniki na masę:

1,20 kg zmielonego, dobrego sera wiejskiego

10 jaj plus 1 żółtko

kostka miękkiego masła

250 dag cukru pudru

2 budynie waniliowe

kandyzowana skórka z pomarańczy

rodzynki

ulubiony zapach – mój to waniliowy

Sposób przyrządzania ciasta kruchego:

W kopczyku mąki zmieszanej z proszkiem robię miejsce na żółtka ubite z cukrem, śmietaną i masło starte na dużych oczkach tarki. Wszystkie składniki szybko zarabiam nożem. Ręką formuję ciasto w kulę, owijam folią spożywczą i wstawiam do lodówki (2 godz.).

Po schłodzeniu, odkrawam 1/3 część ciasta i odkładam ją do lodówki. Z pozostałego ciasta, wałkując, formuję prostokątny spód sernika. Bardzo często idę na łatwiznę i ciasto ścieram na tarce z dużymi oczkami i wówczas dbam, aby starannie rozłożyć je po całej blaszce. Spód podpiekam w piekarniku przez około 15 min. W temperaturze 180 stopni C. I zabieram się za masę serową.

Sposób przyrządzania masy serowej:

Masło roztapiam i chłodzę. Żółtka ubijam z cukrem na pianę i dodaję do sera. Dosypuję budyń, skórę pomarańczową, rodzynki i dodaję zapach. Wlewam masło, wszystko mieszam i na końcu dodaję ubitą pianę z białek i bardzo delikatnie łączę z masą.

Masę wykładam na ostudzony spód, wyrównuję wierzch i z odłożonej części surowego, rozwałkowanego ciasta kroję 2-cm paski, które starannie układam po przekątnej blachy, tworząc kratkę. Kratkę smaruję pędzelkiem rozkłóconym żółtkiem. Ciasto wstawiam na 1,5 godziny do piekarnika nagrzanego do 180 stopni

C. Po tym czasie jeszcze sprawdzam patyczkiem, czy ciasto jest upieczone (patyczek musi być suchy).





Hamantasze Tyli z nadzieniami: makowym i śliwkowo-orzechowym

Składniki na ciasto kruche:

30 dag mąki pszennej

25 dag masła (schłodzone)

10 dag cukru pudru

2-3 żółtka

Składniki na nadzienie makowe:

puszka nadzienia makowego

garść rodzynek

10 fig

skórka pomarańczowa kandyzowana

śliwkowe

słoiczek domowych powidel

śliwki suszone kalifornijskie

Sposób przyrządzenia:

Na stolnicy łączę wszystkie składniki suche, dodaję posiekane masło i po wymieszaniu ingrediencji dodaję żółtka. Szybko zarabiam ciasto kruche, formuję z niego kulę, owijam w folię spożywczą i odkładam na godzinę do lodówki.

Czas na przyrządzenie masy makowej: otwieram małą puszkę z masą makową i przekładam ją do miski. Dodaję 1-2 łyżki miodu, drobniutko pokrojone figi, rodzynki oraz kandyzowaną skórkę pomarańczową. Dokładnie mieszam wszystkie składniki.

Teraz robię drugą wersję nadzienia: śliwki suszone bez pestek zalewam wrzątkiem i odstawiam na godzinę. Następnie kroję je na drobne kawałeczki i łączę z powidłami oraz posiekanymi orzechami.

Schłodzone ciasto kruche dzielę na dwie części i każdą rozwałkowuję na cienkie płaty. Pierwszy płat kroję na 10-cm kwadraty, na każdym nakładam łyżkę nadzienia makowego i składam w trójkątną sakiewkę, dociskając brzegi. Podobnie postępuję z drugim płatem ciasta, tylko zmieniam rodzaj nadzienia na owocowy.

Ciasteczka układam na blasze i piekę 15-20 minut do zarumienienia. Po upieczeniu i wyjęciu z piekarnika oprószam delikatnie cukrem pudrem. Palce lizać!



Kugel

Składniki:

1 kg ziemniaków

6 łyżek mąki pszennej (Żydzi używają mąki macowej)

1 duża cebula

2 jajka

sól i pieprz

Sposób przyrządzenia:

Obieram ziemniaki i cebulę, opłukane składniki ścieram na tarce i umieszczam na sitku na około pół godziny. Przygotowuję foremkę wysmarowaną olejem słonecznikowym. Następnie ubijam pianę z białek i łączę z żółtkami. Miazgę ziemniaczaną z dodatkiem cebuli przekładam do miski, dodaję mąkę, jajka, sól i pieprz. Składniki delikatnie łączę i przekładam na blaszkę. Piekę w piekarniku około godziny – wyjmuję z piekarnika, kiedy cała powierzchnia jest rumiana. Można podawać do różnych sosów lub wzbogacić danie o drobno pokrojone mięso, np. kaczki. Wówczas należy piec 30 minut dłużej. Rewelacyjnie smakuje pokrojone w paski i odsmażone.



Omlet Ewy

Składniki:

2-3 jajka na osobę

4 łyżki mąki pszennej

4 łyżki wody

szczypta soli

łyżka masła i oleju

Sposób przyrządzenia:

Rozdzielam żółtka od białek. Białka ubijam na sztywną pianę. Dodaję żółtka, dosypuję mąkę, solę i delikatnie wszystko łączę. Na patelni rozgrzewam tłuszcz. Przekładam masę na patelnię i smażę na wolnym ogniu. Podnoszę brzeg omleta drewnianą szpatułką, by sprawdzić zarumienienie i delikatnie przekładam go na drugą stronę. Po usmażeniu zsuwam go na talerz. Nakładam wybrane nadzienie (uduszony i doprawiony szpinak albo podsmażone pieczarki, jeżeli chcę serwować omlet w wersji na słono, albo na słodko z dodatkiem powideł lub dżemu) na połowę omleta i nakrywam drugą połową.





À la ruski pieróg z patelni

(przepis na dwie osoby)

Składniki:

25 dag zmielonego białego sera

30 dag ugotowanych ziemniaków

8 dag masła

1 duża cebula

1 jajko

sól i pieprz do smaku

1-2 łyżki oleju

Sposób przyrządzenia:

Cebulę kroję w drobną kostkę, przesmażam na oleju i odstawiam do ostudzenia. Ugotowane ziemniaki mielę, łączę z serem, jajkiem i cebulką. Do tej masy dodaję sól i pieprz do smaku. Na patelni o średnicy 15 cm roztopiam masło. Masę przekładam na patelnię, wyrównuję łyżką wierzch i danie zapiekam na

małym ogniu. Danie jest gotowe, kiedy jego spód jest zrumieniony. Upieczony „pieróg”, po odwróceniu patelni przekładam na talerz.



Selerowo-orzechowa sałatka Ewy

Składniki:

duży obrany seler (ugotowany al dente)

duże winne jabłko

5-10 dag posiekanych orzechów włoskich

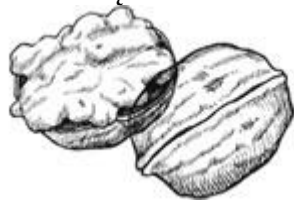
2 łyżki majonezu

2 łyżki jogurtu

sól do smaku

Sposób przyrządzenia:

Seler i jabłko kroję w kosteczkę i przekładam do miski. Majonez i jogurt mieszam, dodaję sól do smaku i sos przelewam do salaterki. Skład sałatki uzupełniam orzechami i wszystko delikatnie łączę. Salaterkę wykładam listkami sałaty i przekładam sałatkę.





Kaszkowy przysmak Kamy

Składniki:

0,5 l mleka

6 łyżek kaszki manny (odmierzone i wsypane do kubeczka)

1 łyżeczka cukru pudru

1 łyżka cukru

szczypta soli

duża łyżka masła

Sposób przyrządzenia:

Mleko wlewam do garnka, stawiam na płycie i doprowadzam do zagotowania. Wsypuję cukier i sól. Jedną ręką wsypuję kaszkę, a drugą energicznie mieszam, aby nie doprowadzić do powstania grudek. Chwilę gotuję ciągle mieszając. Na patelni roztapiam i rumienię masło. Przekładam kaszkę na talerz, posypuję cukrem i oblewam zrumienionym masłem. Smak dzieciństwa, którego się nie zapomina.





Kotlet z szynki wieprzowej według przepisu cioci Steni

Składniki:

1 kg mięsa wieprzowego od szynki

marynata z 3 łyżek oleju, rozgniecionych ząbków czosnku, słodkiej papryki w proszku i soli

jajka – 1 szt. na 4 kotlety

bułka tarta

mąka

olej słonecznikowy do smażenia

Sposób przyrządzenia:

Umyte, oczyszczone z błonek i zbędnego tłuszczu mięso kroję w poprzek włókien na plastry. Delikatnie rozbijam tłuczkiem i nacieram marynatą. Tak przygotowane mięso odstawiam w przykrytym folią spożywczą naczyniu na 30 minut do lodówki. Po tym czasie każdy kotlet panieruję w mące, roztrzepanym jajku i bułce tartej. Kładę na rozgrzany tłuszcz i na średnim ogniu smażę na rumiano obie strony kotleta .





Parzybroda z zasmażką

Składniki:

główka kapusty białej – średniej wielkości

8-10 ziemniaków

10 dag słoniny z boczkiem pokrojonej w kosteczkę

1 łyżka mąki pszennej

sól do smaku

Sposób przyrządzenia:

W dużym garnku gotuję wodę z solą. Kapustę kroję na 4 ćwiartki, a te jeszcze przekrawam na połowę. Obrane ziemniaki kroję w plastry grubości pół cm.

Ósemki kapusty kroję na grube kawałki i gotuję al dente, dodaję ziemniaki i razem gotuję do miękkości. Ewentualny nadmiar wody z kapusty odlewam i łączę ją z zasmażką. Doprowadzam do zagotowania.

ZASMAŻKA:

Na patelni smażę drobno pokrojoną słoninę i boczek, do wytopionych skwarek dodaję mąkę, energicznie mieszam łyżką i lekko rumienię.





Bigos według przepisu Zofii

Składniki:

1 główka kapusty białej

2 kg kapusty kiszonej ze startą marchewką i ziołami

1 kg duszonej karkówki

0,5 kg duszonego boczku lub podgardla

0,5 kg kielbasy staropolskiej lub innej

3 dag grzybów suszonych

10 dag wędzonych śliwek

2 cebule

gotowa przyprawa do bigosu

pół słoiczka powideł

po 1 łyżce kminku, majeranku i sól do smaku

duży garnek do połączenia składników

Sposób przyrządzenia:

Rezerwuję sobie kilka godzin. W przeddzień przygotowania potrawy zalewam wodą grzyby i śliwki, następnie osobno gotuję do miękkości, grzyby odcedzam i kroję w paseczki. Płyn po gotowaniu grzybów odstawiam. Podobnie kroję śliwkę. Teraz przygotowuję mięso: kroję w kostkę, obrumieniam i duszę do miękkości na wolnym ogniu. Dodaję pokrojoną w plasterki kiełbasę. Smażę cebulę pokrojoną w kostkę i dodaję do mięsa.

Mam przygotowane dwa garnki: w większym gotuję do wymaganej miękkości kapustę kiszoną, a w drugim drobno poszatkowaną kapustę białą. Nadmiar płynu odlewam i w to miejsce wlewam smak od gotowanych grzybów. Obie kapusty łączę, dodaję mięsa, kiełbasę, grzyby i śliwki. Mieszam składniki. Dodaję przyprawę do bigosu, łyżkę kminku i majeranku oraz powidła. Jeszcze raz mieszam całość i doprowadzam do zagotowania. Podaję z pajdą chleba gryczanego. Bigos można również zawekować.



Chleb gryczany

Składniki:

0,5 kg kaszy gryczanej białej (niepalonej)

około 700 ml wody

1 łyżka soli,

1 łyżka oleju

1 łyżka stołowa ziół prowansalskich, kminku

po 0,5 dag pestek słonecznika, dyni, siemienia lnianego.

Sposób przyrządzenia:

Kaszę umieszczam na sitku i płuczę pod bieżącą wodą. Przekładam do naczynia, zalewam wodą tak, aby pokryć powierzchnię kaszy około dwa centymetry. Przykrywam i odstawiam na 24 godziny. W międzyczasie staram się kilkakrotnie zamieszać łyżką w naczyniu. Po upływie doby za pomocą blendera rozdrabniam masę. Dodaję sól i pozostałe ingrediencje, dokładnie mieszam wszystkie składniki. Foremkę keksówkę natłuszczam olejem i wysypuję otrębami. Do tak przygotowanej blaszki przelewam zaczyn i odstawiam na 12 godzin (ja wstawiam do zimnego piekarnika). Chleb lekko urośnie! Następnie włączam piekarnik i nastawiam na 200 stopni C – chlebek piekę 60 minut. Sprawdzam

stopień upieczenia patyczkiem, wbijając go w środek pieczywa. Jeżeli jest suchy, wyjmuję foremkę z rumianym i lekko pękniętym przez środek chlebem. Przykrywam ściereczką i odstawiam do zupełnego ostygnięcia. Wówczas wyjmuję z foremki i kroję w kromki.





Chrupiące placki ziemniaczane

Składniki:

1 kg ziemniaków

2 jajka

2-3 łyżki mąki pszennej

olej do smażenia

sól

Sposób przyrządzenia:

Obieram ziemniaki, płuczę i ścieram na tarce o drobnych oczkach. Przekłám masę na 30 minut na sito, by odcedzić nadmiar płynu do osobnego naczynia. Po tym czasie odlewam nadmiar soku, z dna zbieram zebraną tam skrobię ziemniaczaną i łączę z miazgą. Następnie umieszczam ziemniaki w miseczce, dodaję jajka, mąkę i solę. Smażę placki na gorącym oleju, gotowe podaję z cukrem kryształem. Kiedy chcę serwować placki np. z gulaszem lub z kwaśną śmietaną, wówczas do miazgi ziemniaczanej ucieram dodatkowo cebulę i 2-3 ząbki czosnku. Jeżeli placki są smażone na raty, to – by zapobiec ciemnieniu utartych ziemniaków – dodaję łyżkę śmietany.





Barszczyk czerwony

Składniki:

1 kg buraków czerwonych, ugotowanych w łupinkach do miękkości

*2 litry bulionu ugotowanego na mięsie drobiowym (np. skrzydelka)
i włoszczyźnie*

ząbki z pół główki czosnku

2-3 listki laurowe

po 5 ziaren ziela angielskiego i pieprzu

1 łyżka octu

majeranek

sól do smaku

Sposób przyrządzenia:

Ugotowane, ostudzone i obrane ze skórki buraki kroję na plastry i dodaję do wywaru. Dokładam wszystkie składniki aromatyczne, ocet i sól. W dłoni rozcieram

majeranek i łączę z barszczykiem. Całość gotuję kilka minut na wolnym ogniu. Przecedzam na sitku i podaję gorący do kroketów mięsnych lub pasztecików.





Jabłecznik z cynamonem

Składniki:

1,5 kg jabłek np. antonówki

2 łyżki cukru

2 łyżki bułki tartej

1 łyżeczka cynamonu

Sposób przyrządzenia:

Błazkę prostokątną o wymiarach 20 x 30 cm wykładam papierem do pieczenia.

Obrane jabłka trę na tarce o grubych oczkach i przesmażam z odrobiną wody (aby zapobiec przypaleniu), cukrem i cynamonem. Masę jabłeczną studzę.

Ciasto rozwałkowuję i formuję do wymiarów blachy, tworzę obramowanie wnętrza. Nakłuwam i podpiekam około 15 minut w temperaturze 180 stopni C. Całą powierzchnię posypuję bułką tartą i nakładam masę jabłeczną. Wyjmuję z lodówki drugą część ciasta i ścieram na tarce, tak powstałą kruszonką pokrywam równomiernie całą powierzchnię ciasta. Wkładam do piekarnika na 15 minut, tj. na czas zrumienienia powierzchni. Po wyjęciu upieczonego jabłecznika przez sitko posypuję go cukrem pudrem. Odstawiam do ostygnięcia.



Blok o smaku piernikowym

Składniki:

20 dag mleka w proszku

1 opakowanie toruńskich pierników bez polewy

15 dag masła

2-3 łyżki ciemnego kakao

0,25 szklanki cukru

0,25 szklanki wody

po pół szklanki posiekanych orzechów laskowych i rodzynek

Sposób przyrządzenia:

W garnku umieszczam masło, kakao, wodę, podgrzewam na małym ogniu i delikatnie mieszam. Po połączeniu składników odstawiam do przestygnięcia. Po jednej łyżce dosypuję mleko w proszku i na zmianę dodaję pierniki, rodzyнки i orzechy. Mieszam do połączenia i wyczerpania składników.

Blaszkę o wymiarach 20 x 20 cm lub keksówkę wykładam folią spożywczą i przekładam masę, wyrównuję wierzch i odstawiam do lodówki na 4-5 godzin.

Zimny blok kroję na batoniki, pakuję pojedynczo w pergamin i chowam głęboko do... kredensu.



